

BIP INF 83-9-70016869

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/379

1979



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

B. SULIK : **OPOWIEŚĆ O PRAWDZIWYM POLAKU**
Zd. BAU : **TRZYDZIEŚCI LAT POTEM : POLACY W**
ARGENTYNIE

Zb. BYRSKI :

PRZEMIANY W ŚWIATOWYM UKŁADZIE SIŁ

M. POLESKI : **WOLNOŚĆ W OBOZIE**

SPIS RZECZY

Bolesław Sulik:	<i>Opowieść o prawdziwym Polaku</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	21
Zdzisław Ba u :	<i>Trzydzieści lat potem: Polacy w Argentynie</i>	37

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Przemiany w światowym układzie sił</i> . .	70
—	<i>Wystąpienie Andrzeja Korbońskiego w Senacie Amerykańskim</i>	83

K R A J

Maciej Poleski:	<i>Wolność w obozie</i>	85
J. Ś.:	<i>Przegląd prasy niezależnej</i>	99
Sordello:	<i>Program polski w telewizji włoskiej</i> . .	105

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	107
—	<i>Pokłosie wizyty Episkopatu Polski w RFN</i>	114
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	115
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	117
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	122
—	<i>Wolny Międzynarodowy Uniwersytet w Achberg (RFN)</i>	123

KRONIKA KULTURALNA

Marian Bohusz Szyszko:	<i>Dwaj laureaci „Kultury”</i>	124
Józef Łobodowski:	<i>Nieznany polonik</i>	127
—	<i>Wpłaty na nową książkę St. Vincenza „Barwinkowy wianek”</i>	129
—	<i>Zamierzenia wydawnicze wydawców emigracyjnych na r. 1979</i>	130

K S I Ą Ż K I

Józef Czapski:	<i>Tylko dla dorosłych</i>	131
Spektator:	<i>Kalaszników pod choinką</i>	135
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	139
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	142

POLEMIKI

J. P. Wawrzyńska:	<i>„Epitafium”</i>	145
-------------------	------------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
---	--------------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	155
--------------	--------------------------------	-----



Z. Michałowski, W. Rostański, J. Szczepkowski, K. Turowski i Zb. Błażyński:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
---	------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1979

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Henryk Favel, 94110 Arcueil (Francja)	F. 100,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz piąty	F. 100,00
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej, U.S.A.	F. 105,00
Ks. Henryk M. Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz dziesiąty ..	F. 33,60
Mariusz Pierzyński, Stockholm	F. 50,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło 37 w Waszyngtonie (USA), po raz trzeci	F. 210,00
B. Wanke, Reading, Berks (Anglia)	F. 500,00
Bezimiennie z Paryża — zamiast kwiatów na grób Romana Juryśa, zmarłego w Warszawie 17 grudnia 1978 r.	F. 100,00
Bezimiennie z Winnipegu (Kanada)	F. 150,00

Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA) — na wolną prasę w Polsce	F. 420,00
Witold Osiński, Lund (Szwecja) — na pomoc dla rodziny Switonów z Katowic	F. 500,00
Dr Danuta Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 420,00
Adam Zalewski, Sztokholm — na pomoc dla opozycji w Polsce, za okres 1. 1. - 30. 4. 1979 r.	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN)	F. 220,00
Teresa Domańska nadesłała, od Przyjaciół z Los Angeles, dla uczczenia pamięci zmarłego Andrzeja Mikulskiego, prezesa Klubu im. Heleny Modrzejewskiej (USA)	F. 220,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Na apel Redakcji <i>Listów do Polaków</i> , New Britain, N.J. (USA) pp. J. Szymerski z Naugatuck — \$ 20,00, W. M. Tyszkiewicz z Otsego, Mich. — \$ 10,00, S. Billok z N.B. — \$ 5,00 — razem: \$ 35,50	F. 147,00
Bezimiennie z Winnipegu (Kanada)	F. 150,00

WPLATY NA P.P.N.

Tadeusz Brzostek, Paryż — z okazji ogłoszenia przez PPN tekstu historycznego na 60-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości	F. 100,00
Irena Przyjałkowska, Sztokholm	F. 100,00
J. S. Jachowscy, Hurlstone Park, Australia — za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i>	F. 47,50

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Opowieść o prawdziwym Polaku

„... W szeregach idących w milczeniu przed niemiecką generalicją, w tysiącach opuszczonych na piersi głów wynosiliśmy do niewoli świadomość tego, że choć za kłeskę płacimy my — odpowiedzialny jest kto inny. Kto?

Nieliczni jedynie wznieśli się już wtedy na ten poziom świadomości politycznej, skąd spojrzeć było można na polityków polskiego Londynu. Wszyscy mogliśmy z pięter nadwiślańskich gmachów oglądać sowieckie czołgi. Toteż sprawcą kłeski, dla wielu była Moskwa.

Któż z szeregowej masy miał zdawać sobie sprawę, że już odkąd stało się wiadome, że Bug nie będzie mógł stanowić nowej linii niemieckiej obrony, było wiadomo, że linią tą stać się miała Wisła. Czy w strategicznych planach dowództwa największego frontu miał się orientować Antek Rozpylacz? Czy ranna w płuca łączniczka ze szpitala na Starówce wołająca nieprzytomnie: 'Czy już przyszli? Prawda, że przyszli? Już jesteśmy wolni?'

... Przeszły już do legendy dni i noce powstańczego żołnierza, śmierci i zwycięstwa. Teraz chcemy coś z tego czasu zrozumieć. Trzeba coś sobie wyjaśnić...”

Cytat pochodzi z artykułu wstępnego w pierwszym numerze *Pokolenia*, z sierpnia 1946 roku. Autorem był Roman Bratny. Wyjąłem ten fragment ze znacznie szerszego cytatu w nowym tomie Romana Bratnego pt. „Pamiętnik moich książek”*. Na jego kartkach Bratny prowadzi czytelnika, z pełną nonszalancją, niektórymi kolejami własnego życia, traktując je jako inspirację swojego pisarstwa. „Wyszedłem z takiego założenia: ... niechby mnie oceniły moje książki” — pisze autor we fragmencie wy-

* Roman Bratny, *Pamiętnik moich książek*. Warszawa, Czytelnik, 1978.

ciągniętym na okładkę „Pamiętnika”. Pisarstwo Bratnego jest w olbrzymiej mierze zestawem fabularyzowanych reportaży i wspomnień. Nie tylko jego publicystyka, ale i fikcja związana jest organicznie z czasem przeżytym przez autora. Są to więc książki zdolne do świadczenia o wiarygodności ich twórcy. „Niech one osądzą” — pisze Bratny — „jak ja w nich potraktowałem rzeczywistość, czy ta rzeczywistość nie skomle z wyżyn naszej współczesnej wiedzy, czy ona się o siebie nie dopomina tam, gdzie została przeze mnie sponiewierana, czy może skłamana? Może te książki patrzą na mnie z żalem, że je z czegoś obdarłem?”.

Ta zapowiedź konfrontacji brutalnie prawdziwej upoważnia do brutalnych ocen jej efektów. Chodzi o autora, który co najmniej jedną pozycją — trytomową powieścią „Kolumbowie rocznik 20” — stworzył trwałą zapis doświadczeń swego pokolenia Polaków, czytany w Kraju z żarłoczną ciekawością. Książka Bratnego w tak namacalny i wymowny sposób trafiła w kulturowe i społeczne potrzeby Polski po-Październikowej, że jego obecność w historii naszej kultury jest faktem obiektywnym, niezależnym od łaski krytyków. Jako pisarz Bratny taryfy ulgowej nie potrzebuje. „Pamiętnik moich książek” jest zaproszeniem, by sądom wartościującym poddać także osobę autora i jego wybory dróg życia.

Dla czytelnika główną atrakcją tej dziwacznej książeczki jest wycieczka w dzieje Polski Ludowej, prowadzona przez Bratnego śladem jego doświadczeń. Oficjalnie obowiązujący obraz Polski Ludowej był, jak wiemy, dotychczas całkowicie ahistoryczny. To martwe, socrealistyczne bajoro, w którym toną wszystkie spazmatyczne konflikty minionych trzydziestu kilku lat, ostatnio trochę się mąci, pod pośrednim wpływem ruchu opozycji i jej nieoficjalnej działalności wydawniczej. W twórczości dozwolonej — choć niekoniecznie popieranej — szlachetnym przykładem odsłaniania perspektywy na dzisiejszą Polskę jest film Andrzeja Wajdy — „Człowiek z marmuru”. „Pamiętnik moich książek” powstał z innych motywów, ale polityczny i pisarski rodowód autora sięga w najbardziej czuły i drastyczny splot konfliktów, o fundamentalnym znaczeniu dla dzisiejszej rzeczywistości polskiej.

Bratny urodził się w roku 1921 jako Roman Mularczyk, syn legionisty, późniejszego pułkownika armii polskiej. Jeżeli braci dosłownie aluzje w „Kolumbach”, gdzie Jerzy, jedna z głównych postaci trylogii, jest zbeletryzowanym portretem autora, w domu rodzinnym Bratnego obecne też były wpływy ideologii narodowej. Wojnę spędził w okupowanej Warszawie. Stał się żołnierzem Armii Krajowej, działał w „dywersji”, z Powstania Warszawskiego wyszedł w kolumnie jeńców w stopniu podporucznika. Na lata okupacji przypada też debiut pisarski Bratnego. Od roku

1943 redagował podziemne pismo literackie *Dźwigary*, a w 1944 ukazał się w konspiracji jego tomik poezji pt. „Pogarda”.

W „Pamiętniku moich książek” literackie podziemia okupowanej Warszawy zajmują zaledwie parę stron. Jest tam sentymentalne wspomnienie debiutu, przewijają się postacie Irzykowskiego i Gajcego — wszystkim potraktowane z niecierpliwym poświęceniem, jakby nie o to w tej książeczce chodziło. Prawdziwy jej wątek zaczyna się w niewoli, gdzie Bratny, kryjąc się na obozowej pryczy przed wzrokiem kolegów, pisze maczkiem na bibułkowym papierze „Rozstrzelanie Hamleta” — „studium o obłudzie politycznym Podziemnej Polski, o 'nieudacznictwie' inteligencji roszcżącej sobie mesjaniczne prawa do przewodzenia narodowi”. Owe „studium”, przechowane do zakończenia wojny w nogawce spodni, nigdy się nie miało w całej swej rozciągłości ukazać, ale formułowało, jak rozumiem, pisarskie i polityczne wyznanie wiary, któremu Bratny, we własnym mniemaniu, dochowuje lojalności do dzisiaj. W trzydzieści trzy lata później tezy „Rozstrzelania Hamleta” — wyłożone przez autora ale nie cytowane w „Kolumbach”, ani w „Pamiętniku” — brzmią znajomie. Sparafrazować je można mniej więcej tak: katastrofa Powstania Warszawskiego i rozgromienie Niemców na ziemiach polskich przez armię sowiecką stanowią o ostatecznym bankructwie tradycji patriotyzmu postulującej absolutną suwerenność Kraju i trwałe, przyszłe związki z polityczną kulturą Zachodu. Polska odbudowywana będzie przez komunistów, pod skrzydłem sowieckiej Rosji. Nie wolno dopuścić do tego by to zadanie stało się wewnętrzną sprawą tak słabej w Polsce i społecznie wyizolowanej lewicy komunistycznej. Trzeba się do odbudowy za wszelką cenę włączyć, trzeba organizować potężne poparcie społeczne dla komunistów. Wiodącą rolę w tej mobilizacji sił narodu mogą odegrać rzesze byłych żołnierzy Armii Krajowej, politycznie zlamane, ale stanowiące niezrównany kapitał żarliwego patriotyzmu.

Bratny poczuł się *Mojżeszem*, który zaprowadzi kolumny akowskiej młodzieży na nowe szlaki, wiodące z powrotem do Warszawy. Po wyzwoleniu obozu przez wojska alianckie wdział mundur z naszywkami „Poland” i udał się do Paryża, gdzie od razu się zameldował w nowo otwartym przedstawicielstwie rządu lubelskiego. Złożył tam ofertę prowadzenia w Paryżu pisma „akowskiego”, wykładającego nową rację stanu i agitującego za powrotem do Kraju. Potraktowany został, jak twierdzi, podejrzliwie i odesłany na własne żądanie do Warszawy, gdzie wzięty go pod swe skrzydła osławiony generał Grosz, szef Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego (generał Drobny w trzecim tomie „Kolumbów”). Do Paryża Bratny

już nie wrócił, ale uzyskał zgodę i pieniądze na redagowanie w Warszawie dwutygodnika *Pokolenie*, z tą samą misją nawracania byłych żołnierzy AK na nową orientację. W sierpniu 1946 roku ukazał się pierwszy numer *Pokolenia*, z cytowanym już artykułem wstępnym podpisanym przez redaktora naczelnego.

Pora na osobistą deklarację. Właśnie w sierpniu 1946 roku, mając lat siedemnaście, uciekałem z Polski na Zachód. Wyruszyłem w kierunku odwrotnym, w efekcie odwrotnego niż Bratny wyboru. Wprawdzie porównanie nie całkiem jest miarodajne, bo nasze punkty wyjścia nie były identyczne. Kilkoletnia różnica wieku między mną i Bratnym miała duże znaczenie. Moi rodzice byli na Zachodzie. Uciekałem do nich, z niejasnym przeświadczeniem o wadze tego kroku. Nie był to wybór losu w całej rozciągłości świadomy. Ale też nie był całkiem ślepy. Opuszczałem Polskę w gorączkowym nastroju, w którym było podniecenie przygodą, żal rozstania z przyjaciółmi z pół-dziecinnej, a niesłuchanie intensywnej w emocjonalnym zaangażowaniu konspiracji, i jakiś głuchy niepokój, że oddają się we władanie mechanizmom, których nie rozumiem. Przekraczałem granicę polsko-czeską w transporcie żydowskim, pod przybranym nazwiskiem Jakuba Sztajnera. Parę miesięcy wcześniej miał miejsce pogrom w Kielcach. Wiść o pogromie przyspieszyła decyzję opuszczenia Polski przez wielu żydowskich niedobitków okupacji, za cichym przyzwoleniem władz młodego „Państwa Ludowego”. Razem z Żydami przemycano się zawsze trochę Polaków o rodowodzie nieskazitelnie aryjskim.

Czy mój wybór był słuszny? Moim towarzystwem w wagonie bydlęcym, który wiozł nas przez Czechy do sowieckiej strefy Wiednia, byli młodzi polscy Żydzi, którzy kierunek i cel swojej podróży widzieli wyraźnie: doprowadzić ich miała do Palestyny, do Ziemi Obiecanej, gdzie walczyć będą o ustanowienie własnego, niezawisłego państwa. Pamiętam, że w konfrontacji z ich racjami poczułem się bezradnie. Ja uciekałem. Bo nie było prawdą by silnym, dynamicznym motywem opuszczenia granic Polski była dla mnie wiara w zwycięski powrót w szeregach polskiej Armii Wyzwolenia. Ten majak był gdzieś obecny w bagażu spleatanych uczuć jakie wywoziłem, ale nie on kierował moimi krokami.

W późniejszych latach wątpliwości, zasiane już wtedy, w momencie rozstania z Krajem, rosły i stawały się coraz bardziej klarowne. Skłamałbym twierdząc, że żyłem na obczyźnie całkowicie skłócony ze swoim losem. Ale w nierzadkich momentach kryzysu los ten widział mi się jednak jako trochę obcy, nie-

naturalny, wyrosły z przypadku, który mi się przytrafił w latach szczenięcych, w momencie przyćmionej uwagi. Zdawało się wtedy, że byłoby prościej, bardziej zrozumiale, mniej dezorientująco — choć może groźniej — gdybym był mieszkał w Polsce.

Są więc dla mnie zrozumiałe wybory odwrotne od mojego, takie jak wybór Bratnego. W chwilę po zakończeniu wojny, które przyniosło krach nadziei wszystkich Polaków — z wyjątkiem garstki komunistów — w mrokach potwornego ideologicznego kaca, przy rozbudzonych tęsknotach do zwykłego życia, wszystkie wybory, impulsywne i przemyślane, szczeniackie i dojrzałe, odbywały się po omacku. I prawie wszystkie były rozpaczliwe, bo i w decyzji powrotu, czy wyjścia z konspiracji żołnierza AK, niedobitka Powstania Warszawskiego, decyzji przejścia do życia cywilnego w Polsce wyzwolonej przez armie sowieckie, rządzonej przez komunistów, obecna była gorzka rezygnacja. Nie mam więc do Bratnego pretensji o to jak postępował w roku 1945 i 1946. Niechęć i oburzenie powoduje ton, jakim pisze o tym w trzydziści parę lat później.

Osobiste losy Polaków pokolenia AK, pokolenia Bratnego, nie dawały się sterować. Przypadek odgrywał w nich zawsze znaczną, najczęściej decydującą rolę. Ale w końcu trzeba swój los zalegalizować, przystosować do siebie, rozgospodarować się w nim, uczynić własnym. Trzeba uczynić siebie odpowiedzialnym za swe czynne życie, obliczać się z sobą i płacić rachunki — z sumiennością szczególną jeżeli zdarza się, że się jest polskim pisarzem. W „Pamiętniku moich książek” Bratny czyni to tylko pozornie. Owszem, obcina uzyskane kupony i liczy je, ale odmawia płacenia jakichkolwiek rachunków.

Wróćmy do kolei jego pisarskich i osobistych losów. Redagowane przez Bratnego *Pokolenie* nie zyskało pełnego zaufania władz, a Akowcy, którzy nie chcieli wyjść z podziemia, uznali pismo za działalność zdradziecką. Poczta doręczyła redaktorowi naczelnemu anonim informujący, że „organizacja podziemna” wydaje na niego wyrok śmierci. Z drugiej strony interwencje cenzury stawały się coraz bardziej dotkliwe, a po sześciu numerach władze zmusiły redakcję do zmiany linii na bardziej aktywnie marksistowską. Część zespołu wtedy ustąpiła, a Bratny pozostał na stanowisku, ratując, w swym mniemaniu, pismo które stworzył. Jednak po zaledwie kilku dalszych numerach *Pokolenie* przestało wychodzić. I z tą właściwie chwilą (choć autor tego nie odnotowuje) misja, którą Bratny wymyślił sobie w obozie jenieckim i montował w Paryżu, straciła rację bytu. Sam Bratny przeszedł do redakcji nowego pisma literackiego *Nurt*, na zastępcę Naczelnego, którym był Tadeusz Borowski. Po dwóch

numerach z kolei *Nurt* został decyzją władz zamknięty. Ale na innych polach nasz bohater odnotowywał sukcesy, chociaż klimat polityczny nowej Polski z dnia na dzień stawał się surowszy. Jako syn legionisty napisał pracę magisterską na bliski sercu temat „Treści klasowe piśsudczyzny”. Zgłosił też gotowość wstąpienia do Partii. Na zebraniu, które decydowało o przyjęciu Bratnego na staż kandydacki, maglowano Bratnego na temat jego własnej przeszłości akowskiej i indagowano, dlaczego po powrocie do Polski nie wydał w ręce władz swego ojca, oficera AK, jeszcze wtedy nie ujawnionego.

Wiemy, że casus Bratnego nie był odosobniony. Łańcuch mało wiarygodnych dzisiaj konsekwencji doprowadził wielu Akowców w szeregi Partii. Zdarzało się, w tych przedziwnych czasach nadziei i trwogi, że młody człowiek świeżo wyszły z lasu, który jeszcze niedawno strzelał do UB i wykonywał wyroki WIN'u na komunistów, po dramatycznie gwałtownej ewolucji nie tyle poglądów ile własnego poczucia rzeczywistości, meldował się w Partii. „Wyleźliśmy z tej wojny ślepi jak szczenięta i jak inwalidzi. Głusi jak niegrzeczne dzieci na wołanie rodzicielskich schematów, ale też ogłuszeni detonacjami wojny i powstania, głupi, ale świadomi bankructwa tego, co było świętością dla naszych matek i ojców. Tamtego państwa, tamtego Boga, który nie znał Hitlera i komór gazowych. Wyleźliśmy na ten brzeg, który wciąż nazywał się Polską i miał nią być, bo to był ostatni sens naszego życia. I tu czekali na nas 'apostołowie'. Oni wcześniej wiedzieli, że 'Londyn' jest egzotycznym sojuszem politycznych nędzarzy, że Bóg zleciał nawet z kościelnych plafonów, oni wybrali za nas, gdy nadszedł czas wyboru Wschód - Zachód, i wybrali słusznie. Bo słusznie jest się zgodzić, że się jest tam, gdzie się jest naprawdę”...

To mówi Bratny w roku 1978. „W Pamiętniku moich książek” brak jest obrazu tamtych czasów, tak pozakłamywanych, i w dużym stopniu naprawdę już zapomnianych. Bratny nie posługuje się nawet cytatami z trzeciej części „Kolumów”. Wiodąc czytelnika kolejami swoich pisarskich losów mruga do niego porozumiewawczo, odwołując go do jego niecenzuranej wiedzy, do jego pamięci. Owszem, przyznaje się do ustępstw, do komformizmów, do posłuszeństwa władzy, ale kwituje to rodzajem wzruszenia ramion: bo takie były czasy, takie były konsekwencje „słusznego” wyboru, a poza tym inni byli gorsi, bo bardziej gorliwi.

Przypomnijmy, co to były za czasy, podmalujmy wyraźniej tło tej części losów Bratnego. Ów „Londyn”, ów „egzotyczny

sojusz politycznych nędzarzy” był w okupowanym Kraju orientacją Państwa Podziemnego, które zyskało sobie w czasie wojny zupełnie wyjątkowy autorytet społeczny. W kategoriach potocznych uogólnień upadek Powstania Warszawskiego, z dwustu tysięcy trupów pod gruzami stolicy, słusznie jest widziany jako klęska tej orientacji. Ale przecież imponująco rozbudowana w całym kraju struktura Polski Podziemnej i jej społeczne wpływy nie przestały istnieć z dnia na dzień. Po formalnym rozwiązaniu Armii Krajowej, po ostatecznym upadku hitlerowskich Niemiec i zaprzestaniu działań wojennych, w zdeorientowanym Kraju działały nadal nie tylko resztkówki, ale całe człony i odrestaurowane organa Państwa Podziemnego. Jego rozwój pod okupacją niemiecką był wyrazem wiary, że przyszłe losy Polski są w rękach Polaków. Dziesiątki tysięcy młodych żołnierzy AK gotowe było nadal bronić tej wiary, nie rejestrując faktu, że o losach Polski już zadecydowano bez ich udziału, że Kraj ulokowano w sferze wpływów sowieckich. Klimat społeczny Polski tych paru pierwszych, powojennych lat ożywił resztki Państwa Podziemnego. Lewica komunistyczna miała bardzo kruche i ograniczone poparcie społeczne. Dla większości Polaków kolejna zmiana była tylko kwestią czasu. Lada miesiąc Zachód miał się przebudzić i interweniować, nie dopuścić, by sfalszowano głos ludu w wyborach powszechnych, i po triumfie wyborczym PSL Mikołajczyk miał stanąć na czele „prawdziwego” rządu. Legalna, zakonspirowana i otwarcie bojowa, leśna opozycja, przelewały się jedna w drugą, ta mi z powrotem, jak w systemie połączonych naczyń. W siatce konspiracyjnej nowe organizacyjne twory pretendowały do przejęcia spuścizny po rozwiązanej Armii Krajowej, ale żadnemu z nich, nawet WIN-owi („Wolność i Niezależność”), największemu i najsilniej personalnie związanemu z tradycją AK, nie udało się zbudować autentycznego centralnego ośrodka dyspozycyjnego — nie mówiąc już o konsekwentnej strategii politycznej. Lokalne grupy i oddziały prowadziły więc walkę na własną rękę, z własnej ochoty, w formie partyzanckiej wojny z ludźmi nowej władzy, która ze swej strony brak oparcia we własnym społeczeństwie nadrabiała brutalnością represji. Wiele tysięcy niepoliczonych nigdy trupów padło w tej anonimowej wojnie domowej, której świat nie chciał widzieć wtedy, a teraz dawno już zapomniał. W środkowych i wschodnich rejonach Polski, a także po drugiej stronie świeżo wytyczonej granicy ze Związkiem Sowieckim oddziały leśne i aktywiści rwącej się, ale wciąż odnawianej, siatki konspiracyjnej prowadziły tę rozpaczliwą, beznadziejną walkę jeszcze po sfalszowanym referendum 30 czerwca 1946 roku, po sfalszowanych wyborach 19 stycznia 1947 roku,

a nawet, w ostatnich, agonalnych spazmach, po ucieczce Mikołajczyka na Zachód w październiku 1947 roku.

Do takiej to Polski wracał Bratny z Paryża (a ja z niej uciekałem), w takiej sytuacji politycznej i społecznej redagował *Pokolenie*, namawiając kolegów z AK do zmiany lojalności. Jego „misa”, którą on wciąż z dzisiejszej perspektywy traktuje jako wyraz swojej politycznej trzeźwości, nie miała szans powodzenia — to znaczy, zmiany układu sił. Zresztą, z punktu widzenia nowych władz, czas na perswazję już minął. Kiedy Bratny wstępował do Partii, operacja pacyfikowania Polski dobiegała końca. Zapadała noc stalinizmu.

Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych we wszystkich krajach „satelickich” Europy Wschodniej stał się czasem ugruntowywania systemu sowieckiego. Ten proces wszędzie przebiegał podobnie. Następową przyśpieszona akumulacja władzy, w gospodarce forsowna budowa ciężkiego przemysłu i kolektywizacja rolnictwa, propaganda rozdymała demona „wroga wewnętrznego”, sprzymierzonego z zachodnim kapitałem, terror policji i sądów wroga tego identyfikował, w kulturze obowiązujące kanony socrealizmu czyniły z twórców radosnych kibiców wszystkich tych procesów krzepnącego stalinizmu. Obok cech typowych, w poszczególnych krajach stalinizm nabierał też i własnych rysów. W Polsce najważniejszym frontem stalinowskiego terroru była okrutna i ohydnie cyniczna rozprawa z legendą AK, z pogrobowym autorytetem Polski Podziemnej. Nie da się tej rozprawy zrozumieć i wyjaśnić w kategoriach racjonalnej taktyki politycznej. Nie chodziło wcale o ostateczną operację policyjną, o wyczesanie resztek konspiracji. Nie chodziło nawet o zrewidowanie i sfałszowanie nieostygłej jeszcze historii — przecież ludzie wiedzieli, że nie podziemie komunistyczne było ostoją oporu pod okupacją niemiecką. Szyderczo skłamane akty oskarżenia, torturowanie więzionych Akowców, by zmusić ich do przyznania, że byli sprzymierzeni z Gestapo, rozpasany wrzask propagandy, której symbolem stał się ów Powstaniec — dziecko z karabinem — „zapłuty karzeł reakcji”, służyły desakracji legendy AK, jej publicznemu spulgawieniu. Całe społeczeństwo popychane było do czynnego udziału w tym akcie opluwania swoich własnych patriotycznych uniesień sprzed lat kilku. Pokolenie AK najniższe piętro piekła osiągnęło nie w kłęsce Powstania, ale w latach stalinowskiej inkwizycji.

Zagrożony był każdy, kto kiedyś choćby otarł się o Akowskie podziemie. Legitymacja partyjna, ani ochotniczy udział w nagonce na AK, bezpieczeństwa nie gwarantowały. Roman Bratny przetrwał czas inkwizycji nie bez kłopotów, nie bez ostrzegaw-

czych sygnałów, ale z nienaruszoną skórą. Pod swe skrzydło wziął go Jerzy Borejsza, podówczas redaktor *Odrodzenia*. Odchodząc coraz dalej od poezji, którą kiedyś traktował jako główny nurt własnej twórczości, Bratny pisywał opowiadania i reportaże o „nowej rzeczywistości”. Jako reporter *Odrodzenia* miał okazję bywać na sali sądowej w czasie pokazowych procesów politycznych. W „Pamiętniku moich książek” wspomina szok jakim miał być dla niego incydent w trakcie procesu Adama Doboszyńskiego, przedwojennego endeka i działacza Obozu Wielkiej Polski. Sztwywny zwykle schemat tych starannie przygotowywanych procesów, przerwał nagły, emocjonalny wybuch oskarżonego, który „na rany i krew Chrystusa” przysięgał, że jest niewinny. Wzburzony tą sceną Bratny zaniósł swe wątpliwości do redaktora Borejszy, ale po rozmowie uznał zasadność „wyższych racji” i napisał, jak trzeba, artykuł pt. „Polska z dostępem do Doboszyńskiego”, co odnotowuje sumiennie w „Pamiętniku”. Odnotowujemy, i ewentualny zarzut pośpiesznie uchyla retorycznym pytaniem: — „Ale czy to znaczy, że 'robiłem źle' angażując się jako pisarz bez reszty w ten czas tragiczny i tak często niepiękny? Czyż robię co innego dzisiaj pisząc tę książkę zawierającą znów ludzkie ułomne oceny tego, co było. Czas idzie nieubłagane, nieubłagane zacierają się kryteria, a równie nieubłagane jest przeznaczenie pisarza: tworzyć. Czyli współuczestniczyć. Czyli współodpowiadać. Za wierność swojemu czasowi. To jedyna wierność jaka dana jest pisarzowi”...

Wierność nieubłaganemu czasowi wymagała wtedy psychiki karkołomnie wygimnastykowanej. Na odcinku kultury kolejny cios stalinowskiej inkwizycji trafił w *Odrodzenie*. Między innymi, mętną, niedyscyplinowaną wyobraźnię poetycką Bratnego cytowano jako przykład panujących w piśmie tendencji małomieszczkańsko-anarchistycznych. *Odrodzenie* zamknięto, a Bratny wyniósł się z Warszawy do Szczecina, przyjmując posadę kierownika literackiego tamtejszego teatru. Już w Szczecinie napisał obszerną samokrytykę, z której fragmenty lojalnie w „Pamiętniku” cytuje. Przyznając Partii rację, wskazywał na źródła swych niedobrych poetyckich przyzwyczajzeń w warunkach debiutu, rodnącego się w klasowej atmosferze Akowskiego podziemia. „Ufryzowany metafizycznie strach mieszczaństwa — oto co stanowiło o treści i formie tych wierszy pisywanych przez odważną młodzież — przecież istotną treść polityczną wojskowych przygotowań Armii Krajowej stanowił uzbrojony wojskowo strach burżuazji przed zbliżającą się rewolucją socjalną”... Samokrytyka odniosła widać swój skutek, bo karą za poetyckie błędy Bratnego było przedłużenie mu o rok stażu kandydackiego. Wciąż jeszcze

bowiem nie był pełnoprawnym członkiem Partii. Droga Bratnego do miejsca w jej szeregach najeżona była trudnościami.

Śmierć Stalina w roku 1953 zastała Bratnego już z powrotem w Warszawie. „Tułał się” po stołecznych redakcjach, pisał pierwszą powieść — „Krok ostateczny”, łapał nowy wiatr w żagle. „Zbliżał się rok 56, a z nim ponowne odkrywanie świata” — pisze o tym w „Pamiętniku moich książek”. Bratny okazji nie przepała. Pożeglował pod prąd lat dopiero co minionych, odkrywając światy dobrze sobie znane. Między sierpniem 1955 a lipcem 1956 roku napisał wszystkie trzy części „Kolumbów rocznik 20”: „Śmierć po raz pierwszy” — o konspiracji, „Śmierć po raz drugi” — o Powstaniu, i „Życie” — o tych bohaterach trylogii, którzy doczekali się narodzin Państwa Ludowego.

Ogromny popularny sukces „Kolumbów” jest faktem dobrze znanym. Ukazanie się tej powieści było jednym z szeregu kulturowo-politycznych zdarzeń, które zsumowały się w przedziwną atmosferę „Polskiego Października” — czasu, kiedy złowrogie mury stalinowskich kłamstw obalać się dawało jednym celnym kopnięciem, i zajęciu temu oddali się w zapałem prawie wszyscy ludzie pióra, a więc ci, którzy w latach poprzednich gorliwie te mury kłamstw wznosili. Wcale nie próbują obniżyć rangi sukcesu Bratnego, wyznając, że dla mnie osobiście „Kolumbowie” nie stali się lekturą znaczącą i bliską. Zapewne dotarło to do mnie na Obczyźnie zbyt późno, trafiło na stepioną wrażliwość. Wróciłem do trylogii Bratnego teraz, pod wpływem „Pamiętnika moich książek”. I znajduję w niej siłę autentyzmu nienaruszoną upływem lat. Jest tam napór na wpol przetrwawionych, powierzchownie, byle jak zbeletryzowanych doznań, postaci, obrazów, zdarzeń, wyrzucanych gorączkowo z pamięci i wyobraźni naocznego świadka. Wystarczy wiarygodność opisu i jego natarczność, ciśnienie masy plastycznych szczegółów, by odebrać obraz pokolenia młodych Polaków obłąkanych odwagą, egzystujących na samych szczytach emocjonalnego napięcia, na miarę kataklizmu, który ich ogarnia, na miarę otchłani, którą historia otwiera pod ich stopami.

Walorów powieści nie przekreślają po sztubacku wulgarne zabiegi interpretacyjne, jakich Bratny dokonuje głównie poprzez postać Jerzego, zbeletryzowanego portretu autora. Okupacyjne rozterki Jerzego, dwudziestoletniego, początkującego poety i pisarza, podprawione są późniejszą linią polityczną prototypu. Bo ktoś najprawdę uwierzy, że w trzydziestym dziewiątym roku kilkunastoletni chłopiec decyduje się pozostać w Polsce...” gdy tytuł jego kolegów z harcerstwa ruszyło w Karpaty i dalej przez

Rumunię na Zachód”..., w wyniku dojrzałej politycznej rozważli. — ... „Został, bo widział przygodową pozę tych, którzy szli, bo rozumiał, że tu będzie trudniej i 'ważniej'” — pisze Bratny. Wbrew tej rzekomej, wrodzonej rozważli, mimo sceptycznego dystansu do „Londynu”, Jerzy okazuje się bezradny wobec sił, które go wciągają w katastroficzną egzystencję żołnierza konspiracji i w krwawą łaźnię Powstania. Dopiero jako rozbitek AK po drugiej stronie wojny próbuje się wyłamać z owej kławy, towarzyszącej losom pokolenia. „Życie”, trzecia część „Kolumbów”, zawiera prawie dosłowną, cienko fabularyzowaną wersję powrotu Jerzego — Bratnego do Polski i opis sytuacji w jakiej redagował *Pokolenie*. Strukturalnie jest to najślabza część trylogii: schematyczna, z rolami porozdawianymi pod kątem publicystycznych potrzeb, ubóstwo analiz pokrywająca egzaltacją i pasażami sensacyjnej akcji. Ale nawet tu zadziwia autentyczna ostrość rysowanych konfliktów, dzisiaj w oficjalnym piarstwie niespotykana.

Dla polskiego czytelnika Bratny pozostał przede wszystkim autorem „Kolumbów rocznik 20”. I właściwie tylko dlatego, że „Kolumbów” napisał, warto jest się zajmować „Pamiętnikiem moich książek”. Wprawdzie żadnych tajemnych głębi Bratny w „Pamiętniku” nie odkrywa, ani politycznych, ani światopoglądowych, ani warsztatowych. Osobisty motyw ogłoszenia tej książeczki jest właściwie dosyć zagadkowy. Wyznania na temat własnej praktyki pisarskiej sprowadzają się do ogólnikowych deklaracji, że Bratny wierzy w realizm. — „W realizmie widzę metodę formowania fikcji literackiej najbliższą rzeczywistości, z których się tę fikcję buduje” — taką definicję własnej estetyki oferuje nam Bratny. I dalej: — „... jeśli za czymś tęsknimy w literaturze, to za słowem mówiącym mądrze i szczerze o czasie obecnym. Stąd moje przekonanie do realizmu i przeświadczenie, że takie słowo jest jedynym prawdziwym czynem pisarza, jedyną jego powinnością, jedynym i koniecznym jego 'politykowaniem'. Mówi się o potrzebie 'obywatelskiej' postawy pisarza, sądzę, że ta obywatelskość przejawiać się może i musi tylko jego piarstwem, nie doraźnym wyżywaniem się w epistołach ostentacyjnie kierowanych do władzy”. — Tak więc od banalnych, nie osobistych, nieobowiązujących uogólnień na temat metody, poprzez następny banał o funkcji społecznej pisarza, wracamy nieuchronnie, jak obciążone wahadło, do aluzji politycznych. Aluzje polityczne są w gruncie rzeczy duszą tej książeczki, jej najgłębszym nurtem. Jest to w sumie rzecz o politycznych losach jednego pisarza w Polsce Ludowej, startującego z trudnych pozycji, motywowanego tęsknotą do konformizmu, pragnieniem

ułożenia się z rzeczywistością, gotowego do płacenia za to jeżeli nie każdej, to w każdym razie pokażnej ceny. Z samych aspiracji autora i z daty wydania (dwadzieścia dwa lata po roku 56) wynika, że „Pamiętnik” nie jest „słowem mówiącym mądrze i szczerze o czasie obecnym”. Ale przecież nie bierze się takich programowych stwierdzeń dosłownie. Jest to raczej popis formy mistrza-słalomisty, który na każdą bramkę najeżdża jak najbliżej, trąca nawet, po to by wyminąć, raz po razie, z maksymalną brawurą. Tak się zachowują dziś w oficjalnej Polsce pisarze poczytni, a przez Partię wciąż jeszcze dobrze notowani. I z tych aluzji, zawijasów, potrażeń, dopowiadać trzeba prawdziwą drogę autora, prawdziwy jego świat, jego horyzonty.

„Październik” i ukazanie się „Kolumbów” okazały się punktem kulminacyjnym pisarskich losów Bratnego i momentem spełnienia. Do tej chwili kariera autora jawi się w jego niedopowiedzeniach jako okres rozpaczliwej szamotaniny, by dopasować się do nierozumnych, a groźnych w skutkach manewrów nowej władzy. Tylko na początku stawką w grze jest coś więcej niż osobisty los Bratnego. Powojenne poczucie misji, z jakim wyładował w Warszawie, stało się pierwszą ofiarą jego stalinowskich doświadczeń. Dla jego zaniżonych aspiracji Polska popaździernikowa, Polska Gomułki i Gierka, okazała się wystarczającym przytułkiem. Napisał swoje *opus magnum* i doszłusował do szeregów Partii, gdzie akowska przeszłość przestała być zbrodnią, już nie groziła życiową katastrofą. Częściową, ograniczoną rehabilitację AK — według zasady, że młodzież szła w jej szeregi z uczuciem prawdziwie patriotycznym, nie zdając sobie sprawy z niesłusznej, wrogiej orientacji dowódców — Bratny przyjął jako wystarczającą. Akowców wypuszczono z więzień, przyznano im status byłych kombatanów, progi ZBOWiD’u stanęły dla nich otworem. I chociaż odurzające swobody Października ulotniły się szybko, chociaż kontrofensywa cenzury przywróciła jej rządy na wszystkich polach narodowej kultury, chociaż rozmiary stalinowskiej inkwizycji i jej przewrotne okrucieństwo pozostają na liście zakazanych tematów, a niewinnie więzieni Akowcy objęci amnestią nie zostali nigdy publicznie zrehabilitowani (jedynym bodajże wyjątkiem jest przypadek Kazimierza Moczarskiego, który doprowadził do oficjalnej rehabilitacji swojej i dwóch współoskarżonych w grudniu 1956 roku, nim Partii wróciły jej normalne siły), sprawa jest raz na zawsze załatwiona, według formułki: „zapomnijmy wam, żeśmy wam łamali kości, jeżeli i wy zapomnicie”.

Tak więc w okresie, kiedy niektórzy jego koledzy zwracali, lub tracili legitymacje partyjne, Bratny nareszcie wszedł w obustronnie ufne i trwałe związki z Partią, by „jej towarzyszyć w

częstym dobrym i nie opuścić w nierzadkim złym czasie” — jak pisze w „Pamiętniku”. Od tej chwili jego los się wyprostował, przestał chłonać napięcia polityczne, bo i „złe” czasy Partii wcale nie są takie złe dla jej dworzana. Po Październiku napięcia znikają także i z kartek „Pamiętnika moich książek”. Choć może nie całkiem, bo miejsce niepokojących stosunków z władzą, zajmuje niepokojąca potrzeba obrony swego społecznego prestiżu. Bo przecież Bratny czuje, że stał się publicznym przykładem oportunisty. Ten milczący, niewypowiedziany zarzut przeniknął na kartki „Pamiętnika” i wprowadził tam ton defensywny. Broniąc się, Bratny przywołuje racje sobie sprzeczne. Raz wydaje się mówić, że skoro kryteria obiektywne przestały (jego zdaniem) istnieć, skoro „prawda” rodzi się wyłącznie z ducha czasu, lepiej jest błądzić z Partią, kurczowo się jej trzymając, niż bez niej. Jednocześnie wygłasza pochwałę niewiary, choć nie nazywa jej na całego, że zawsze zachowywał jakiś wolny zmysł, który mu podszeptował, co jest naprawdę grane. Nawet w szczytowym okresie Stalinizmu. „... Przecież w jednym ten J (w „Pamiętniku moich książek” „J” jest żartobliwie egocentrycznym kryptonimem autora — B.S.) miał przewagę nad swoimi współtowarzyszami w pryszczatym fanatyzmie. J. znał albo raczej domyślał się ceny. ... Akceptowałem, znając w przybliżeniu koszty. A jak mało warta była akceptacja 'bez ale', mogłem przekonać się w Październiku, kiedy wicher zachwiał pomnikami”.

A więc wierność skojarzona z niewiernością; wierność ile Partii, niewierność poglądom i programom, które zmieniać należy, jeżeli sytuacja tego wymaga. Taki jest przepis Bratnego na konsekwentną postawę polskiego pisarza. Najwyższą niechęć budzą w Bratnym przykłady bezinteresownej gorliwości, zarówno w służbie Partii jak i w obronie tak modnej dzisiaj — ironizuje autor — „osoby ludzkiej”. W „Pamiętniku moich książek” ważną rolę gra zespół antybohaterów, owych gorliwców, w porównaniu z którymi postawa Bratnego imponować ma trzeźwą równowagą. Na postać negatywną kwalifikuje grzech emigracji, zarówno powojennej jak i pomarcowej, ale najbardziej odrażające są dla Bratnego przykłady kolegów-pisarzy, którzy pozostali w Kraju lecz dzisiaj są w konflikcie z Partią, mają zakaz druku, i działają w nieoficjalnym, nieocenzurowanym ruchu wydawniczym, a kiedyś byli, razem z nim, „pryszczatymi fanatykami” stalinizmu. Są tam Wiktor Woroszyński, Kazimierz Brandys, Jacek Bocheński, Jerzy Ficowski, Jerzy Andrzejewski. Najczęściej wraca na kartki „Pamiętnika” i najbardziej mściwie jest traktowany Wiktor Woroszyński. Stopień zaangażowania Woroszyńskiego w pozycję przeciwną wierzeniom stalinowskiej mło-

dości, Bratny wydaje się odbierać jak osobistą obrazę. Oto obrazek ze zjazdu Związku Literatów Polskich jesienią 1956 roku: „... nim zrobiłem parę kroków, by spenetrować salę — stanąłem znieruchomiały. Przemawiał Wiktor Woroszyński. Mój wieloletni partyjny mentor, który syna nazwał Feliksem, by uczcić pamięć Dzierżyńskiego, stał oto na trybunie i apelował o pomoc dla Budapesztu. Padało słowo 'powstanie', apel o czyn, bodaj słowo 'legion'. ... Ogarnęła mnie furia na obecnego chorążego liberalizmu przez 'l' większe niż los Polski, niż życie narodu”.

Ten antagonizm ma podłoże głębsze, bardziej osobiste, niż rezejsie się politycznych dróg. (Nie mam na myśli ewentualnych pretensji towarzysko-osobistych. Nie wiem, czy istniały). W grę wchodzi dwie odmienne, sprzeczne koncepcje wierności sobie. Po bolesnych wojennych i powojennych lekcjach światopogląd polityczny Bratnego skurczył się do rozmiarów prywatnych, użytkowych, by wyznaczyć zakres własnej inicjatywy, przestrzeń po której swobodnie można się poruszać. Kamieniem węgielnym tego światopoglądu jest akceptacja przemocy, przekonanie, że nie ma sensu jej się opierać. Bratny wierzy, że tę żabę przelknąć trzeba ochoczo, jawnie, z pełną świadomością, bo to daje bystrość orientacji w świecie. Dopiero wtedy można jakoś zapanować nad własnym losem, zająć się sobą, wykorzystać wolność niedostępną zaangażowanym naiwnym.

Postawa Bratnego nie jest wcale — przynajmniej — przypadkiem krańcowym. Są w niej główne rysy szerokich w Polsce współczesnej przekonań społecznych, postaw pod ogólnym tytułem „śmierć frajerem”. Nie trzeba w nic wierzyć. Nic nie daje walka z wiatrakami. Żeby żyć, trzeba znać życie. Należy „pogłówkować”, znaleźć własne chody i sposoby, przystosować się do systemu, znaleźć i wykorzystać istniejące w nim luki. Wykonywanie rytualnych gestów nic nie kosztuje, skoro i tak nie wierzy się w ich treść.

Może istnieją w Polsce sytuacje życiowe i zawodowe gdzie taka kombinacja zewnętrznego konformizmu z drapieżną zapobiegliwością wystarcza by skonstruować przyzwoitą prywatną egzystencję. Na pewno jest ich niewiele. Z zasady droga życiowa człowieka praktycznego prowadzi w Polsce między wiatraki nie romantycznych, rycerskich aspiracji, lecz absurdów niepraktycznego a zachłannie zaborczego systemu. A już na pewno przyzwoity konformizm nie jest opcją dostępną dla polskiego pisarza, którego inspiruje współczesność własnego kraju. Bratny tę prawidłowość ilustruje wymownie.

Zespół antybohaterów — byłych Stalinowców, którzy są dzi-

siaj „chorążymi liberalizmu” — jest Bratnemu w „Pamiętniku” potrzebny, żeby sobie przypisać cnotę wierności. Tak się zdarza, że prawie wszyscy z tej grupy są akurat objęci zakazem druku. Jak wiadomo, cenzura w Polsce, poza swoją swywkłą rolą polityczną, pełni także funkcję policyjną, jako bezpośrednie narzędzie represji. Nie tylko zabrania się drukować utwory Woroszyńskiego, Bocheńskiego i wielu innych, ale zdejmowane są wszelkie pochlebne, czy chociażby wyłącznie rzeczowe wzmianki o tych pisarzach. Pisać o nich wolno tylko napastliwie i źle. Z tego przywileju kopania bezbronnych Bratny, pisarz partyjny, korzysta całkiem skwapliwie.

Rzeczywiście jest w tym pewien rodzaj konsekwencji. Bo skoro się wierzy, że światem rządzić musi przemoc, i że trzeba się z nią sprzymierzyć, by wyjednać dla siebie wysepkę osobistej wolności, groźnym adwersarzem staje się każdy, kto przemocy się opiera, bo wolność uważa za konieczną cechę dynamiki życia publicznego. Skoro być silniejszym znaczy tyle samo co mieć rację, trzeba swoją siłę demonstrować. Skoro wierzy się w przemoc, trzeba przemoc stosować.

Tak to wierność Partii w swoich konsekwencjach zaprzecza praktycznym odruchom pisarza sprytnego, które go kiedyś do Partii skierowały. Popieranie władzy wydawało się ciągiem gestów bez znaczenia. Liczyć się miały tylko prawdy życia osobistego, zabezpieczonego akcesem do Partii. W praktycznych efektach jest odwrotnie. Głos własny stał się udawaniem, pustą deklaracją bez zobowiązań. Liczy się tylko popieranie władzy. Jak się nie śmiać, kiedy Bratny roni krokodyle łzy nad srogością cenzury („Zawsze mi się marzy, że dożyję czasów, gdy polityka będzie mogła ograniczyć swą ingerencję do rozpowszechniania dzieła”). I on, i czytelnik wiedzą, że taki głos ubolewania nad koniecznością ograniczania wolności twórczej, jest aktem pełnego zaangażowania po stronie cenzury. Publiczna działalność wiernego Partii pisarza jest przecież cementowaniem w kulturze systemu przemocy.

Koło kariery Bratnego się zamyka. Debiutował jako pisarz w akowskim podziemiu. Redagował pismo, składane i powielane na warszawskich „melinach”, zakonspirowanych przed niemieccy pny Wydawniczej”, sprzymierzeni z grupą wybitnych kolegów Bratnego, składają i powielają nieocenzurowane pisma, na „melinach” zakonspirowanych przed polską policją. A wierny Partii Bratny solidaryzuje się z policją i pomaga jej, piórem, jak może. Proces ewolucji nieroztropnego Akowca uznać już można za zakończony.

„Pamiętnik moich książek” czyta się jako kronikę tej pou-

czającej wewnętrznej przemiany. Prześledzić ją można w różnych pionach, uzupełniając, ewentualnie, lekturą „Kolumbów”. Na przykład: Bratny a sprawa żydowska. Legitymuje się łatwo, że rasistą nie był. W „Kolumbach” prototypem postaci od której cała trylogia wzięła swój tytuł, był Żyd, przyjaciel Bratnego. Są w powieści ładne kartki — nie cytowane w „Pamiętniku” — o zgnieceniu przez Niemców, na oczach Warszawy, powstania w getcie. Jerzy — portret Bratnego — wstydi się reakcji niektórych rodaków. „... Wracał jakiś zbity i zmęczony. Znow plac Krasieńskich. Teraz już południowa świąteczna pora uruchomiła karuzelę. Gramofonowa muzykaniosła się zwycięsko ponad odległą palbą. Jakiś wyrostek, nadając elastycznym ugięciem kolan szczególnie wysoki lot huśtawkowej łódeczce, wzbijał ją prawie do pozycji pionowej, i tak — odwrócony jak w soczewce fotograficznego aparatu — relacjonował urwanymi okrzykami szczegóły zaobserwowane za murem. — Grzeją do niej... — krzyczał i opadał nieubłaganie w dół. Tramwaj ze stojącym na pomoście Jerzym jechał powoli. — Leży, już leży — piszczał wyrostek, znow u zenitu wesołego lotu. Jakaś pani komentowała cichcem 'straszne kokosy' jakie zrobią 'poniektórzy'...”

W dwanaście lat po napisaniu „Kolumbów”, nadszedł „Marzec”. Bratny przyjął orgię wyczyszczania Żydów z partyjnych i niepartyjnych stanowisk jako jeszcze jeden wyrok Historii, która zawsze ma rację. Po kolejnych dziesięciu latach pisze o tym w „Pamiętniku”: „Rok 68 przechodzi do historii pod kryptonimem 'Marzec', streszcza go w interpretacji jednego trendu — czyniań 'antysemickich', w interpretacji drugich — 'syjonistycznych'. W istocie to strona atakowana wołała głośno o etnicznym charakterze konfliktu, choć był on konfliktem przede wszystkim politycznym. ... Wielu 'sędziów' pożegnało nas w roku 1968. Jeśli był to rok niesprawiedliwy, to miał w sobie często tę może podejrzaną sprawiedliwość: 'niesprawiedliwość za niesprawiedliwość'. ... Jakby najprościej określić to, co było siłą owego 'partyzanckiego' epizodu naszej historii najnowszej? A więc dla ludzi z moim życiorysem uznanie walki o kraj jako wartości weryfikującej polskość bez względu na racje i 'nie racje' polityczne, a więc odwołanie się do czegoś autentycznego — bo do przeszłości choćby zmitologizowanej, ale przecież w podstaw prawdziwej, a więc ufność w wartość własnej historii, a więc nadzieja na lepsze i bardziej polskie dzianie się naszego życia”. Czyli że dla Bratnego, wypędzenie Żydów oznaczało spełnienie nadziei, które kiedyś, po wojnie, sprowadziły go z niewoli do Kraju: nareszcie Polska jest własnością „prawdziwych” Polaków, wiernych Partii, jak on.

Wcale się nie zagalopowałem. Wszystko jest jasno i czytelnie w „Pamiętniku” wyłożone. Pochwała „Marca” jest jednym z wielu symptomów zdewaluowania języka, zgrubienia odruchów i generalnego politycznego schamienia Bratnego w miarę przystosowywania się do stereotypów produkowanych przez partyjną propagandę. Świadek i kronikarz losów pokolenia AK — przeżyć grupowych tak miażdżących i bolesnych jak chyba żadne w dziejowym dramacie Polaków — dzisiaj się specjalizuje w trywializowaniu doświadczeń rodaków, w redukowaniu ich do wulgarnych i półprawd i pokornych kłamstw.

Bratny jako pisarz nie zasługuje by się nim dalej zajmować. Bratny jako przypadek, jako typ egzystencji, nadal niepokoi. Jest to negatywny, szczególnie odpychający przykład postaw barbarzyństwa, niezwykle w naszym kraju rozpowszechnionych. Tak jakby autochtoni tych ziem ewoluowali w kierunku przeciwnym niż normalny, przemieniając się w lud koczujący, o płytkich kożeniach, i o zaborczym, chciwym stosunku do swojego a jakoś nie swojego Kraju. „Kolumbami” oni raczej nie są, a Polska Ludowa nie okazała się Ameryką. Łatwiej ich zobaczyć jako tłum Robinsonów, rozbitków improwizujących własną egzystencję z zasobów niezagospodarowanej, niezbadanej i niezrozumianej Polski.

Przyczynowe źródła takich polskich postaw są na pewno liczne, skomplikowane i po części wciąż skryte przed naszym wzrokiem. Podpisanie wszystkiego pod wpływ nigdy nie przyjętego, obcą siłą narzuconego systemu, niewiele pozwala zrozumieć. Zasugeruję tutaj jeden tylko aspekt owego procesu dziczenia, nie obojętny dla ludzi kultury. Nie wolno na własnej drodze pozostawiać niezbadanych kraterów, nie starać się zrozumieć najgłębszych swoich klęsk, swojej hańby. Rozkład Polski Podziemnej i otchłań Stalinizmu to czarne jamy w zbiorowej świadomości Polaków. Tych kilka filmów, powieści i wspomnień, które spraw tych ostrożnie dotykają, to nawet jeszcze nie początek potrzebnych, odważnych i ambitnych eksploracji. To o wiele za mało by uczynić wyrwę w chińskim murze kłamstw i w nasypach milczenia, które — chociaż swego czasu było zrozumiałym odruchem obronnym — dzisiaj kłamstwom się równa. To za mało by pamięć tych rozdzierająco bolesnych i wstydlivych konwulsji, z których urodziła się dzisiejsza Polska, uczynić wspólną, włączyć w obieg kultury.

Bratny już tego nie zrobi: Nadzieje na takie dzieła należałoby dzisiaj wiązać z jego byłymi kolegami, a obecnymi „chorążymi liberalizmu”. To co już na ten temat mówili — Woroszyński w „Literaturze”, Brandys w „Nierzeczywistości”, Kon-

wicki w „Kalendarzu i klepsydrze” — zbyt jest defensywne i wąskie, uziemione założeniem, że chodzi o przeżycia prywatne i zamknięte, niemożliwe do przekazania. — „Powiedzmy jednoznacznie: byłem pryszczatym i byłem stalinistą” — pisze Tadeusz Konwicki na początku swej krótkiej i skądinąd znakomitej relacji o zaczadzeniu stalinizmem. Po czym zapewnia, że od współczesnych nie oczekuje zrozumienia. — „Gwarzę sobie z ludźmi o wyłupionych oczach, rozdeptanych uszach, połamanych kręgosłupach, którzy razem ze mną stanowić będą gnój historii”.

Nie chodzi o wyznanie — „byłem stalinistą”, a sam akt cywilnej odwagi. Nie chodzi nawet o wyjaśnienie, jak do tego doszło, że tylu utalentowanych, bystrych i ambitnych ludzi wprowadziło siebie w stan ślepego fanatyzmu. Tonącym rozbitkom każdy ład na horyzoncie wydaje się brzegiem nadziei. Chodzi nie o główne fakty, a o treść doświadczeń na dnię polskiego stalinizmu.

Jak tam było? Potrzebna jest Polakom szczerosc świadków. Bez niej, bez przekazu krańców doświadczenia, zbiorową naszą mądrość nadal określać będzie hasło — „śmierć frajerom”.

Bolesław SULIK

Dziennik pisany nocą

Neapol, 14 stycznia 1979

Hemingway lokalizował dokładnie źródło swego wigoru pisarskiego: były nim nazywane z hiszpańska *cojones*, czyli „jaja”. Kiedy Max Eastman zrecenzował niepocholeśnie jedną z jego książek, Hemingway wyzwiał zuchwalca na osobliwy pojedynek: obaj panowie, autor i recenzent, mieli się obnażyć do pasa wobec sędziowskiego gremium, które orzekłoby komu należy się prymat owłosienia piersi. Włochata pierś stanowiła najwidoczniej dla Hemingway’a ekwiwalent, od pasa w górę, bardziej wstydlivych i nie tak łatwo wymiernych *cojones*. Eastman stchórzył i nie przyjął wyzwania, wiedząc że jego pierś pokryta rzadkimi włoskami nie może się nawet równać z szczeciną Mistrza. Zdarza się czasem czytać w mniej lub więcej aluzyjnej formie, że samobójczy wystrzał sześćdziesięciodwuletniego ojca współczesnej prozy „muskularnej” (czy, jeśli kto woli, „jądrowej”) był reakcją na osłabienie przewodu między *cojones* i maszyną do pisania. Trzeba to prawdopodobnie rozumieć nie tylko w sensie zakłócenia „aktu kreacyjnego”. Hemingway stworzył mit literatury zrosniętej fizycznie z doświadczeniem, pisarza towarzyszącego w życiu tworam własnej wyobraźni. Pociągnął za cyngiel, gdy wydał się sam sobie poniżej własnych postaci. Pożegnalną metaforą była opowieść *Stary człowiek i morze*.

Proza „muskularna” zastanawiała często Jerzego Stempowskiego, uważał ją za zjawisko niepokojące i szkodliwe dla literatury. Ilekroć o niej mówił bądź pisał, odwoływał się do definicji sentymentalizmu w książce Richardsa o krytyce literackiej: niewspółmierność między wyrazem uczuć i motywującymi je oko-

licznościami. Sentymentalizm może być łzawy i pełen krzepy. Hemingway, według Richardsa, doprowadził do doskonałości drugą odmianę.

Jeśli pisarz utalentowany znajduje swój styl, ale ma w nim do opowiedzenia rzeczy dość zdawkowe z ciągłym „nadrywem” sentymentalizmu, pod piórem jego naśladowców i uczniów ten styl zamienia się szybko w manierę. Był czas, że „hemingwayizm” przybrał wśród początkujących prozaików na całym świecie rozmiary epidemii. W jakiejś mierze sprzyjała temu rosnąca brutalizacja życia. Rytm prozy wybijany pięścią, z okrasą grubiańskiej leksyki, mógł uchodzić za „profil epoki”. Wielka epidemia stopniowo wygasła, pozostawiwszy jednak po sobie obszary zakażone. Działa na nich obecnie nie tyle sentymentalizm pełen krzepy, co estetyzujący brutalizm. Wciąż trafiam na opowiadania młodych prozaików (także polskich), w których brutalizowane do maksimum opisy są całkowicie *gratuit*, nie wyrażają niczego poza zwykłym smakowaniem gwałtu. Gdyby współczesna proza tylko tak miała dowodzić swojej „żywności” i swoich „związków z epoką”, byłbym w krytyce literackiej za wycinaniem młodym pisarzom sławetnych *cojones* i wypalaniem im włosów na piersiach.

15 stycznia

Stawia się obok siebie dwa bliźniacze miejsca zagłady Oświęcim i Kołymę, ostatnio zrobił to Robert Conquest w książce *Kołyma — The Arctic Death Camps*. Z Kołymy wyszedł cudem, po blisko dwudziestu latach uwięzienia, Warłam Szałamow: pisarz przed którym wszyscy literaccy „gułagiści”, nie wyłączając Sołżenicyna, powinni skłonić głowy. Tom przeszło stu *Opowiadań kołymskich*, wydany po rosyjsku dzięki staraniom i z przedmową Michała Hellera, zawiera przypuszczalnie cały obozowy dorobek pisarski Szałamowa.

Chcę tu zanotować jedną cechę opowiadań Szałamowa, trochę *à propos* mojego wczorajszego zapisu. Nigdy nie posuwa się on, w swym obrazie kołymskiego piekła, poza granice krótkiej, suchej, niemal bezbarwnej relacji o potwornościach Kołymy, o dnie ludzkiej egzystencji, wystrzegając się pokus dopasowania stylu i języka do relacjonowanych, okrutnych faktów. Posługuje się językiem konwencjonalnie rzeczowym, właściwym raczej kronikarzowi czy autorowi raportu, niż noweliście. Unika wykrzykników i dramatycznego rozdymania słów, nawet tam gdzie mógłby do tego prowokować przedmiot opisu. Opowiada głosem wyrównanym i spokojnym, jakby lekko przyciszonym, z odcieniem

smutnego zamyślenia. Krócej mówiąc, wyczuwam w nim instyktowny lub świadomy lęk przed zasadzkami „brutalnej” literatury „wstrząsów” w imię wierności własnej pamięci. Ta wierność jest tak czysta i absolutna, tak jednocześnie zakorzeniona głęboko w rzeczywistości kołymskiego świata, że nad nowelami Szałamowa roztacza blask sztuki. Dziwny, nieoczekiwany blask w czeluściach bezkresnej nocy.

W trzystronicowej noweli *Protezy* wsadzają do izolatora obozowego kilku więźniów, same kaleki z wyjątkiem autora. Do cel izolatora nie wolno zabierać przedmiotów nieprzewidzianych regulaminem, odbywa się więc „zdawanie” protez: stalowego gorsetu, sztucznej nogi, sztucznej ręki, trąbki akustycznej, sztucznego oka. Przychodzi kolej na Szałamowa, stojącego nago przed dozorcą izolatora. „Wszystkie części ciała tu zbierzemy — śmieje się cicho dozorca. — A ty co oddasz? Duszę oddasz?”. „Nie — powiedziałem. — Duszy nie oddam”.

W *Protezach* tkwi może cały sens *Opowiadań kołymskich*. Oddasz „protezę” duszy, czy nie? Szałamow zauważa w innym opowiadaniu, że „obóz był wielką próbą sił moralnych człowieka, zwykłej ludzkiej moralności, i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi tej próby nie wytrzymało”. Píše też o *religioznikach*: „Bardziej godnych ludzi niż wierzący w łągrach nie widziałem; deprawacja ogarnęła dusze wszystkich, trzymali się tylko wierzący”. Nie należał do nich Szałamow, co wskazuje że słowo „tylko” jest przesadą. Ale przesadą pozorną, bo w sowieckim „wszechświecie koncentracyjnym” wiarą albo w każdym razie predyspozycją do niej stawało się przywiązanie do „protezy” duszy. Imienia Boga nie wzywano nadaremno, a modlitwy własnego układu zmawiane w duchu przez ateistów, agnostyków i indyferentnych były szeptem bezbronno lecz upartego człowieczeństwa. Gdy upór pękał, następowało przed ostateczną kapitulacją to co w psychologii określa się jako „stupor”: wpatrywanie się zmętniałym, nieobecny wzrokiem w jeden punkt; połączone zapewne z niejasną i spóźnioną świadomością, że człowiek jest za słaby by szukać oparcia wyłącznie w sobie.

Czy można żyć bez nadziei? Postawił to pytanie Dostojewski w *Zapiskach z martwego domu*. Jego dalekie echo słycać w moim *Innym Świecie*. Heller przytacza dwie wypowiedzi o nadziei, Szałamowa z Kołymy i Tadeusza Borowskiego z Oświęcimia. Szałamow: „Dla więźnia nadzieja to zawsze kajdany. Nadzieja to zawsze niewola. Człowiek z nadzieją na cokolwiek zmienia swoje zachowanie, postępuje źle częściej, niż człowiek bez nadziei”. Borowski: „Nigdy w historii ludzkości nadzieja

nie była tak silna, nigdy też nie przyniosła tyle zła co w tej wojnie, w tym obozie. Nie nauczono nas wyrzekać się nadziei, i dlatego ginie w komorach gazowych”. Nie można żyć bez nadziei, a żyć z nią oznaczało w łagrach pozbawiać się mizerynych resztek udziału we własnym losie, jak choćby zdolność do beznadziejnego buntu lub samobójstwa. Natomiast nadzieja *religiozników* była inna, wznosiła się ponad rachubę dni, miesięcy, lat, dosięgała wolności do której oprawcy nie mieli dostępu.

Sprawy minione, w dużym stopniu już ostygłe. Z upływem czasu do trzech tomów *Sołżenicyna* będzie się zaglądać jak do podręcznego przewodnika encyklopedycznego; a sto opowiadań *Szałamowa* oglądać przez szybkę w gablocie jak sto skamieniałych odprysków „cywilizacji więziennej”, z wyraźnymi odciskami słów i przyblakłymi zaciekami koloru rdzy. Zaś przyszły historyk Rosji powie, że jej „cywilizacja więzienna”, zbudowana po zwycięstwie „rewolucji socjalistycznej”, odegrała rolę jednego z impulsów jej „odrodzenia religijnego”.

24 stycznia

Nazajutrz po wojnie w Rzymie zjawił się Jan Dobraczyński. Słyszałem go opowiadającego, z nutą adoracji w głosie, o Wodzu. W wersji Dobraczyńskiego generał Sierow i Bolesław Piasecki toczyli „wielogodzinną dysputę filozoficzną materialisty ze spirytualistą”, tym dramatyczniejszą że od jej wyniku zależało zatwierdzenie lub uchylene wyroku śmierci. A wynik był taki, że Sierow napisał na aktach sprawy Piaseckiego: „Błądzi, ale można wykorzystać”. Byłem pewien że Dobraczyński się przejęczył, że zamiast „wykorzystać” chciał powiedzieć „współdziałać”, „współpracować” czy coś w tym guście. Wcale nie. W opowiadaniu nastąpiła pauza, która miała przygotować efekt końcowy. Pamiętam ten efekt końcowy dokładnie: „Jota w jotę to samo pomyślał Piasecki, naturalnie w odwrotnym kierunku: błądzi, ale można wykorzystać”.

Transakcja opłaciła się obu stronom, chociaż każda spodziewała się po niej grubo większych korzyści. Czego spodziewał się „materialista”, łatwo odgadnąć. Co do „spirytualisty”, to musiał już chyba wtedy, mimo że ledwo urwał się ze stryczka, roić o wstąpieniu na drogę „współrzędzenia”. Ciekawa książka Andrzeja Micewskiego *Współrzędzić czy nie kłamać?* formułuje w pierwszym członie pytania tytułowego („współrzędzić”) akt oskarżenia pod adresem Piaseckiego i ruchu paxowskiego; w drugim („nie kłamać”) wystawia słusznie laurkę *Tygodnikowi*

Powszechnemu. Dzieje grupy Znak nakreślone są w ramach „niezależność moralna-pułapki polityczne”. Interesujące byłoby ustalić, czy Znak nie zaraził się jednak trochę od Piaseckiego rojeniami o „współrzędzeniu”. Przypominam sobie drobny epizod, dość znamienity choć pozbawiony naturalnie jakiegokolwiek wartości dowodowej. Zawieyski, w czasie swego pobytu we Włoszech pod koniec lat pięćdziesiątych, tłumaczył z namaszczeniem dziennikarzowi włoskiemu na czym polega jego urząd członka Rady Państwa: zależało mu by na Zachodzie doceniano w pełni że Rada Państwa jest kolektywną Prezydenturą PRL, zatem on Zawieyski może pretendować do tytułu jednej z głów w Wielogłowej Głowie Państwa. Rzecz jasna, sejmowy śpiew łabędzi Zawieyskiego po wypadkach marcowych w duchu „nie kłamać” okazał się po stokroć donioślejszy od jego „współrzędzenia” w charakterze głowy w Głowie. Dewiza *Tygodnika Powszechnego* „nie kłamać”, jak hasło *Sołżenicyna* „nie żyć w kłamstwie”, jest jedyną postacią jawnego oporu w ustroju totalitarnym. Niczego innego się tu nie wymyśli, bo niczego innego poza kłamstwem i jego pochodnymi nie wymyślił totalitaryzm. Owszem, wymyślił jeszcze specyficzną „technologię władzy”, ale jej specyfika zakłada właśnie tępienie (przy równoczesnych próbach wykorzystania) wszelkich postronnych ciągów do „współrzędzenia”.

Teraz, kiedy Piasecki umarł, jego figura zafrapuje może jakiegoś powieściopisarza. Dziwne że nie stało się to przed wojną, jeśli nie liczyć pewnych wątków w zakalcu Brezy *Mury Jerycha*. Oenerowcy byli biesami w polskim formacie kieszonkowym. Wielbili Piaseckiego, jak „nasi” Stawrogina; i nadwiślański Królewicz Bolesław miał ponoć w sobie „magnetyzm” rosyjskiego Iwana Carewicza. Tam w zeszłym stuleciu *pustim pożary*, tu w obecnym „rozpętamy pogromy”. U boku Wodza nie zabrakło także wernego giermka o nikczemności i diabolicznej pomysłowości Wierchowieńskiego. Od mojego przyjaciela ex-oenerowca wiem, że nadwiślański Wierchowieński kazał swojej gwardii bojowej zamordować wybraną na chybił trafił i Bogu ducha winną staruszkę w bramie na Elektorальной: ot tak, dla związania na zawsze bojowców przelaną wspólnie krwią. Dla dzisiejszego powieściopisarza byłby to łącznie z okresem wojennym tylko prolog do właściwej historii, którą zainaugurowała „dysputa filozoficzna materialisty ze spirytualistą”.

27 stycznia

Po latach przeczytałem w tych dniach na nowo *Stanisława*

Augusta Stanisława Mackiewicza. Książka wyszła w Londynie w 1953 roku, powstało dokoła niej sporo szumu, na Mackiewicza zerzano dość podejrzliwie. Do czego zmierza, co knuje, biorąc tak zapalczywie w obronę ostatniego króla? Być może, sprzyjała podejrzeniom data ukazania się książki w polskim Londyniszczu; oraz okoliczność że Mackiewicz nie był przecież historykiem, lecz rasowym publicystą i zwierzęciem politycznym. Bo w zasadzie tezy książki utrzymane były w duchu Kalinki, a więc czytelnik polski nie miał powodu odczuwać żadnego szczególnego zaskoczenia w obliczu odsmażonej pochwały rozumu politycznego, rozważli i trafności przewidywania Stanisława Augusta. Kukiel pisze w swoich *Dziejach*: „Zdaniem Kalinki polityka ostatniego króla mogła być Polskę ocalić; czy tak było istotnie, rzecz dotąd sporna”. Nie była sporna dla Mackiewicza; i to wszystko.

Ale *Stanisław August* posiadał jedną cechę zdolną do podrażnienia, i postawienia w stan czujności, tzw. polskiej wrażliwości patriotycznej. Mackiewiczowi bardzo chodziło o to, by świadomość historyczną Polaków oczyścić ze zbyt wygodnych stereotypów; by była ona świadomością możliwie pełną, tak w dobrym jak w złym, a nie maścią na wstydlive narodowe choroby, rany, kompleksy. Pod koniec książki, wyliczywszy zarzuty stawiane ostatniemu królowi, w kilku zdaniach ujął jej główną właściwość myśli: „Wszystko to jest prawdą, czasami wyolbrzymioną przez plotkę, obmowę, złość, namietność, ale prawdą, tylko w tej prawdzie brakuje jednego: zestawienia wizerunku moralnego Stanisława Augusta z przeciętną moralnością Polaka owych czasów. Gdybyśmy to zestawienie uczynili sumiennie, bez propagandowo-romantycznego pociągu do usprawiedliwiania i uniewinniania ogółu Polaków owych czasów, musielibyśmy skonstatować, że Stanisław August nie tylko nie był gorszy od przeciętnego Polaka swoich czasów, ale dużo lepszy”. Nawet odnosząc się z rezerwą do kategoryczności tego twierdzenia, wolno się z Mackiewiczem zgodzić w jego niechęci do zabiegu swoistej lobotomii, wycinania z polskiej świadomości historycznej płatów które są Polakom nie w smak. Takim popisowym zabiegiem lobotomii był nakaz Składkowskiego pochowania Stanisława Augusta w Wołczyńcu, czyli pośmiertnego pozbawienia go praw historycznych z pozostawieniem wyłącznie osobistych. Mackiewicz wspomina o nakazie Składkowskiego jedynie mimochodem, lecz sądzę że w trakcie pisania książki myślał o nim nie raz.

Nie wiedziałem że zjawisko ma swój precedens, dotyczący bardzo odległej przeszłości. O Rykszy, córce palatyna reńskiego i żonie Mieszka II, podręczniki historii mówią że była starannie wykształcona i dbała również o wykształcenie dzieci, dwóch có-

rek i przyszłego Kazimierza Odnowiciela; że po śmierci męża wróciła do Nadrenii i została przeoryszą benedyktyńskiego klasztoru w Braunweiler; i że do śmierci używała tytułu królewskiego. Dopiero w połowie zeszłego stulecia przeniesiono jej prochy z klasztoru w Braunweiler do katedry w Kolonii. Teraz Stanisław Kudlicki opisuje ciąg dalszy. „Ryksza (powiada) była w Polsce nielubiana, wytykano jej niemieckie pochodzenie i fakt, że po śmierci męża opuściła Polskę na zawsze”. Toteż na „niepopularność królowej w Polsce” powołał się w latach trzydziestych kardynał Hlond, gdy mu podczas wizyty w Kolonii ofiarowano przeniesienie prochów Rykszy do Polski. Sprawa odżyła po wojnie w toku rozmów pomiędzy episkopatami Polski i Niemiec, ale episkopat Polski nie okazywał większego nią zainteresowania. Wreszcie prochy przywiózł do Polski w prywatnym bagażu jeden z biskupów Kolonii, i pochowano je po cichu w Opactwie Tynieckim.

Historycy podają powód wyjazdu Rykszy z Polski po śmierci męża: wrogi do niej stosunek możnowładców polskich.

31 stycznia

Jeśli w kraju sporządzana jest orientacyjna choćby lista najbardziej poszukiwanych książek emigracyjnych, to od przeszło pół roku figurują na niej z pewnością w czołówce *Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz Zielińskiej. Ciągłe mnie o tę książkę proszą lub dopytują przyjezdni świeżo z kraju, ciągle mi o niej mówią ci którzy zdążyli ją już przeczytać. W wrażeniach z lektury przewijają się najczęściej dwa punkty: odkrycie bogactwa i różnorodności literatury emigracyjnej; uznanie dla ogromnej czytelności książki, dla swady z jaką autorka potrafiła to wszystko *opowiedzieć*, mieszając we właściwych proporcjach suchą i rzeczową informację z potocznością i żywością relacji. Podkreślenie tych dwóch punktów wydaje mi się trafną charakterystyką *Skiców*. Zwłaszcza drugiego: sam przecież, mimo że do literatury emigracyjnej należę i dużo o niej wiem, przeczytałem książkę Danilewiczowej jednym prawie tchem. Dałoby się zapewne wskazać i słabsze jej strony: jedną — pobieżność analiz krytyczno-literackich — wytknął Barańczak w *Zapisie* (według mnie była nie do uniknięcia w tak zaplanowanym obrazie). Natomiast świetny użytek zrobiła Danilewiczowa z własnego doświadczenia powieściopisarsko-novelistycznego: *Szkice* odtwarzają klimat i barwę różnych okresów i terenów wędrówki emigracyjnej, oraz przynoszą szereg celnych sylwetek pisarzy emigracyjnych. W sumie tom, dzięki któremu literatura emigracyjna

przestała być dla zwykłego czytelnika pojęciem mglistym albo zanadto fragmentarycznym. Zadaniom czytelności i „panoramizacji” nie umiała na ogół, przy wszystkich swoich oczywistych zasługach, sprostać *Literatura polska na obczyźnie* pod redakcją Terleckiego (zresztą mocno już przestarzała).

Gombrowicz miał na emigracji etatowego niemalże „prześladowcę” w osobie miłego skądinąd pisarza, który przy byle sposobności wyruszał przeciw niemu w pełnym rynsztunku „naukowości”. Gombrowicz, zamiast go po prostu ignorować, wpadł na pomysł zrobienia z niego w dzienniku postaci „doktora polonistyki”. I co jakiś czas dowcipnie wstępował z nim w szranki. Gorszy znacznie od „doktora polonistyki” jest profesor polonistyki (i w dodatku poeta), nacierający w ciężkiej „naukowej” zbroi z pochyloną kopią na książkę Danilewiczowej w *Wiadomościach*. Jego atak na *Szkice* jest serią ciosów na osłep w próżnię, w stylu gniewnych i gromkich adnotacji nauczycielskich na marginesach wypracowań szkolnych; sama książka, która nie musi w końcu podobać się wszystkim i jak każda inna mogłaby być przedmiotem inteligentnej krytyki czy polemiki, pozostaje całkowicie poza zasięgiem tych pchnięć i wywijań. Nie lepiej więc machnąć ręką na artykuł w *Wiadomościach*? Byłoby lepiej, gdyby nie pieniacka jakaś złość i głucha zawziętość profesora polonistyki. Chyba i stąd wzięło się moje skojarzenie z Gombrowiczem, że raczej niż o rynsztunkach, zbrojach, szrankach i kopiach należy tu mówić o niepohamowanych u rodaków rozkoszach podgryzania, kłusania, wrzepiania się, szarpiania, które unieśmiertelnił genialny *Trans-Atlantyk*.

3 lutego

José Bergamin, hiszpański poeta formacji katolickiej, odwiedziliśmy go w Madrycie w roku 1962. Właśnie wtedy wrócił do kraju po długim pobycie na emigracji. Robił wrażenie wystraszonego, niezdolnego do akomodacji. Wkrótce potem wyjechał znowu; i znowu wrócił, ale po kilkuletnim wyczekiwaniu na zgodę władz. W moim prowadzonym dorywczo dzienniczku z roku 1962 znajdują krótką notę o naszej wizycie. Bergamin występuje w niej jako „sceptyk z domieszką umiarkowanego optymizmu”. Brzmi to po siedemnastu latach wcale nieźle, w każdym razie jest próbą spekulacji emigracyjno-krajowych w obozie lewych katolików: „Domieszka optymizmu w rozumowaniu Bergamina pochodzi z lekcji, jaką był wrześnieowy strajk górników w Asturii. Zauważono w nim dwa nowe symptomy: osłabienie reżymu i niespodzianą, prawie spontaniczną reakcję Kościoła, która zdaje się świadczyć o chęci zeskoczenia przy lep-

szej okazji z rydwanu zwycięskiego niegdyś *Caudillo*. Czynnikiem drugim jest zwykłą pochodną pierwszego i posiada naturalnie w sytuacji hiszpańskiej większą wagę doraźną. Odbywa się zatem powolne i ostrożne składanie reżymu do grobu? Być może. Jeśli tak, to nie jest płodem fantazji perspektywa sojuszu postępowych odłamów *Opus Dei*, zadomowionych już w wielu ministerstwach, z wojskiem. Niewiele, ale dość aby uniknąć jatki w okresie przejściowym. A później, co później? Rząd złożony z techników za którymi stoi Kościół i z generałów, lecz pozbawiony cech dyktatury osobistej, nie ma przed sobą innej drogi jak przejść z kolei do referendum instytucjonalnego i rozpisać wybory do parlamentu. Za sobą będzie już jednak miał pierwszy najgroźniejszy moment *vacuum*, chwilę zawieszenia rozstrzygającą o tym czy zacznie się Noc Długich Noży i czy z mroków wynurzy się widmo Paniki i Chaosu. Reszty dokonają pokusy za ścianą: Wspólny Rynek, europejski cud gospodarczy, Ameryka”. Lekko melancholijny wydzwięk mają obecnie owe „pokusy za ścianą”.

Bergamin jest dziś bardzo stary. W zeszłym roku wydał tomik wierszy, z których jeden przedrukowano w włoskim czasopiśmie literackim po hiszpańsku, z dosłownym tłumaczeniem włoskim pod tekstem oryginalnym. Ten wiersz bez tytułu od wczoraj nie daje mi spokoju. Jakby wydestylował ekstrakt ze wszystkiego, co mnie ostatnio dręczy. Muszę go wciągnąć do dziennika, chociaż dosłowne tłumaczenie polskie dosłownego tłumaczenia włoskiego jest żalonym cieniem cienia.

„Zmęczony i znudzony tym światem,/Diabeł nie zwraca już nań uwagi:/czy człowiek żyje w nim lub umiera bez duszy,/nie obchodzi go nic a nic;/czy obraca się w piekło samego siebie,/czy manichezuje się w dobrego lub złego;/czy wierzy lub nie w żywego Boga/albo w Boga martwego jak strach na wróble;/czy czuje lub nie w pulsowaniu/swej krwi ból swej przeszłości;/czy człowiek, wreszcie, aby się odczłowieczyć/śni że jest ludzki, zbyt ludzki;/cała straszna pustka otchłani/jego rozumu, tego w którym się pogrzebał,/nie obchodzi już nic a nic, nic a nic,/ nic a nic, nawet samego Diabła”.



Mój ideał dziennika, niedościgniony, to prawda, nie ma jednak powodu by go nie wyznać. Przesuwa się w nim raz szybciej raz wolniej, raz na scenie raz w tle, „historia spuszczonej z łańcucha”, jak nasze czasy znakomicie określił Jerzy Stempowski. A w lewym dolnym rogu, wzorem niektórych malowideł renesansowych, miniatury i ledwie naszkicowany autoportret obserwatora i kronikarza.

8 lutego

Profesor z Bukaresztu, znawca Lukácsa, opowiedział mi dziś na obiedzie jak doszło do narodzin Naphty. W roku 1922 Tomasz Mann przyjechał z żoną do Wiednia. Któregoś dnia wpadł bez zapowiedzi do ich pokoju hotelowego Lukács i wygłosił długi, namiętny monolog filozoficzny, nie dopuszczając do głosu Manna. Po czym wstał, pożegnał się i wyszedł. Po paru miesiącach Mann, jak było w jego zwyczaju, przeczytał czy dał do przeczytania żonie nowe rozdziały *Czarodziejskiej Góry*. „Przecież Naphta to Lukács z wiedeńskiego monologu” — zauważyła. Zdumiony Mann gwałtownie zaprzeczył: ani przez chwilę nawet nie przyszło mu to do głowy podczas pisania. W następnych latach przyznawał półgębkiem w rozmowach z najbliższymi że „coś w tym jest”, ale publicznie podtrzymywał z naciskiem zaprzeczenie i starał się badaczy własnej twórczości zniechęcać do rozważań o rzekomym portrecie. Wysuwał podobno argument fizycznej szpetoty Naphty: czyż mógłby być, ceniąc Lukácsa i tyle mu zawdzięczając, sportretować go w ten sposób w powieści? Sam Lukács jakoby też bolał bardziej nad fizycznym, niż filozoficznym aspektem domniemanego wizerunku.

Zabawny minuet uników (jeśli opowiadanie Rumuna wziąć za dobrą monetę). I Mann i Lukács wiedzieli oczywiście, że pokraczny pokurecz jezuita z *Czarodziejskiej Góry* jest w swojej aparycji pewnym figuratywnym skrótem czy znakiem. Jego teokratyczny terror zalatuje, prócz zapachu kadzidła, zapachem siarki. W wyglądzie Naphty kryła się wyczuła intuicyjnie przez Manna istota powinowactwa jego teokratycznego terroru z abstrakcyjną *Totalität* marksowską Lukácsa; z „pustą — znowu wiersz Bergamina! — otchłanią rozumu, w którym pogrzebał się człowiek”. Diabeł nie był jeszcze wówczas aż tak jak dzisiaj „zmęczony i znudzony tym światem”.

19 lutego

W pracowni malarskiej Jaremy na Margutta, w powojennym Rzymie, częstym gościem bywał pisarz Corrado Alvaro; niski i krępy Kalabryczyk, małomówny, z grymasem gorczy w kącikach ust. Tytuł do sławy dawał mu zbiór kalabryjskich opowiadań *Ludzie z Aspromonte*, nagrodzony około roku 1930. Napomykano również o jego powieści *Człowiek jest silny*, ale wymijająco i z odcieniem zakłopotania. Ani wtedy, ani po śmierci

Alvaro w roku 1956, nie potrudziłem się by tę powieść odszukać i przeczytać. Podsunął mi ją ktoś dopiero teraz.

Nie, na pewno nie arcydzieło, mimo sugestywnych tu i ówdzie fragmentów. A jednak... Rzecz dzieje się w nieokreślonym (w tekście powieści) kraju i czasie. Kraj jest policyjny, znajduje się w stadium wygasania wojny domowej między zwycięskimi Partyzantami i pobitymi Bandami. Rządzi w nim z pomocą armii jawnych i ukrytych Inkwizytorów (nazwa oficjalna) „arbitr życia i śmierci, pan i władca, wyposażony w cechy boskiej wszechmocy i wszechobecności, który wszystkich poddawał badaniom jakkolwiek nikogo niby nie słyszał i nie widział, którego nikt nie ośmieliłby się okłamać, który był bezcielesnym wyobrażeniem; wobec którego wszyscy czuli się obserwowani i nadzorowani, który zajął miejsce nieba i piekła, panował nawet nad nocnymi snami”. W tym to kraju walczy na próżno o prawo do miłości, do prywatnego uczucia miłości, para młodych ludzi. Jeden z Inkwizytorów wyklada doktrynę państwa zwycięskich Partyzantów: „Niestety ludzie muszą chwilowo posługiwać się przedmiotami, pozorami i zwyczajami starego życia. Nie narodził się jeszcze nowy człowiek. Trzeba zniszczyć wszystko co jest prywatne, osobiste, intymne, źródło wszystkich chorób dzisiejszej ludzkości. Zbrodnią jest posiadać sekret!... Czemu nie mielibyśmy obdarzyć ludzkości nowym poczuciem tego co dozwolone i niedozwolone? Człowiek przywykł żyć dla siebie. Przyzwyczajmy go żyć dla zbiorowości... Chcemy zbudować nowy świat, dlatego przeszłość ma dla nas właściwości rozkładowe; cała przeszłość, wszystko co należy do innych czasów i innych krajów; wszystko co przypomina inne obyczaje i może zrodzić myśl o innym, obcym nam świecie... Chcemy aby nasi obywatele byli szczęśliwi. Szczęśliwi obowiązkowo (zaciął pięść i wyszczerzył zęby). Obowiązkowo! Zbrodnią jest cokolwiek zakłócać im i zamącać prawdę, sprawiedliwość, szczęście. Ludzie nie mają tajemnic. Mogą żyć publicznie jeden naprzeciw drugiego, niczego nie skrywając. Nie wolno im niczego skrywać. Cały świat winien być czysty, bez cieni, bez wahań, bez sekretów, bez trucizny pragnień i tęsknot. Istnieje jeszcze rasa ludzkich chwastów której nie zdołaliśmy całkowicie wykarzcować, skazana na zniknięcie. Potem świat będzie szczęśliwy. Musi być szczęśliwy”.

A więc powieść *Zamiatina My*, zanim Gleb Struve zwrócił na nią uwagę Orwella planującego *Rok 1984*, dotarła do rąk pisarza we Włoszech faszystowskich. Nie mam bowiem wątpliwości, że Alvaro czytał *Zamiatina* i przejął się jego wizją przyszłości.

Warte zanotowania są dzieje powieści Alvaro. Manuskrypt

znalazł się w biurze cenzury faszystowskiej w roku 1937 pod pierwotnym tytułem *Strach nad światem*. Pierwsza reakcja cenzora była negatywna. Potem zaczęły się pertraktacje. Cenzor zażądał wycięcia dwudziestu stron. Alvaro odmówił, gotów był raczej zrezygnować z wydania. Cenzor zaproponował kompromis: zmiana tytułu na *Człowiek jest silny* i autorska deklaracja na wstępie, że rzecz dzieje się w Rosji. Alvaro przyjął warunki, powieść wyszła w następnym roku. I jak zwykle z tego rodzaju sztuczkami cenzorskimi bywa, ostrzeżenie autorskie „rzecz dzieje się w Rosji” zaostriżyło wrażliwość czytelników na utajoną więź powieści z dążeniami i aspiracjami faszyzmu włoskiego. Recenzje w prasie reżymu były nieliczne i kwaśne. Za granicą, po ukazaniu się paru przekładów, recenzenci zrozumieli intencje powieści. Zrozumiała je również cenzura Trzeciej Rzeszy, zakazując wydania gotowego już tłumaczenia niemieckiego. Hitlerowcom nie wystarczyła deklaracja Alvaro. Z drugiej strony — oto losy książek! — nie wykluczone, że wymuszona przez cenzurę faszystowską transplantacja powieści do Rosji była przyczyną nieufnego do niej stosunku w atmosferze egzaltacji komunistycznej powojennego Rzymu. W każdym razie Alvaro utrafił swoim *Strachem nad światem* w faszystowsko-komunistyczny splot, który nie przestaje zaprzętać egzegetów współczesnego „fenomenu totalitarnego”.

20 lutego

W czasie włoskiej debaty parlamentarnej w r. 1925 Gramsci zabrał głos dla napiętnowania gwałtu w życiu publicznym. Mussolini słuchał go uważnie, uciszwszy zniecierpliwionym ruchem ręki wrzask swoich deputowanych w czarnych koszulach. Nagle przerwał mówcy: „A wy, komuniści, nie posługujecie się gwałtem w Rosji?”. Na co Gramsci: „Istnieje gwałt historyczny, za którym stoją masy”. Mussolini zareplikował spokojnie: „No właśnie, a tu we Włoszech masy stoją za nami”.

Dialog Urbana z Settembrinim *Mussolini i Lenin* w ostatnim zeszycie *Survey* nie zawiera żadnych rewelacji. Ale jak szybko się zapomina, jak łatwo przechodzi do porządku dziennego nad świadectwami! Dwa takie świadectwa odkurza dialog. Urywek z *Rozmów z Mussolinim* Emila Ludwiga z roku 1932:

— Przed wojną (zwraca się Ludwig do Mussoliniego), jeszcze jako socjalista, napisał pan w *Avanti*: „Socjalizm nie jest pogodną Arkadią; nie wierzymy w świętość życia ludzkiego”. Czy to nie faszyzm?

- Tak, ta sama właściwie rzecz.
- Napisał pan również: „Gdyby faszyzm nie był wiarą, jak mógłby rozniecić płomień entuzjazmu?”. Czy to nie komunizm?
- Nie niepokoją mnie tego rodzaju pokrewieństwa.
- Wynikałoby stąd, że wiara do której wy i Rosjanie apelujecie odróżnia oba wasze systemy od wszystkich pozostałych.
- Tak. I więcej nawet. Jesteśmy do siebie podobni w negacji. I my i Rosjanie jesteśmy wrogami liberałów, demokratów, parlamentu.

Świadectwem drugim jest zapis w dzienniku Ciano z października 1939. Pakt Ribbentrop-Mołotow wywołał we Włoszech pewien zamęt, Mussolini zachodził w głowę jak go zaszerwować partii. „*Duce* jest pod wielkim wrażeniem jakichś dokumentów i informacji z Rosji, które od niedawna są w naszym posiadaniu. Chce wszcząć kampanię prasową dla wyjaśnienia Włochom, że bolszewizm skończył, a jego miejsce zajął szczególnie wariant faszyzmu słowiańskiego”.

21 lutego

Przymiotnik „totalitarny”, *totalitario*, został po raz pierwszy użyty przez filozofa faszyzmu włoskiego Gentile w roku 1924. Totalitarne miało być państwo zdolne pochłonąć społeczeństwo i odlać z niego jeden stop. Włochom faszystowskim dość daleko było do tego ideału, zatrzymały się w fazie rządów despotycznych. Toteż Alvaro, dostrzegając we własnym kraju tylko linie kierunkowe procesu, mógł sobie pozwolić na akcent nadziei w epilogu powieści: jej schwytyany bohater obmyśla nową ucieczkę. W wyobraźni Zamiatina i Orwella wypadki rozgrywają się na ostatnim już etapie, gdy nie ma społeczeństwa, lecz trzeba dokończyć dzieła stworzenia „nowego człowieka”: D-503, poddany na stole operacyjnym zabiegowi „usunięcia choroby czyli duszy”, ujawnia Dobroczyńcy wszystko co wie o niedobitkach „wrogach szczęścia”; Winston Smith „odnosi zwycięstwo nad samym sobą”, dojrzewa nareszcie do „pokochania Wielkiego Brata”.

Z trzech głównych elementów totalitaryzmu: „technologii władzy”, „inżynierii społecznej”, „stworzenia nowego człowieka”, decydujący jest ostatni. Nic dziwnego, że w rozważaniach o najbardziej zaawansowanej i długotrwałej odmianie sowieckiej totalitaryzmu wraca bez przerwy pytanie: powstał nieodwołalnie *sowieckiej* człowiek? Jak nic też dziwnego, że jedyną nań odtrutką w „zdrowym świecie świetlanej przyszłości” staje się obrona do upadłego „choroby czyli duszy”.

26 lutego

Fura zaległych gazet, w zeszłym tygodniu rzucałem tylko okiem na tytuły. Wczoraj zajęła mi pół niedzieli uważniejsza lektura

Ciężkie czasy sieroctwa dla dzieci „ideologii postępu” (nie moje to określenie, prasa lewicowa woli ostatnio taki eufemizm od marksizmu w rozmaitych mutacjach). Ciekną tedy, w gazetach „postępowych”, łzy żałoby.

Jak wiwatować na cześć rewolucyjnego obalenia tronu w Teheranie, gdy na barykadach zatknięto sztandar teokracji? Jak utożsamiać postęp i głos ludu z triumfem Koranu?

Jak przełknąć „drugą już wojnę komunistyczną” (między Chinami i Wietnamem; pierwszą w tym rachunku była wietnamska inwazja Kambodży)? Jak pogodzić się z coraz realniejszą perspektywą zderzenia chińsko-sowieckiego?

Możeż to być, by *ayatollah Wojtyła* (tak gazety „postępowe” nazywają od niedawna papieża) budził projektem swej podróży do Polski obawy wśród przywódców kraju, w którym przecież zbudowano gorzej czy lepiej socjalizm? Gdzież się podziały i czemu milczą żelazne prawa historycznego rozwoju?

27 lutego

Stały się już chlebem powszednim w gazetach i magazynach ilustrowanych wywiady z głośnymi uczonymi, koryfeuszami nauk ścisłych. Pół biedy, gdyby dziennikarze wypytywali ich tylko o sprawy z zakresu ich naukowych specjalności. Lecz nie, stawia im się głównie pytania „uniwersalne”: przyszłość świata, sens życia ludzkiego, wielkie konflikty ideologiczne, polityka globalna, znaczenie sztuki, śmierć Boga i tak dalej. Z nielicznymi wyjątkami co skromniejszych czyli niechętnie wychodzących poza swoją dyscyplinę naukową, odpowiadają na nie pewni siebie, z miną członków nowej kasty kapłańskiej.

Ilekróć takie wywiady czytam, staje mi przed oczami wieczór neapolitański przed piętnastu chyba laty. Nieżyjący już Rinaldo Dohrn, dyrektor neapolitańskiego Akwarium i syn jego założyciela Antona (żonatego z panną Baranowską), lubił w swoim wielkim mieszkaniu na *Riviera di Chiaia* urządzać kolacje połączone z „biesiadami duchowymi” w stylu niemiecko-rosyjskim. Zaprosił nas któregoś dnia, zapowiadając tajemniczo udział czterech wybitnych gości. W pokoju jadalnym zebrało się kilkanaś-

cie osób. Wybitnymi gośćmi okazali się czterej laureaci Nobla z różnych gałęzi nauk ścisłych (nie pamiętam jakich, nie pamiętam też nazwisk owych noblistów). Kolacja odbyła się w nabożnym milczeniu, jej uczestnicy doproszeni na cześć czwórki czuli się wyraźnie onieśmieleni. Przy luźniejszej nieco kawie w salonie rozwiązały się języki. Ale ze skąpym bardzo zaangażowaniem ze strony noblistów. Nagabywani, cedzili z wysoka półśłówka, uśmiechali się pobłaźliwie jak dorośli, którym dzieciarnia przeszkadza w trawieniu i snuciu głębinowych myśli. Wreszcie na ich twarzach odmalowało się zniecierpliwienie, co gospodarz uznał za znak że pora przejść do *clou* biesiady. Wstał i pochylił uroczyście głowę. Wstali i nobliści, wyszli do przedpokoju i wrócili z instrumentami muzycznymi. Kwartet trwał godzinę, czegoś równie monstrualnego i groteskowego nie słyszałem w życiu. Podziękowaliśmy wszyscy muzykującym noblistom za niezapomniany wieczór, zacy Rinaldo Dohrn wygłosił podniosłe przemówienie o nauce która nie zna granic w przenikaniu do najgłębszych zakamarków ludzkiego ducha, pretendując słusznym tytułem do roli współczesnego *Weltgeistu*.

4 marca

Procida, mała wyspa między Neapolem a Ischią, nie przyciąga nadmiernie włoskich letników i zagranicznych turystów. Zdaniem wielu przyczyną jest górujące nad nią ciężkie więzienie w dawnym zamku, coś w rodzaju włoskiego Świętego Krzyża. Szeroko otwarte morze i mur więzienny: kontrast zanadto już przeciwny naturze. Podjeżdżając statkiem do wyspy, kąpiąc się u jej brzegów, łażąc po zalanych słońcem ogrodach i winnicach, kto potrafi opędzić się przed myślą że śledzą go oczy zza krat? Choćby wiedział (a nie może tego nie wiedzieć i nie widzieć), że jak we wszystkich na świecie więzieniach „kosze” okienne, zwane tutaj „wilczymi paszczami”, pozwalają więźniom oglądać tylko niebo. Nawet mieszkańcy Procidy, dla których od dzieciństwa więzienie jest częścią krajobrazu, mówią o swojej wyspie *isola deturpata* a o swoim morzu *mare sfregiato*: oba przymiotniki wyrażają akt oszpeceń, okaleczenia.

Dziś rano, w pierwszą tej zimy niedzielę naprawdę słoneczną, pojechałem na Procidę statkiem z Pozzuoli. Morze było wzburzone, łuszczyło się zawijanymi z hukiem falami, ale w przezroczystym i nieruchomym powietrzu rozpostarła się opalizująca świetlistość, która wywołuje złudzenie horyzontu zwielokrotnionego, w ciągłej grze i ucieczce. W drodze z Brindisi do Patras,

przy wjeździe o świcie między wyspy greckie, odsłania się podobnie zjawiskowy obraz. I także na Sycylii. Można wtedy uwierzyć we wszystko, wszystko przyjąć za rzecz najzupełniej naturalną, jak w ślicznym opowiadaniu o syrenie *Lighea* księcia Tomasi di Lampedusa.

Trudno było dobić do portu, zdawało się przez chwilę że będziemy musieli wracać. A na wyspie słoneczna cisza, martwa i senna, bez podmuchu wiatru, jakby między skotłowanym morzem i lądem wyrosła przepaść. Część Procidy, którą na szczycie zamkowego wzgórza przygniata więzienie, nazywa się *Terra Murata*, Zamurowana Ziemia. Przewodniki opisują Procidę lakonicznie (nie wspominając na ogół więzienia): mężczyźni są wytrawnymi rybakami i marynarzami, kobiety doskonale tańczą *tarantellę* w starych strojach wskazujących na pochodzenie greckie, cała wyspa słynie z wyjątkowo częstych świąt i procesji. Przegadałem i przepiłem dzień ze znajomym rybakim, który na kamienistej plaży wśród schnących łodzi nie przerywał cerowania sieci. Powiedział mi na pożegnanie, że mają dziś przywieźć nowego więźnia.

Przywieźli go rzeczywiście ostatnim przedwieczornym statkiem, wracającym zaraz potem do Pozzuoli. Potężnego siwego chłopa o skutych rękach prowadziło dwóch karabinierów na rozwidlonym łańcuchu. Szedł z opuszczonym wzrokiem, stawiał kroki dziwnym ruchem obmacywania ziemi. Na górnym zakręcie dróżki do więzienia przystanął nagle, odwrócił się w stronę morza i niezbyt głośno wykrzyknął kilka niedosłyszalnych słów. Karabinierzy szarpnęli łańcuch. Skalny korytarz w Zamurowanej Ziemi pochłonął trójkę.

Zaczęto już odczepiać pomost, gdy na statek zdążył wbiec spóźniony pasażer. Skupiliśmy się w półmroku i milczeniu na dolnym pokładzie, jarzyły się tylko ogniki papierosów. „Słyszałem co krzyczał, byłem blisko nich” — oznajmił z westchnieniem spóźniony pasażer. Nikt się nie odezwał. „Krzyczał jedno tylko słowo: *mare, mare, mare*, jedno tylko słowo”. Statek zatrzeszczał i zakochał się, porwany przez huczące fale.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Trzydzieści lat potem : Polacy w Argentynie

Nie będzie to historia — bo na nią za wcześnie. Ani tak zwanym „dziennikarstwem” — bo na nie za późno. Czymś więc pośrednim. Opowiadaniem naocznego świadka epopei powojennych zdemobilizowanych Polaków w Argentynie. W miarę możliwości obiektywnym, o ile coś takiego jest możliwe dla kogoś, tak jak ja, jeszcze ciągle uczuciowo zaangażowanego w temacie. Jest on rozłożysty, oszałamiająco powikłany, przypominający charakterystyczne dla tamtych stron drzewo-ombu. Korona jego jest gąszczem. Można zbłądzić w poszukiwaniu utraconego czasu.

Spróbuję też odpowiedzieć na pytanie czy dobrze zrobiliśmy wybierając Argentynę trzydzieści lat temu. Bo sprawa ta wpływa przy każdym spotkaniu byłych polskich Argentyńczyków, gdziekolwiek rzuciłyby ich losy po wyjeździe stamtąd. W USA, w Europie Zachodniej i przypuszczam też w PRL, do której wielu wróciło, wśród nich sporo najbardziej nieprzejednanych. Pytanie to zadają sobie też Polacy, którzy zostali w Argentynie. Jeśli chodzi o mnie, inaczej bym odpowiedział na nie kiedyś niż teraz. Po piętnastu latach w Nowym Jorku.

Ale zanim dojdę do tych spraw zacznę od innego pytania: Co nas gnało za ocean, na koniec świata na progę lat 50-tych? Rozsądek w żadnym wypadku. Chyba wyłącznie niecierpliwość. Najcelniej wyraził to Zbigniew Kulpiński rodem z Brzeżan, posiadający rzadki talent słowotwórczy. Ogarniając sceptycznym wzrokiem „beczki śmiechu” w Walii, ukuł powiedzenie które najlepiej wyrażało niecierpliwość buntującą się przeciw egzystencji na łaskawym chlebie brytyjskim po demobilizacji wojsk polskich: „Pieprzę takie na ramię broń...”. Kulpiński spakował manatki i wraz z żoną udał się wpierw do ekwadorskiego Guayaquil, a później do Buenos Aires.

Dlaczego właśnie do Argentyny, kraju nie tylko tak dalekiego, ale który opowiedział się za aliantami kiedy wynik wojny był przesądzony, mający wówczas specjalny posmaczek ze względu na Perona, sympatyka faszyzmu, i znajdujących tam bezpieczny azyl hitlerowców...? Bo Stany Zjednoczone traktowały b. żołnierzy spod znaku „natchnienia narodów” po macoszemu wydzielając im wizy dosłownie kropłomierzem. A Australia robiła wielkie ceregiele stawiając różne warunki, które wydawały się nam upokarzające. Jak np. dwuletni „czyścic” na robotach publicznych w Tasmanii.

Afryka Południowa — dla nas, którzy znaliśmy tamtejszych z Osmej Armii nie przedstawiała się atrakcyjnie. Wybrali ją najwięksi „kasztaniarze”, jakby w myśl zasady „idź złoto do złota”.

Natomiast my, kąpieni w gorącej wodzie, wybraliśmy „żelazo” podążając do Argentyny z Włoch i Wielkiej Brytanii.

Profil „niecierpliwych” miał wyraźne kontury. Rekrutowali się w przeważającej większości z tych, którzy zdecydowani byli nie wracać do Polski Ludowej bo nie mieli po co. A więc z tych pochodzących z ziem po niefortunnej stronie linii Curzona. Spieszę dodać w tym miejscu, że byli to ludzie z którymi się najlepiej czułem. Poznałem ich bliżej w więzieniach i w łagrze, gdzie pod ich wpływem „skresowiłem”.

Gombrowicz pisze o wielkiej wstydlivosti na punkcie Ojczyzny międzywojennego pokolenia. Ma może rację, ale czyż nie odnosiło się to do Warszawy?

Kresy reagowały zupełnie inaczej, a pod okupacją sowiecką rozpały się do białości. Inaczej odbierali pewne symbole, które nam się do tego stopnia opatrzyły, że uważaliśmy je za rzecz zwykłą. Na przykład orzeł jagielloński. Tak nawykliśmy do jego formy, że zapomnieliśmy o treści. Nic dziwnego, że dywizja Drugiego Korpusu zwana Kresową, sformowana z „buzułuków” kresowych skupiła nieprzejednanych i na serio gotowa była przebić się w 1945 roku z bronią w rękę do Polski. Oczywiście nie z zamiarem połączenia się z wojskami PRL.

W łagrach i więzieniach Polski Wschód był siłą „wiodącą”. Ich żarliwość początkowo nawet żenowała „Gombrowicza w nas”, jak na przykład ich niezachwiana wiara, że „splugawiony krzyż razem z młotem padnie”.

Tak więc Lwów, Wilno, Kresy kształtowały oblicze niecierpliwych, których władze brytyjskie chętnie się pozbywały ułatwiając im wyjazd do Argentyny.

W moim wypadku, udałem się tam bezpośrednio z Włoch, wraz z żoną Zaremą, Tatarką z kresów, z ominięciem „beczek śmiechu” PKPR, w październiku 1947, a więc na krótko przed

ustanowieniem regularnego „mostu morskiego”, który w przeciągu niecałych dwóch lat przetransportował około 25 tysięcy byłych polskich kombatantów wraz z rodzinami. Używano do tego celu przefasonowanych na kolanie statków amerykańskich typu „Liberty”. Na ich pokładzie wracali też zdemobilizowani ochotnicy obywatele argentyńscy, pochodzenia angielskiego, szkockiego i irlandzkiego.

Żywo pamiętam ten okres, bo biegałem do portu w charakterze reportera wychodzącego w języku angielskim dziennika *Buenos Aires Herald*. Ma stuletnią historię. Przeżył Perona i jego powrót. Podle wówczas płacili, ssali krew, ale nic innego nie znalazłem podczas okresu pierwszego rekonesansu „przedpola”. Po hiszpańsku umiałem zaledwie kilkanaście słów. Mieszałem go z włoskim, i miałem trudności z wymową takich słów jak *alrededor*. Wydawało mi się wówczas że nigdy go się nie nauczę.

Atmosfera w *Heraldzie* była przyjemniejsza od płacy. Pajączyna, starymi meblami z których wystawały sprężyny, zapachem pożółkłych roczników, skrzypiącymi drzwiami, przypominała przedwojenny *Kurier Poranny* na Marszałkowskiej tuż przy Herse'm. Miewałem tam halucynacje, że nagle zza drzwi wyłoni się sylwetka Karola Fryzego. Ale człapali się tylko starzy Angliki, którzy do grobowej deski nie przestawali pracować. Zgorzkniali i pod gazem od godziny szóstej wieczór.

Do mych *free-lance*'owskich obowiązków należało przepisywanie na „czytelnie” w soboty i niedziele depesz *Reutersa* i *United Press*. Nuda ośmiogodzinna, ale w świetnym towarzystwie rosyjskiego księcia Koczubeja w charakterze mego *week-end*'owego szefa, który w tym samym okresie przybył do Buenos Aires i dla zmylenia — nie wiem kogo, a może przez samą ostrożność, — nigdy nie zdradził mi co robił podczas wojny, nosił inne nazwisko. Po angielsku mówił jak Anglik, a moje andersowskie antecedeny z miejsca usposobiły go przyjaźnie do mnie, nawet do tego stopnia, że niejednokrotnie — wyczuwając moją sytuację — proponował mi pożyczkę.

Może dobrze że był ostrożny. W drugiej połowie lat 50-tych zmarł w tajemniczych okolicznościach w hotelu w Casablanca. Odszedł bezdzietny i zdaje się że był ostatnim z głównej linii Koczubejów.

Przynajmniej raz w tygodniu spotykałem statki zawijające do portu z transportem ekskombatanckim. Oczywiście *Buenos Aires Herald* interesował się przede wszystkim byłymi ochotnikami argentyńskimi, a dużo mniej Polakami. W sprawozdaniu musiałem ich wszystkich wymienić z pełnymi nazwiskami co nie było rzeczą łatwą, bo były bardzo długie. Należeli bowiem do oli-

garchii ziemiańskiej. Ich przodkowie — Szkoci, Walijczycy, Anglicy i Irlandczycy przyjechali bez grosza, ale dorobili się administrując majątkami ziemskimi czołowych rodów pochodzenia hiszpańskiego, przy czym bardzo często udawało im się wzenieć w familię swych chlebobawców. Stwarzało to przeplatankę nazwisk anglosaskich i latynowskich, co dla takiego jak ja nowicjusza w snobizmach argentyńskich było zadaniem pełnym pułapek. Często się myliłem przedstawiając im genealogię. Liczne z tego powodu listy do redakcji spowodowały, że po pewnym czasie wysyłano mnie do portu jedynie w wypadkach *emergency*.

Kiedy dwa lata później, pod pseudonimami Pat Leroy i Peggy Leroy — stałem się specjalistą od śmietanki towarzyskiej i dyplomacji w najbardziej snobistycznym i poczytnym tygodniku *El Hogar*, redaktorzy *Buenos Aires Herald* nie mogli wyjść z podziwu. Ale o tym później.

Wracam do portu. Tam do nadbrzeża zwanego Darsena Norte zawiążyły statki z Europy. Wśród przybywających rodaków odnajdywałem przyjaciół i znajomych, dla których na gorąco stawałem się pierwszym źródłem informacji o Argentynie. Witani byli również przez b. konsula generalnego RP Mazurkiewicza, który stał na czele biura dla spraw polskich przy ambasadzie brytyjskiej w Buenos Aires. Funkcjonowało ono przez dwa lata, aż do chwili rozwiązania problemu polskiej wojskowej emigracji do Argentyny.

Czasami wśród przybywających odkrywałem — ku mojemu zdumieniu — prominentów polskiego Londynu, którzy przyjeżdżali jakby *incognito*, nie anonsowani uprzednio, jak to miało miejsce z Ewą Runge Miszewską, b. komendantką „pestek” naszej marynarki wojennej, szalenie szykowną w mundurze, która zniknęła w jednym z prowincjonalnych miast Argentyny.

Ich pierwsze kroki ze statku na ląd, otaczał specjalny nastrój. Nikt nie zdawał sobie sprawy z popełnionego szaleństwa, jakim było oderwanie się od polskiego życia plemiennego w Wielkiej Brytanii. Ponował optymizm i hej kto Polak na bagnety! Zdobyliśmy Monte Cassino, Anconę i Bolognę, nie daliśmy się Stalinowi, zdobędziemy Argentynę! Wszystko było jeszcze ciągle kontynuacją Drugiego Korpusu. Trudno im było rozstać się z mundurem. Większość była w *battle-dress*'ach, i najczęściej posegregowana według dawnych przydziałów wojskowych.

Generał Bronisław Rakowski nieodmiennie markotny przybył w otoczeniu swoich żołnierzy. Wsiadł w tej samej kurtce skórzanej i czarnym berecie, w którym ostatni raz widziałem go we Włoszech. Ale bez ochotniczki, w której się nieszcześnie kochał. W Argentynie Rakowski i jego rodzina wojskowa przeobrażili się w firmę transportu ciężarówkami na zasadzie spół-

dzielni, której buchalterem i magazynierem został generał. Kierowcy wspólnicy żyli skoszarowani w podmiejskiej miejscowości. Przed Rakowskim, do którego byli bardzo przywiązani, stawiali na baczność. Po jego śmierci, która wkrótce go zabrała, firma się rozleciała.

Rząd argentyński ułatwiał emigrantom przywiezienie sprzętu zwalniając go od cła. Firma Rakowski & Co przywozła ze sobą samochody ciężarowe, i na tym lepiej wyszła od innych, którzy przytaszczyli różne maszyny do których później nie można było dostać części zapasowych.

Argentyna nas konfundowała. Odbieraliśmy ją z mocno mieszanymi uczuciami. Nietknięta przez wojnę imponowała swym bogactwem. Zapachami, barwą, metafizyką przypominała Włochy. Jednocześnie bariera języka hiszpańskiego, innych zwyczajów stwarzała wokół niej tajemnicę, z tym że po długiej wędrówce po świecie byliśmy wystarczająco oblatani życiowo, by wyczuć szóstym zmysłem istniejącą tam łatwość urządzenia się.

Jednym z największych minusów wydawał się klimat: połączenie upału z wilgocią w miesiącach letnich. To nam, nieprzygotowanym na „saunę” argentyńską, dawało się bardzo we znaki. Niektórzy najbliższym statkiem wracali do Wielkiej Brytanii. Do nich należał mój b. kolega z Oświaty i Prasy, Wojciech Krzyżanowski. Spotkałem go w przeddzień jego odwrotu. Na stacji kolejki podziemnej. Nie wiem dlaczego, pamiętam tę migawkę z dokładnością fotografii. Może dlatego, że wzmocniona była troską malującą się na twarzy p. Wojciecha.

Buenos Aires kipiało i na naszych oczach wynurzało się z prowincjonalnego bytu. Peron otworzył granicę dla wszystkich, lub prawie wszystkich uchodźców, którzy po kapitulacji Rzeszy rozbiegli się po Europie. Nie robił większej różnicy między aliancami i ich wrogami. Dzięki temu byliśmy częścią niezwykle barwnego tłumu, na który składali się byli dygnitarze faszystowscy, Rosjanie monarchiści i własowcy, byli oficerowie Wehrmachtu, hiszpańscy republikanie, belgijscy kolaboranci spod znaku Leona Degrelle, francuscy „pétainowcy”, Serbowie z partyzantki antykomunistycznej generała Michajłowicza, ich wrogowie Chorwaci, stronnicy Ante Pawelicza, kilka „gatunków” Rumunów, Słowaków, Bułgarów, Albańczyków, niedobitki Kozaków, którzy wymknęli się Amerykanom i Brytyjczykom, unikając w ten sposób przymusowej repatriacji do ZSSR.

Może (z wyjątkiem Rosjan) znajdowali się w lepszej sytuacji materialnej od nas. Zwłaszcza Włosi, którzy zwieźli tu skarb tak zwanej Republiki Salo, złoto w hurtowych ilościach, dzięki któremu założyli firmę konstrukcyjną, która po 30 latach przemieniła się w potężny międzynarodowy konglomerat.

Byliśmy na ogół biedni, żyjący z dnia na dzień, ale za to pod względem renomy którą przywieźliśmy z Europy — *non plus ultra*. Choć — gwoli prawdzie — muszę zapisać, że byli wśród nas tacy, którzy wybrali Argentynę, bo chcieli być jak najdalej od polskiego Londynu, gdzie wiedziano o ich różnych psotach — najczęściej o charakterze finansowym.

Patrzyliśmy z góry na tałatajstwo niedawnych sojuszników Hitlera, kamuflujących się paszportami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, przymilających się nam, usiłujących pozyskać nas swym antykomunizmem, powtarzających z nieukrywaną *Schadenfreude*, że zostaliśmy zdradzeni przez naszych aliantów.

Jeśli chodzi o Argentyńczyków, to byli dla nas niespodzianką, a my dla nich. Taka to była interakcja.

Gombrowicz pisze w swoich wędrowkach po Argentynie, że typ fizyczny Polaka odbierany był tam niejasno, zawile, że w rojącym się od cudzoziemców Buenos Aires Polak był cieleśnie o wiele mniej ustalony od Skandynawów, Anglików, ale także od Niemców, Włochów, Hiszpanów, Rosjan i Francuzów. Że Polacy zadziwiali wielością typów, obfitością oblicz. Napisał, że efekt jaki wywoływało polskie ciało w Argentynie można zamknąć w dwóch słowach: różnorodność i krańcowość.

Pewien jestem, że Gombrowicz pisząc to miał na myśli naszą powojenną emigrację. Bo przedtem polska obecność była minimalna, niezauważalna. Trochę na dolnym szczeblu, wśród proletariatu miejskiego, i jeszcze mniej na górze wśród elity.

Zaskoczyliśmy Argentyńczyków, którzy sobie nas zupełnie inaczej wyobrażali na podstawie tego co do tej chwili oglądali w dziedzinie „polskiego ciała”.

Ale byliśmy też dziwem życia dla starej Polonii osiadłej w robotniczych dzielnicach Avellaneda i Valentin Alsina, zatrudnionej w przemyśle mięsny. W pewnym sensie podobnie reagowali jak stara emigracja w USA. Nie mogli w żaden sposób zrozumieć, że mając mało pieniędzy pchamy się do wynajmowania przyzwoitych mieszkań ponad stan naszych możliwości, w lepszych dzielnicach miasta. Porównywali swój początek w Argentynie z naszym, i oburzali się na naszą lekkomyślność i „pańskość”.

Ale byliśmy też zaskoczeniem dla naszej cieniutkiej warstwy arystokratyczno-dyplomatycznej elity musującej ekskluzywnym życiem z dala od polskiego szarego człowieka. Z innych przyczyn.

Drażniliśmy ich naszą innością, a najwięcej nabytą w mundurach pewnością siebie, afiszowaniem się polskością w sposób, który — ich zdaniem — kolidował z rolą Polonii w Buenos Aires.

Miało to złożone przyczyny. Choć na temat *polacos* nie robiono w Argentynie dowcipów — przedmiotem popularnego nabitania się byli *gallegos* z hiszpańskiej Galicji — to nie było to wyobrażenie z którym łączyły się cechy dodatnie. Słowo *polaco* kojarzyło się z obrazem ciężkoroboczych, albo ze wspomnieniami coraz bardziej wyblakłymi o nieistniejącym już miasteczku lupanarów w San Fernando — pół godziny od śródmieścia Buenos Aires, oraz z legendą o przedwojennym handlu żywym towarem, co tam się nazywa *trata de las blancas*.

Z tego powodu powstał w głowie Argentyńczyków straszny *galimatias*. Nazwiska kończące się na „ski” uważane były za *ruso judio* (rosyjsko-żydowskie). Ponieważ handel żywym towarem był w rękach żydowskich, a przedmiotem tego interesu były Polki, postawiono więc znak równania między *ruso judio* i *polaco*.

Już przed Peronem zlikwidowano „wesołe miasteczka” wprowadzając *amueblady* czyli hotele na godziny, ale legenda o polskich kurtyzanach przetrwała. Stara Polonia nie zdołała tego *image* poddać gruntownemu retuszowi. Zresztą nie miała możliwości, bo nie docierała do kształtującej opinię prasy. A młode pokolenie nie wyszło na ogół poza możliwości życiowe swoich rodziców.

Dlatego nasza elita arystokratyczno-dyplomatyczna unikała jak ognia słowa *polaco*, wybierając dla siebie określenie *polones*, bo to kojarzyło się dystygowanie z Chopinem, bardzo popularnym w Argentynie. Hrabia Zbigniew Żółtowski był *conde polones*, a Witold Małcużyński *virtuoso polones* cieszył się największym powodzeniem wśród publiczności argentyńskiej.

Jeszcze nie zdążyliśmy się rozpakować, jak zaczęto nas namawiać do zmiany „nomenklatury”. Nawet minister Mirosław Arciszewski, który był już cieniem dawnej świetności intelektualnej, uważał że będzie to rozsądny, pod względem życiowym kompromis.

Być może gdybyśmy przybyli do Argentyny prosto z obozów „dipisów”, z kompleksami, to chyba byłibyśmy się zgodzili na taką maskaradę. Ale, jakby powiedział Gombrowicz, byliśmy wówczas jeszcze za bardzo polscy. Za mało pragmatyczni. Pomysł wydawał się komiczny. *Polones* w tym kontekście brzmiało w naszych uszach operetkowo.

Wkrótce potem powstała pierwsza nasza organizacja, oddział SPK w Argentynie pod nazwą *Asociacion de Excombatientes Polacos en la Republica Argentina*. Bardzo szybko zdobyliśmy własny lokal. Ba, cały dwupiętrowy dom zwany tam *petit hotel*, który zorganizował niezapomniany rentgenolog, dr Franciszek

Płoszaj. Wyperswadował go swoim urokiem osobistym u bardzo zamożnego lekarza argentyńskiego, dla którego pracował zanim dostał się do znajdującego się na bardzo wysokim poziomie *Hospital Britanico*.

Własna siedziba dodała autorytetu argentyńskiemu SPK, którego losami, za moich czasów, kierował zawsze 2-gi Korpus poprzez Kulpińskiego, Piotra Dutkiewicza i Zdzisława Białego. Specjalną pozycję zajmował i jeszcze ciągle zajmuje zdobywca Predapia, płk Aleksander Florkowski, cieszący się wielkim mirem wśród weteranów. Generał Anders regularnie z nim korespondował, a po śmierci gen. Rakowskiego, Florkowski stał się moralnym rzecznikiem polonusów, którzy zawiesili broń na kołku.

Muszę w tym miejscu dodać, że nie wiem czy to odległość spowodowała czy też nostalgia za dawnymi czasami w mundurach — że idealizowaliśmy w naszej wyobraźni — odległy za morzami i górami — polski Londyn i jego władzę. Wydawało nam się że tam wszystko sprawnie funkcjonuje. Być może potrzebna nam była ta świadomość. Czuliśmy się przez nią silniejsi.

Stara emigracja z niedowierzaniem obserwowała jak szybko się organizujemy. A *poloneses* uważali, że zachowujemy się obcowsowo, że nie szanujemy utrwalonych tradycją reguł gry. Trochę mieli rację. Byliśmy kąpieli w gorącej wodzie. Zdążyliśmy do jak najszybszego opanowania Związku Polaków w Argentynie i jego oficjalnego organu *Głosu Polskiego*. Nie wiedzieliśmy jeszcze o wszystkich pułapkach życia argentyńskiego. O wszechobecności kapusiów policyjnych. O podejrzliwości władz, zmaksymalizowanej podczas rządów Perona. Ja, w większym stopniu od innych, miałem się o tym przekonać na własnej skórze. Zanim to opowie, chciałem przypomnieć krótko dwie sprawy. Nie wszyscy przyjechaliśmy w „ciemno” do Argentyny. Był wśród nas bardzo liczny kontyngent inżynierów, którzy przyплыли z kontraktem w kieszeni. Zwerbowani przez rząd argentyński w Wielkiej Brytanii, posiadali specjalność w którą Peron miał zamiar zainwestować setki milionów dolarów, zarobionych podczas wojny na eksporcie zboża i mięsa: zakładanie linii wysokiego napięcia.

Ich przywódcą był inżynier Zygmunt Kiciński, człowiek niespożytej energii, wizji i rozmachu. Wojnę spędził w obozie jenieckim w Niemczech, palił się więc do czynnego życia. Tej polskiej grupie przypadło zadanie wykonania wielkiego planu elektryfikacji Argentyny.

Kiciński od pierwszej chwili podobał się Argentyńczykom, bo miał charakter *caudilla*. Postawili go na czele przedsiębiorstwa, z którego Kiciński stworzył własne imperium. Absolutną wię-

szość w nim stanowili Polacy, wśród nich wielu wojskowych, kościanych dziadków, którym w ten sposób zapewnił spokojną egzystencję.

Przełożeni Kicińskiego nic nie mieli przeciw temu, bo do tradycji argentyńskiego *savoir faire* należy istnienie tak zwanej *trenzy* czyli warkocza. Za każdym *caudillo* ciągnie się *trenza*. Im dłuższy warkocz, tym ważniejszy *caudillo*.

W tym okresie odkrywania przez nas nowego ładu, stawiania pierwszych kroków, Gombrowicz nas nie szukał, ani my jego. Fakt, że miał posadę w PKO, które Henryk Gruber oddał reżymowi, przemianowanemu na *Banco Polaco*, a później na *Banco Continental*, nie mógł być dla nas rekomendacją. Jeszcze ciągle byliśmy na obrotach szwoleżerskich. Rzeczy były albo białe, albo czarne. Na półcienie byliśmy za mało subtelni.

Bardzo żałuję naszej, mojej ówczesnej krótkowzroczności. Nie znajduję na to lepszego słowa. Straciłem przez to przynajmniej osiem lat kontaktu z autorem „Pornografii”. Moja żona była pod tym względem mądrzejsza. Zapraszała Gombrowicza na smaczne obiady, kiedy mnie nie było w domu. Podobnie postępowały inne Polki z naszej emigracji. Gombrowicz się nad nimi „znoścał”, ale one znosiły to z humorem. Później, aby mu pomóc finansowo uczęszczały na jego lekcje filozofii. Raz na tydzień, za każdym razem w innym domu. Gombrowicz trzymał się z dala od nas, szturmujących Argentynę *polacos*. W moim wypadku, z autorem „Pornografii” kojarzyło się wspomnienie letniego przedwieczora w 1939 roku w Domu Prasy. Gdzieś koło godziny szóstej popołudniu — kiedy życie tam nabierało tempa — na oszklonym korytarzu pierwszego piętra mieszczącym redakcję *Expressu Porannego* i *Kuriera Czerwonego*, zobaczyłem nieznaną mi postać męczyzny w białym ubraniu. Szybkim krokiem przebiegł do tak zwanego pokoju sztabowego *Expressu* tuż przy samej zecerni. Tam wręczył — widziałem wszystko jak w akwarium — rękopis redaktorowi Janowi Wielowieyskiemu, i jeszcze szybciej wrócił do czekającej na niego u wylotu korytarza grupy osób, niemniej egzotycznie wyglądającej na tle scenarii *expressowo-czerwoniackiej*, gdzie przesadna elegancja uważana była za sprzeczną z zawodem dziennikarskim. Młody pan w białym ubraniu, zachowywał się podczas krótkiego sprintu po korytarzu z wyniosłością, która była wyzwaniem, podobnie jak jego towarzysze, którzy zerkali na nas jak na małpy w ogrodzie zoologicznym.

Od sekretarza redakcji Krawczyka, następcy Stefana Kopera na tym stanowisku, dowiedziałem się, że był to Witold Gombrowicz, autor książki „Ferdynand”, piszący dla nas powieść odcinkową pod pseudonimem. Od czasu kiedy redaktor *Kuriera Czerwonego*, Stanisław Paciorkowski, odwalił „Annę Kareninę” —

ze zmienionymi nazwiskami — w pisanej przez siebie powieści odcinkowej, nikt z nas ich nie czytał, tak że gombrowiczowskiej nie znałem. Dowiedziałem się, że był on kuzynem naszego kolegi redakcyjnego, Gustawa Kotkowskiego, co nie spotęgowało mojej sympatii dla Gombrowicza. Bo za Kotkowskim nie szaleliśmy w redakcji.

Przyniosły go nam, jego „*chody*” na Zamku, wywodzące się od pani prezydentowej Mościckiej, co nie mogło nie wywołać silnego resentymentu wśród nas wszystkich polegających z — braku laku — na własnych plecach. Zazdrościliśmy mu, bo certolił się z nim Butkiewicz. Otrzymał najsmaczniejsze kąski w postaci wyjazdów za granicę.

W sumie te dwa epizody plus praca w PKO były balastem, który przez pierwszy okres ważył na moim stosunku do Gombrowicza. Może choć w części odkupiłem tę nieroztropność drukując w 1961 wywiad z nim w dzienniku *Clarín*, co stało się pierwszym pokazaniem go w Argentynie czytelnikom masowej prasy codziennej, i — tak jak było planowane — narobiło złej krwi literatom *establishment*'u spod znaku czasopisma *Sur*, głównie Jorge Luisowi Borges, który był piekielnie zazdrosny o europejskie — a najbardziej o francuskie — sukcesy i laury Gombrowicza.

Nie minęło mu do tej pory! Świadczy o tym krótki esej o Gombrowiczu w kwietniowej *Twórczości* (rok 1978). Wiedziałem o tym *from the horse's mouth* — z pierwszej ręki, od samego Borgesa. Spotykałem go na ulicy Florida — promenadzie buenosajreskiej po której szedł z domu do Biblioteki Narodowej, której był dyrektorem. Przeprowadzałem go przez ulicę bo był już prawie niewidomy. Po drodze wstępowałem na *cafecito* na „stojąco” i rozmowa nieodmiennie schodziła na Gombrowicza. Stał się jego głęboką zadrą! Powtarzał, że nie może zrozumieć fascynacji pisarstwem Gombrowicza.

Życie jest pełne niespodzianek. Moje stosunki z Gombrowiczem zaczęły się od minus zera, a skończyły się jego dedykacją dla mnie *Al protector y amigo. Cordialmente* — na tomiku wersji amerykańskiej „Ferdynand”. To *protector* było trochę prorocze, bo przyczyniłem się do cudownego „odnalezienia” jego rękopisów, z których powstało takie dzieło jak „Wspomnienia Polskie — Wędrowki po Argentynie”.

Bardzo szybko odkryliśmy wilcze doły w interakcji dnia codziennego z tubylcami. Znowu się powołuję na Gombrowicza. Pisze on, że Argentyńczycy to ludzie bardzo skomplikowani psychicznie, trudni, nawet zagadkowi, zdolni do wielu bardzo dziwnych i nieoczekiwanych rzeczy, subtelni, często wyrafinowani,

wypełnieni kompleksami, wzbogaceni skrzyżowaniem ras i kultur. Jestem pewien, że w 1978 roku nie napisałby że „nieudolność ich literatury która nie umie dotrzeć do punktów węzłowych ich psychiki, zwiększa jeszcze ich tajemniczość, ich niedostępność”.

Mam na to trochę inny pogląd. Co zwiększa ich niedostępność raczej niż tajemniczość, to język hiszpański, lub jak się go też nazywa *castellano*. Wzbogacony w Argentynie o oszałamiającą liczbę powiedzeń gwarowych, nuansów dialektu *xeneize*, rodem z Genui, uskrzydłony włoskim zmysłem humoru „przeciw sobie”, jednocześnie labiryntowy wycieniowanymi formami gramatycznymi — zmusza człowieka do tego wyrafinowania, kompleksów i arcsubtelności. Jeśli się chce, może być użyty z niezwykłą dokładnością i oszczędnością słów. Na przykład, wystarczy użyć odpowiedniego czasu, by w rozmowie lub w piśmie umiejscowić wydarzenie w czasie z precyzją niemożliwą ani w angielskim, ani w polskim. W obu musielibyśmy opisać, że to *coś* stało się przed chwilą, dziś, wczoraj lub miesiąc temu, albo bardzo dawno.

Hiszpański pozwala jeśli serce zapagnie — na taką ekonomię. A jednocześnie w wersji argentyńskiej daje dużo luzu, pozwalając na całkowite wprowadzenie w błąd interlokutora nie-tajemniczonego w grę trzema czasami trybu przypuszczającego plus tak zwanym *condicional*, żyjącym własną egzystencją gramatyczną, niezależną od *subjuntiva*, wyrażającego przypuszczenie.

W Argentynie zachowały się formy, które już wyszły z obiegu w *madre patria* w Hiszpanii. A tchnienie włoskiego sprawiło, że brzmią one nowocześnie, a nie anachronicznie. Argentyński stał się klawiaturą pozwalającą na ciągłą zmianę rytmu. Można obiecać nie obiecując, można się umówić nie umawiając, można zaprzeczyć nie zaprzeczając. Nie ma drugiego języka na świecie bardziej nadającego się do samoobrony.

Argentyńczycy, którzy swój *condicional* i swe *subjuntivos* wessali razem z mlekiem matki, dokładnie wiedzą kiedy w konwersacji następuje *touché*, a kiedy cięcie jest dla parady i maskarady. Upijają się tym semantycznym fechtunkiem, gdzie miejsce floretu, szpady i szabli zajmuje *subjuntivo*.

Dla Polaków, których język zmusza do jasności, sygnalizujących rzecz przypuszczalną ale niemożliwą w rzeczywistości spójnikiem *gdyby*, konwersacja po hiszpańsku równa się błędzeniu po zaminowanym polu. Dużo, bardzo dużo, wody upłynęło w Río de la Plata, która według poety Ricardo Güiraldes jest koloru lwa, zanim umuzykalniliśmy się na podstępne subtelności argentyńskiego. W jakimż innym języku świata mówi się na odwrót. Argentyńczycy młodzi i starzy zabawiają się konwersacją *al revés*. Na przykład zamiast powiedzieć *atención*, mówią *noicneta*. Ale

nie tylko pojedyncze słowa, nawet długą rozmowę potrafią prowadzić *al reves*. Wymaga to szybkiego myślenia i wyobraźni. W porównaniu z wolnomyślącymi Anglosasami, Argentyńczyk jest już z „powrotem”, zanim tamci ruszą ze startu. Język hiszpański niewątpliwie ma jakiś dziwny dar kształtowania myślenia. Urabia człowieka, tak mi się wydaje.

O ile przetłumaczenie „Ferdurke” na hiszpański musiało być wyczynem na skalę heroiczną, to wszystko to, co Gombrowicz pisał w Buenos Aires po polsku w latach 50-tych, „wprasza się” przez otwarte drzwi w hiszpańskość. Bo już był dotknięty Argentyną. Wiele ustępów jego „Dziennika” mieni się pod powierzchnią muzyką języka argentyńskiego, jego metaforami, i może być bez większego trudu przełożone na hiszpański. Mam nadzieję, że ktoś to przestudiuje dokładnie. Warto stracić trochę czasu na tę komparatystykę.

W dużym stopniu „urządzenie się” naszej powojennej emigracji ukształtowała sytuacja gospodarcza Argentyny tego okresu. Był to kraj ogromny i ogromnie bogaty. W Banku Narodowym nagromadziło się tyle sztab złota, że magazynowano je na korytarzach skarbcza. Stanowiły wpływy z eksportu zboża i mięsa podczas wojny. Miasta żyły z cudownie urodzajnej Pampy. Wojna ulokowała w orbicie nową klasę przedsiębiorców. Byli to ludzie rzutcy, rozumiejący koniunkturę, jak na przykład, naturalizowany Argentyńczyk, Arystoteles Sokrates Onassis, który zrobił pierwsze duże pieniądze na importowanym szmuglu towarów na wielką skalę. Jego intratność była proporcjonalna do niebezpieczeństw, jakie przedstawiała żegluga po Atlantyku. Nie wymyślił zresztą nic nowego. Od zarania swej historii kupcy w Buenos Aires prosperowali na kontrabandzie z Europy. Jednocześnie w drugiej połowie lat 40-tych przemysł był jeszcze ciągle w powijakach. Znacznie bardziej do „tytu” niż w przedwojennej Polsce. Jednym z hasła, którym szermował Juan Peron było niezależnienie się gospodarcze poprzez uprzemysłowienie. Wydał na to całe złoto i trochę więcej, zaniedbując tradycyjne źródła bogactwa Argentyny: rolnictwo i hodowlę bydła. Ogołacając *campo* — wieś — z rąk do pracy, stwarzając rozhuśtany demagogią proletariat miejski. Oczywiście generalizuję, ale moim zamiarem nie jest napisanie historii powojennej Argentyny, lecz naszej, mojej Polonii.

W sumie, sytuacja otwierała szanse na dużą i małą skalę dla nowoprzybywających. Kusiło szeroką gamą możliwości dorobienia się harując „dla siebie”. A więc różnych warsztatów, fabryczek, garażów, sklepów. Startujący wówczas w Argentynie Polacy zachowywali się identycznie tak samo, jak to robią teraz w USA

Grecy, Koreańscy, Libańscy lub Hindusi wyrzuceni z Ugandy. Nie najmowali się do pracy u kogoś, ale ryzykowali coś na własną rękę. Czyli postępowali odwrotnie niż to robią Polacy aktualnej emigracji w Stanach Zjednoczonych. To „coś” na własną rękę i ryzyko mogło być wówczas pralnią, warsztatem naprawiającym samochody, lodówki etc. Albo firemką „plastyczną”, bo rzucili się hurmem do tak zwanego „wyciskania” tego tworzywa sztucznego, a inni bardziej pomysłowi do sporządzania matryc na artykuły masowo sprzedawane, nie tylko w sklepach, ale i z „koszyka” na ulicy, jak na przykład zabawki dla dzieci. Często maszyna do wyciskania stała w domu i jej właściciel miał blisko do pracy...

Szczęśliwcy, którzy złapali dobry artykuł szybko dorabiali się kokosów na plastyku. Oto kilka nazwisk potentatów w tej branży: Wiktoria Ardasiewicz Machnikowa, dawna pracowniczka PKO w Warszawie, Zdzisław Skarbek Tłuchowski, Bryszewski, po którego śmierci interes prowadzi wdowa, no i wielu innych, których nie pamiętam.

Mój przyjaciel z Drugiego Korpusu, Krzysztof Grodzicki, współkonspirator z „Salusa” Klimkowskiego, ułan malowany i dzielny spadochroniarz zrzucony do Polski, dorobił się ciężką pracą dwóch pralni. One dostarczyły mu kapitału na kupno *boutique Futura Mama* — dla przyszłych matek, sprzężycie prowadzonej przez jego żonę Halinę Grodzicką.

Zofia Chądzińska — później, po powrocie do Polski, z męża Gajewska (był ambasadorem w Paryżu) — też prała. Do spółki z Marią Wickenhagen. Siostra Antoniego Szymanowskiego umiała połączyć pozytywne z duchowo-umysłowym ustanawiając pierwszy pomost do Gombrowicza, po którym przeprowadziła w świat autora „Ferdurke” grono swoich przyjaciółek, między innymi Halinę Grodzicką, Dolly Traube (kiedyś muze Topolskiego), Gosię Wickenhagen i moją żonę. Żadna z nich nie miała tyle cierpliwości z Gombrem — jak ona. Zmusił ją do kupna od niego dywanu, który dostał z PKO jako odprawę. Nalegał argumentem, który wówczas brzmiał komicznie, ale teraz proroczo. Mówił: „Będiesz mogła go kiedyś sprzedać za wielkie pieniądze, bo po nim stąpał Gombrowicz”.

Zosia mieszkała na ulicy Coronel Diaz. Z okien jej roztaczał się widok na znajdującą na przeciw największą *amuebladę* w Buenos Aires, schowaną w wielkim ogrodzie, do której wjeżdżało się samochodami. Czasami długi sznur maszyn czekał u bram na swoją kolejkę. Gombrowicz lubił na to patrzeć z okna, obliczając dochody właścicieli tego przybytku „grzechu” na podstawie ruchu w godzinach szczytu.

Jerzy Bławdziewicz, popularny i niezapomniany Żorż, założył

warsztat ceramiki artystycznej, w którym wykorzystywał talent plastyczny swej żony Zofii, która poprzez swą rodzinę Ciecierskich skoligacona jest z arystokracją polską. Zatrudniał przyjaciółki i znajome swej żony co podczas pracy przypominało *circle* towarzyskie.

Tadeusz Gołabek patrzył w niebo — najczęściej modre — modląc się o deszcz bo miał warsztacik fabrykujący parasole.

Stanisław Stadnicki działał jako komiwojażer. Ożeniony był z wilnianką, Anielą Kłosowską, z którą czytelniczki *Kultury* zapoznali się poprzez jej piękne wspomnienie pt. „Co mi z tych lat zostało” (Nr 1/364-2/365). Po śmierci wyglądającego niezmiennie dystyngowane Stadnickiego, wyszła zamaż za Argentyńczyka, inżyniera Wohlmana i wyjechała do Australii.

Komandor „Ziutek” Boreyko był współwłaścicielem warsztatu tapicerskiego. Po jego przedwczesnej śmierci, jego wdowa Halina wyciskała plastik, słoiki do kremu. Wychowała swego syna na dobrego Polaka i znakomitego lekarza, mającego bardzo lukratywną praktykę w Ameryce w Bridgeport, w stanie Connecticut.

Pułkownik Władysław Michniewicz, szef „dwójki” korpusnej do chwili „neutralizowania” go przez płk. Wincentego Bąkiewicza, zainwestował swoje oszczędności w firmie instalacji kanalizacyjnych, która w swym aspekcie technicznym prowadzona była przez inżynierów Cieślakowskich, ojca i syna, podczas kiedy nasz James Bond odpowiedzialny był za buchalterię.

Być może te przykłady sprawiają fałszywe wrażenie, że nasza emigracja była *par excellence* oficersko-szlachecka. Tak nie było. Bardzo solidnie zapuszczali korzenie dawni podoficerowie. Jak na przykład mój przyjaciel z drukarni polowej *Orla Białego*, plutonowy Marian Laube z Grodna. Przyjechał z żoną Włoszką. Albo mój niezapomniany kumpel z łagru Bronisław Majcher z Rawy Ruskiej, teraz właściciel plantacji *yerba mate* w Azarze w Misiones. W październiku 1941 roku pracowaliśmy jako tragarze na stacji kolejowej w Taszkencie.

Rysem charakterystycznym naszej emigracji była jej niezwykła spoistość. Miała wspólny mianownik: archipelag Gułag i legendę wojenną w AK, 2-gim Korpusie, u Maczka — Polski walczącej na morzu lub w powietrzu. Jedyna różnica godna zanotowania, to chyba to, że tak zwana „inteligencja” i były wyższe szarże w znacznie większej ilości reemigrowały dalej z Argentyny do USA i innych krajów w drugiej połowie lat 50-tych i przez całe następne dziesięciolecie.

Powstawała „mała inicjatywa”: bary, sklepiki, restauracje, antykwariaty, galerie obrazów, hoteliki nad morzem w Mar del Plata i Villa Gesell.

Polki zabrały się z entuzjazmem do szycia, dostosowując swoje

wykroje do modnej wówczas (teraz się zmieniło) sylwetki Argentynki: wąska jak osa w pasie i pięknie rozłożysta poniżej, co najbardziej radowało oczy mężczyzn określających taką anatomię lirycznie: *flor de culo* — pupa jak kwiat.

Pięknie, nie?

Na pierwszy plan wybiły się dwa domy polonijnej *haute couture*: lwowianki Maryli, z pierwszego męża Domaszewiczowej, z drugiego Kordesowej, oraz żony Stanisława Czapskiego, brata drogiej mojemu sercu „świętej osoby” Józefa Czapskiego.

Młodszy Czapski prowadził kiosk z papierosami i suvenirami folkloru argentyńskiego w eleganckim hotelu Crillon na plaza San Martin. Często go odwiedzałem, bo rozmowa z nim była jedyną w swoim rodzaju przyjemnością w stylu retro. Sposobem mówienia, wiatrakowymi ruchami, osobistym wdziękiem żywo przypominał mi mojego dawnego szefa w Prasie i Oświacie Drugiego Korpusu. Wyciągałem go na jedną Cubanę Brandy z czerwoną pieczęcią — najpopularniejszym wówczas trunkiem polonijnym bo nie mogliśmy sobie pozwolić na whisky — do baru pod ziemią przy stacji kolejki *subte* czyli tamtejszego metra.

Inżynier Aleksander Czekalski pracując dla Fabricaciones Militares uzbroidł armię argentyńską w nowoczesne działo odrzutowe swego pomysłu.

Inżynier Kazimierz Byczyński, z Zakładów Starachowickich, ożeniony z kanoniczką Haliną Szczuka, po kilku latach pobytu na posadzie w Buenos Aires osiadł w prowincji Cordoba, gdzie założył hodowlę królików angora.

Bohater AK, dowódca legendarnego „Parasola” kapitan Białous kierował tartakiem w prowincji Neuquen.

Baron Konstanty Harting, który zwiedził Kongo kiedy Mobutu jeszcze rączkował, dostał się przez innego barona, Korffa, do argentyńskiej filii Mercedes-Benz. Wszedł w sosjetę tamtejszą żeniąc się z malarką i dziennikarką anglo-argentyńską, Charlotte Cooper.

Największą polską pozycją w malarstwie argentyńskim jest Janusz Eichler, syn starosty z Suwałk. Podczas kiedy on uchwycił Argentynę poprzez jej ludzi, Zygro (Zygmunt Grocholski) wylansował „zygroografię” o tematyce niezwiązanej ze scenariem wśród której żyje.

Niektórych nawet zagnało na Ziemię Ognistą. Udał się tam na wielką przygodę hodowania srebrnych lisów znany ziemianin spod Sandomierza, Karol Wickenhagen z rodziną swoją i zaprzyjaźnioną Okołowiczów, złożoną z Ireny i Zbigniewa oraz ich kilkumiesięcznej córeczki Zofii.

Egzystencja tam okazała się ponad ich siły. Po powrocie do Buenos Aires Karol Wickenhagen zarabiał na życie jako instruk-

tor jeździecki, podobnie jak jego syn Stanisław. Karol zmarł łamiąc kręgosłup, dosłownie skręcając kark, po upadku z konia. Żona jego przeniosła się do Kalifornii. Córka Basia pracuje jako stewardessa TWA. Stanisław Wickenhagen, który był synem Karola z pierwszego małżeństwa z siostrą generała Skotnickiego, zmarł w latach 60-tych.

Gombrowicz pielęgnował towarzystwo Dusia Jankowskiego, postać dobrze znaną z jego „Dzienników”, który za posag swej uroczej węgierskiej żony, dziedziczki wielkiej fortuny, kupił „estancję” pod Mar del Plata i do ostatniego swego dnia prowadził „wczorajsze życie” dojeżdżając z majątku na uciechy wielkiego miasta, do Buenos Aires.

Warszawianie bracia Nawroccy (z jednym z nich siedziałem w trzech więzieniach — Nadworna-Stanisławów-Nikołajew nad Morzem Czarnym za to samo przestępstwo „turystyki na Węgry”), puścili w ruch fabryczkę skarpetek z księciem Karolem Radziwiłłem, który ożenił się z panną Alvear ze znakomitej rodziny argentyńskiej, uświetnionej — jak się zwykło było mówić — własną awenidą, Avenidą Alvear na cześć prezydenta Argentyny o tym nazwisku.

Arystokracja trzymała się razem i z dala. Karol Orłowski — skoligacony poprzez matkę z tubylczą oligarchią — praktykował dubeltowy snobizm polski i argentyński wydając między innymi własnym sumptem — *Edicion Orloviana* — szkice genealogiczne rodzin polskich osiadłych w Ameryce (Bławdziewiczowie, Bnińscy, Domeykowie, Gniewoshowie, Jabłrzykowsy, Lipkowsy Olizatowie, Ordowie, Popielowie, Rehbinderscy, Rostworowsy, Sapiehowie, Świejkowsy, Żurowscy) wywołując oburzenie tych których nie zamieścił.

Dla Gombrowicza, który szydził z tych snobizmów, jednocześnie pławiąc się w nich, polski Gotha w Argentynie był rosą utrzymującą go w świeżości.

Pierwsze nasze lata w Argentynie zbiegły się z okresem wschodzącej świetności przemysłowca rodem — o ile mnie pamięć nie myli — z Bielska, Berenbauma, który otrzymał papieską baronię — dzięki staraniom polskiego dyplomaty. Dzięki swej przyjaźni z doradcą ekonomicznym Perona, falangistą hiszpańskim Figueroa, uzyskał szereg pozwoleń na sprowadzenie sprzętu fabrycznego z USA i Europy Zachodniej. Pozwolenia te udostępniały otrzymanie akredytywy w dolarach po uprzywilejowanym kursie, co nie tylko pozwalało na kupno maszyn, ale na dodatkowy suty zarobek poprzez sprzedaż dolarów po cenie prawie podwójnej na czarnej giełdzie w Buenos Aires.

Baron miał szeroki gest i wielu b. polskich wojskowych i

dyplomatów urządziło się w jego przedsiębiorstwach, a zwłaszcza w fabryce w Carapachay pod Buenos Aires.

Na marginesie muszę dodać, że ten sposób dawania akredytywy — i inne machlojki, z których korzystało w największym stopniu grono „cichych” współników Ewy Peron — doprowadziło w końcu Argentynę na brzeg katastrofy finansowej. Gdy przyjechalismy do Buenos Aires dolar był trochę ponad dwa pesos. Teraz jest około 80 tysięcy.

Ponieważ przeważająca większość nie była w niewoli odbębniania ośmiogodzinnego dnia pracy, ale podlegała z racji swego zawodu raczej własnej dyscyplinie, a pod presją atrakcyjnego zaproszenia zawsze można się było „wyrwać” — kwitło z egzotyczną gwałtownością, niemniejszą od tamtejszej flory — życie towarzyskie i uczuciowe.

Ludzie rekonstruowali strukturę rodziny poprzez zacieśniając się związki z przyjaciółmi. Dla mojej córki Żaby, wszystkie przyjaciółki mojej żony były ciociami.

Odwiedzano się nieustannie i niezłomnie. Nikt o jedenastej wieczór nie spoglądał znacząco na zegarek — jak to się dzieje w Nowym Jorku. Spotkania trwały do późnej nocy. I to nie tylko w *fin de semanas* — *week-end'y*, ale też w dnie powszednie.

W ostrym kontraście do równoległej emigracji polskiej w USA, polonoargentyńscy rozflirtowali się na ziemi argentyńskiej, jak gdyby miały się sprawdzić słowa Beaumarchais i do końca świata było jeszcze tylko dwa tygodnie. Czy to pod wpływem klimatu, czy też pod wpływem wrodzonej polskiej romantyczności i niefrasobliwości w tych sprawach, pączkowały trójkąty małżeńskie i nawet bardziej skomplikowane figury geometrii sentymentalnej. Wiem że nikt tego okresu burzy i naporu, wyzwolonych namietności i burzliwego rozwoju nie żałuje i się nie wstydzi.

Argentyńscy mają na to swoje powiedzenie bardzo *à propos*: *Quien me quita lo bailado...* Któż mi odbierze, com sobie przentańczył...

Jednocześnie biorąc rzecz panoramicznie, patrząc na nią z lotu ptaka, muszę stwierdzić że nigdy nie znajdowałem się w tak dobrym towarzystwie. Nie miałem tylu przyjaciół, na których mogłem polegać. Nie znajdowałem się wśród ludzi tak ideowych. Robiliśmy masę błędów i głupstw, ale działaliśmy pod impulsem serca, ale nie złej woli.

Nie będę stosował modnego *cover up* ukrywając, że z biegiem czasu atmosfera zaczęła nas rozkładać i że pod wpływem otaczającego nas oportunistu ulegalismy korozji. Ale w sumie nie ma się czego wstydzić. Nie wiem, ale przez jakiś tajemniczy proces Argentyna wydobywała najlepsze cechy u Polaków.

Dom Polski na ulicy Serrano, okazały z ogrodem, zakupiony został z drobnych składek. Nie istniały tam wówczas dary fundacyjne jak w USA. Nie było i nie ma organizacji które są zarazem towarzystwem ubezpieczeń, dla których wydawanie czasopisma jest lukrem na cieście dobrobytu. Wszystkie osiągnięcia w Argentynie są owocem zbiorowego wysiłku. Rzecz dla mnie najbardziej znamienna w tej komparatyście: Argentyna a inne ośrodki Polonii na świecie. W Argentynie młodzież mówi doskonale po polsku. Muszę dodać, że młodzież polonoargentyńska to nasza chyba najpiękniejsza karta emigracyjna w ogóle. W szkołach średnich zawsze wśród prymusów. Nawet, w tak na wysokim poziomie stojącym gimnazjum Colegio Buenos Aires, podlegającym kontroli Uniwersytetu stołecznego, znajdowali się w czołówce. Dwaj absolwenci tej uczelni są teraz w USA: dr Krzysztof Boreyko, o którym już wspominałem i dr Marcin Grodzicki w San Francisco w szpitalu Uniwersytetu Stanford.

Ale nic chyba nie obrazuje lepiej ducha, który owiewał młodzież polską w Argentynie, jak wyczyn andyjski: zdobycie południowej ściany groźnego El Plata (7.000 m) przez czterech nastolatków naszej emigracji: Stanisława Blicharskiego, Pawła Dudzińskiego, Andrzeja Pastewskiego i Jerzego Peterka. Wyszli ze szkoły znanego alpinisty, fotografa i pisarza, Wiktora Ostrowskiego zwanego „Magiczne Oko” weterana wysokogórskich ekspedycji w Tatrach, Alpach, Kaukazie, w Afryce i uczestnika polskiej wyprawy na Aconcague. Wyczyn czwórki ukoronowany zawieszeniem polskiej flagi na szczycie, był jedną z tych epopei na którą składają się wszystkie elementy zmagania człowieka z naturą, wątplenie, rozpacz, śmiertelne niebezpieczeństwo, abnegacja i radość ze zwycięstwa. Z tej czwórki: Paweł Dudziński i Andrzej Pastewski znajdują się w USA. Pierwszy jest chirurgiem w Denver, Colorado, drugi lekarzem w Nowym Jorku.

Dla tych którzy wyjechali, nie tylko dla młodzieży — więź argentyńska nie przestaje istnieć. Jest ona gdzieś głęboko zaprogramowana w duszy każdego, kto tam był i dał się unosić przez rytm życia nie podobnego do żadnego innego.

Jak to się przejawia? W długich rozmowach które moja córka w Nowym Jorku prowadzi telefonicznie po argentyńsku ze swym kolegą Marcinem Grodzickim w San Francisco. A w moim wypadku: Podczas meczu Argentyna-Polska o Puchar Świata w Buenos Aires dopingowałem drużynę błękitno-białą. Może dlatego, że ekipa Gmocha ubrana była od góry do dołu na czerwono? Nie wiem. Ale kiedy bramkarz Fillol złapał karnego bitego przez Kazimierza Deynę padliśmy sobie z córką w ramiona przed gigantycznym ekranem telewizyjnym w Madison Square Garden.

Prominentów polskich, których zastaliśmy po wojnie w Argen-

tynie można było policzyć na palcach jednej ręki. Nie znajdowała się na ich szlaku. Bardziej przyciągnęła ich Brazylia.

Był wybitny pianista, muzykolog Jerzy Lalewicz, u którego studiował kiedyś Artur Rodziński, i któremu doradzał, by się zabrał do czegoś innego, bo traci czas marząc o karierze wirtuoza. Lalewicz stał na uboczu spraw polskich, był już bardzo posunięty w latach. Odwiedzała go z „nowych” utalentowana pianistka Anna Kanel, wówczas jeszcze żona Ignacego Kleszczyńskiego, z krakowskiego „Ikaca”, z którym razem w Rzymie w latach 1946/47 wydawałem tygodnik pod tytułem *Życie Tygodnia*.

Na czele gasnącego poselstwa RP stał Mirosław Arciszewski, uważany przed wojną za jednego z najbardziej zdolnych dyplomatów polskiej służby zagranicznej. Cieszył się sławą sprężystego organizatora, biurokraty z „ludzką twarzą”. Ale w roku 1947 znajdował się już w stanie który Argentyńczycy nazywają metaforycznie *pura pinta*. Na froncie — fason i nienaganne manieri, ale wewnątrz spopieleny. Zżerała jego rdzeń nerwową jadowita kampania na łamach czasopisma nazywającego się *Niezależny Codzienny Kurier Polski*, prowadzona przez dziennikarza zagadkowej konduity, Witolda Ipohorskiego Lenkiewicza, który posunął się tak daleko że oskarżył Arciszewskiego i jego żonę, Rosjankę, o współpracę z wywiadem sowieckim. W tym celu wyciągnął przedwojenną aferę sowieckiego dyplomaty, radcy ambasady sowieckiej w Bukareszcie, niejakiegoś Butenki. Arciszewski znosił to z pozornym spokojem. Ale widać było jak jego stan psychiczny pogarsza się stopniowo. Fakt, że zwała mu się na głowę — olbrzymia jak na skalę argentyńską, emigracja jeszcze bardziej komplikująca mu życie — też przyczynił się do jego konfuzji *in crescendo*. Po udarze, który go sparaliżował pozwolił się odesłać do brata do Polski, ale umarł podczas długiej podróży morskiej. Jednak jeszcze przed tym tragicznym epilogiem, był jednym z protagonistów — wbrew woli — epizodu który nie przyniósł chwały poselstwu. Opowiem o tym trochę dalej.

Wielką niespodzianką była dla mnie obecność w Buenos Aires jednego z bohaterów mojej młodości: Edwarda Paciorkowskiego. Ten pojawiał się nagle — mówiąc językiem filmowców — w pewnych kadrach mego życia, które zawsze były początkiem nowego aktu.

Po raz pierwszy ukazał się w moim scenariuszu, po moim powrocie ze studiów w Szwajcarii. Zaimponował mi od pierwszego z nim spotkania. Był podobny do popularnego wówczas aktora Wallace Beery. Spędził kilka lat w Stanach Zjednoczonych, i na ringach amerykańskich nabył rozrośnięte muskuły ramiona. Nie było na jego miarę kołnierzyków, bo jego szyja

stężała pod naciskiem podwójnych nelsonów, które mu zakładaali w zapasach wolno-amerykańskich. Była potężną kolumną, na której spoczywała stosunkowo mała owalna głowa. Nawet gdybym nie wiedział, że był asem polskiego wywiadu, bohaterem wyczynu który przeszedł do antologii legendarnych „goli” strzelonych po solowym „wypadzie cichociemnym”: w jego wypadku wykradzenie dokumentów o znaczeniu kapitalnym, i to z samej jaskini lwa, bo z ministerstwa Reichswehry w Berlinie — wydawałby się godnym największego podziwu.

Kiedy spotkałem Paciorkowskiego w Warszawie znajdował się w trakcie wynurzania się z okresowej „odstawki”, na którą został szurgnięty za jakieś przewinienia natury administracyjnej, popełnione na stanowisku szefa bezpieczeństwa na Wołyniu. Funkcję tę otrzymał w nagrodę za tryumf w Berlinie, uważany za jeden z największych *coup* szpiegowskich lat dwudziestych. Wyniósł bowiem z ministerstwa kasę ogniotrwałą z całą zawartością, najściślej tajną, bo udowodniającą zamaskowane zbrojenie się weimarskiej Rzeszy.

Znałem go długo, ale opowiedział mi całą historię dopiero na kilka lat przed swoją śmiercią, podczas naszego trzeciego spotkania, już w latach 60-tych, tym razem w Rio de Janeiro, gdzie osiadł po wyrzuceniu go z Argentyny.

Wybiegłem naprzód. W Buenos Aires 1947 roku już nie wyglądał na boksera i zapaśnika. Przypominał opisy John de la Carré, szpiegów którzy wrócili „z zimna” i gnuśnieją. Miał potrójny podbródek i nową żonę pochodzenia wiedeńskiego. Pierwsza zostawiona w Polsce zginęła w getcie.

Jego stosunek do mnie przypominał *shadow boxing* — uniki z cieniem. Był pod każdym względem ambiwalentny. Owszem dawał mi dużo dobrych rad, ale nic ponad to. Trzymał się z dala od Arciszewskiego i poselstwa. Robił aluzje na temat swoich interesów handlowych z Polską Ludową. Arciszewski odpłacał mu się pięknym za nadobne, mówiąc o nim raczej zgryźliwie. Ale nigdy się nie dowiedziałem co wbiło między nich klin. Obaj zabrali tajemnicę do grobu.

Jeszcze bardziej cierpko wyrażał się o Paciorkowskim, b. adwokat warszawski Roman Ciechanow, brat pani Mazurkiewicz, żony b. konsula generalnego RP w Rzymie. Powiedział mi wprost, że pracował dla Paciorkowskiego podczas wojny zaopatrując go w informacje o ruchach statków w porcie buenosajreskim. Bo ten funkcjonował wówczas jako rezydent naszej „dwójki” z bezpośrednim kanałem do brytyjskiego *Intelligence Service*. Rzekomo instytucja ta żywiła dla niego specjalny szacunek, bo Paciorkowski uchodził za współautora tak zwanego „listu Zinowiewa”, fałszerstwa które w latach 20-tych spowodowało klęskę wyborczą labo-

rzystów. Skomponowany list zawierał instrukcje szpiegowskie dla ówczesnego przedstawicielstwa handlowego ZSSR w Londynie. Przypuszczam, że był to apokryf pod realną sytuację, bo niewątpliwie członkowie misji nie tylko handlowali ale też szpiegowali.

Roman Ciechanow miał do Paciorkowskiego pretensję że zarabiał na nim, ucinając dla siebie połowę pieniędzy które mu się należały. Że w podobny sposób traktował innych swych informatorów.

Starając się być metodycznym wpisałem nazwisko Paciorkowskiego z telefonem i adresem na calle Arroyo do mojego kieszonekowego notatnika. Miało mnie to wkrótce drogo kosztować. Podobnie jak rozmowa telefoniczna, którą przeprowadziłem z nim dzwoniąc do niego z mieszkania ministra Arciszewskiego, znajdującego się nad lokalem poselstwa.

Ale zanim do tego dojdę, muszę sięgnąć do innego wątku moich wspomnień. A mianowicie do spraw o charakterze autobiograficznym. Jednocześnie oświetlają one to co się działo z nami wszystkimi.

Mój *free-lance* w *Buenos Aires Herald*, nie tylko nie dawał mi żadnej satysfakcji — oprócz przyjaźni i pogaduszek z Koczubejem — ale to co tam zarabiałem nie wystarczało mi na zapłacenie komornego. Sytuacja stawała się coraz bardziej pod względem finansowym „podbramkowa”. Wszystko co miałem wydałem na zapłacenie sanatorium w którym przysła na świat moja córka Isabel, zwana Żabą. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam najmniejszej szansy zahaczenia się jako dziennikarz o jakieś wydawnictwo w języku hiszpańskim, ze względu na nieznamość języka. Wobec takiej sytuacji, postanowiłem szukać pracy jako specjalista od „łamania” czyli jak to tam nazywają *diagramador*. Pocięczałem się, że do tego znajomość argentyńskiego nie jest potrzebna i że coś znajdę.

Obchodziłem dzienniki i tygodniki. Jako próbkę mojej znajomości fachu pokazywałem wydawany w Rzymie tygodnik à la *Time Magazine* — *Życie Tygodnia*. Kiwali głowami, cierpliwie wysłuchiwali co im mówiłem. I na tym się kończyło. Aż pewnego dnia trafiłem do tygodnika *El Hogar*, jednej z publikacji wówczas potężnego koncernu prasowego Haynes, należącego do zargentynizowanych potomków angielskiego barona prasowego.

To że po długim antyszambrowaniu w ogóle się dostałem przed oblicze dyrektora *El Hogar*, Leona Bouché, było wynikiem różnych pomyslnych dla mnie pomyłek, bo jako zasada nie przyjmował petentów. Ale jego sekretarka była pod wrażeniem, że jestem rekomendowany przez kogoś ważnego. Tak, że kiedy znalazłem się po drugiej stronie jego biurka, było za późno na to by mnie splawić i nie miał innego wyjścia jak mnie wysłuchać.

Rozmawialiśmy po francusku. Urodzony w Urugwaju Bouché był synem profesora tej narodowości, który opuścił ojczyznę w poszukiwaniu bardziej lukratywnych możliwości. Uderzyło mnie jego podobieństwo do Balzaca. Powiedziałem, że staram się o pracę *diagramadora*. — Niestety — powiedział — w tym dziale nie ma u niego żadnych możliwości. Ale zainteresował go mój *background*, to że byłem korespondentem wojennym we Włoszech, Grecji i Francji. Dlaczego, coś na ten temat nie napiszę...

Od pierwszej chwili rozmowy z nim ogarnęło mnie wrażenie, które w Ameryce nazywają metaforycznie *the marines have landed* — wylądowała piechota morska, czyli nadeszła odsiecz w chwili krytycznej. Coś mi mówiło, że znalazłem człowieka który ciągnie mnie za uszy z opałów, w jakich znalazłem się w Buenos Aires. Zaproponowałem mu moją dziennikarską *piece de résistance* — wspomnienie o spotkaniu z królem włoskim Wiktorem Emanuelem w październiku 1944 roku. Zawdzięczałem je Stefanowi Tyszkiewiczowi, kuzynowi królowej poprzez jej czarnogórsko-rosyjskie koligacje. Spotkałem go w Bari kiedy wracał z Egiptu. Wiózł dla swej ukoronowanej krewnej różne prezenty. Pojechaliśmy do Rzymu okryną drogą poprzez Salerno, gdzie w jednej z miejscowości rezydowała zdetronizowana przez aliantów para królewska. Byłem pierwszym dziennikarzem, któremu kiedykolwiek udzielił wywiadu. Bouchému bardzo się podobał temat. Napisałem go po polsku, a przetłumaczył go na hiszpański, mieszkający od lat w Argentynie, redaktor Tomasz Wojnowski, człowiek wyjątkowej zacności. Z biciem serca zaniosłem go do *El Hogaru*. Tydzień później nabyłem w kiosku tygodnik. Nie chciałem oczom wierzyć. Numer zaczynał się od mojego reportażu.

Dostałem za niego 100 pesos, na które w *Buenos Aires Herald* musiałbym pracować miesiąc. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że „piechota morska wylądowała”, ustanawiając w mym życiu przyczółek, z którego będę mógł dalej działać.

Tak zaczęła się moja współpraca i serdeczna przyjaźń z Leonem Bouché, która trwała aż do jego śmierci w 1969 i która przetrwała mój wyjazd z Argentyny w 1963 roku, bo do ostatniej chwili pisałem dla niego. Był nie tylko wspierałym redaktorem, ale też nadzwyczajnym człowiekiem, dla którego żywię nieskończoną wdzięczność.

Zarówno w moim jak i w życiu Gombrowicza wielką rolę odegrała w Buenos Aires kawiarnia Fragata, na rogu awenidy Corrientes i ulicy San Martín. W samym sercu śródmieścia. Nie myślcie, że to coś w rodzaju paryskiego *Café des Deux Magots*. *Ni mucho menos* jak się mówi po hiszpańsku — w żadnym wypadku. Ale pod względem atmosfery — Fragata była jedyną

w swoim rodzaju. Przynajmniej wówczas. Tam autor „Transatlantyku” spotykał się wieczorem na tak zwane *tertulias* literackie. Znali go wszyscy kelnerzy. A zarówno jego jak i moim faworytem był marokański sefardyjczyk, Ben Simon, były kapral Legii Cudzoziemskiej.

Ja zwykłem być wpadać do Fragaty na *cafecito* w południe. Kawiarnia była w owym okresie magnesem ściągającym międzynarodowe towarzystwo rozbitków wojennych o których wspominałem na początku. Przy stoliku włoskim siedział syn Mussoliniego, Vittorio, który za rogiem miał biuro export-import. Przy stoliku austriackim przewodniczył były wódz paramilitarnego *Heimsschutz*'u, książę Reudiger Starhemberg, przy węgierskim, książę Ludwik Windisch-Graetz, który mszcząc się na Francuzach za traktat Trianon, okrawający ziemię Korony Św. Stefana — masowo podrabiał w latach dwudziestych franki i dinary jugosłowiańskie. Przy sąsiednim stoliku rezydował b. premier Jugosławii, Milan Stojadinowicz, który jako młody funkcjonariusz ministerstwa finansów pierwszy wpadł na trop tej patriotycznej afery.

Siadałem zawsze we Fragacie przy stoliku wybitnego redaktora neapolitańskiego, Ermanno Amicucci, człowieka wielkiej prawości charakteru, który nie opuścił Mussoliniego, bo uważał to za sprzeczne ze swoim poczuciem honoru. Polubił mnie i bardzo był uradowany moim debiutem w *El Hogar*. Będąc dziennikarzem o wielkim doświadczeniu podsunął mi wówczas pomysł drukowania w *El Hogarze* wywiadów z tą fascynującą klientelą schodzącą się w południe we Fragacie. Będzie to bardzo ciekawe dla Argentyńczyków żyjących zaściankiem, oddzielonych oceanem od dramatu europejskiego, którego protagoniści nagle się zjawili między nimi.

Zaproponowałem to podczas następnego spotkania z Bouché. Bardzo mu się to spodobało. Jako że chciałem się na stałe urządzić w *El Hogarze* puściłem próbny balon, że temat nadaje się na tygodniową rubrykę. Bouché to z miejsca „kupił”. Chciał tylko wiedzieć jaki tytuł proponuję. Miałem szczęśliwą inspirację. Zapaliła mi się lampka, jak mówią w Buenos Aires. *Todos los caminos conducen a Buenos Aires*. Wszystkie drogi prowadzą do Buenos Aires... Podpisywałem ją pseudonimem Pat Leroy. Tytuł z miejsca chwycił. Do tego stopnia, że Jerzy Petersburski, który wówczas akompaniował Kazimierzowi Krukowskiemu w kafejce na ulicy Tucuman, na moją prośbę napisał milongę pod tytułem *Todos los caminos conducen a Buenos Aires*. Grano ją przez radio jako reklamę *El Hogaru*.

Tydzień po tygodniu, przez prawie siedem lat obrabiałem 52 razy w roku ludzi o ciekawej przeszłości. Przewinał się przez

moją rubrykę długi poczet Polaków. Jednym z nich był Józef Czapski. Z okazji jego przyjazdu do Buenos Aires napisałem *La larga busca de Józef Czapski* — Dłgie poszukiwania Józefa Czapskiego, w którym opisywałem jego niezmeżone starania odnalezienia śladów jeńców Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa.

Bouché zgodził się też na produkt pochodny *Todos los caminos* — rubrykę ze świata dyplomatycznego którą nazwałem *El Mundo de la Diplomacia*, sygnując ją pseudonimem kobiecym: Peggy Leroy. Pierwszy wywiad dyplomatyczny zawdzięczałem ministrowi Arciszewskiemu, który powiedział dobre słowo o mnie swoim dwóm znajomym: ambasadorowi greckiemu Collasowi, który do Września 1939 roku był w Warszawie, i królownie rumuńskiej Illeanie.

Do chwili wylansowania mojej rubryki w prasie buenosajreskiej pisało się o dyplomatach z wielką rewerencją *per excelencia*. Peggy Leroy unowocześniła ten styl. Ambasadora czilijskiego Vergaro Donoso porównałem do grubego wróbla. Leon Bouché puścił to, a czytelnicy *El Hogaru* doszli do siebie po pierwszym szoku.

W rezultacie miałem regularnie dwa artykuły tygodniowo, co w znakomity sposób poprawiło moją sytuację materialną. Ale daleko było do malin, bo dziennikarstwo było wówczas w Argentynie średnio płatne.

Popłynęłem też dziennikarsko nurtem polskim. Ponieważ oficjalny organ Związku Polaków *Głos Polski* znajdował się mocno w rękach „starej emigracji” i podążał linią polityczną, która nam, w gorącej wodzie kąpanym, nie odpowiadała, wystartowaliśmy własnym czasopismem. Nazwaliśmy je *List z Europy i Polski*. Tygodnik miał format broszury. Redakcja składała się z Romana Dąbrowskiego, świetnego dziennikarza warszawskiego, autora wielu powieści w odcinkach w popołudniówkach stołecznych, oraz piszącego te słowa. Finanse, administracja znajdowały się w pewnych rękach Zbigniewa Kulpińskiego i Aleksandra Leszka Domaszewicza.

Pierwszy numer ukazał się w styczniu 1949 roku. W naszym *credo* napisaliśmy wówczas: „Nie ma dla nas Polski bez Wilna i Lwowa. Nie tylko po to jesteśmy na emigracji, by przetrwać w możliwie dobrych warunkach, by kupić sobie lotę (kawałek ziemi) i wybudować własny domek, by uciąć sobie trochę pesów, ale przede wszystkim po to, by innymi metodami prowadzić walkę...”

Orkiestra tusz...! Byliśmy pełni iluzji, nietknięci kornikiem sceptycyzmu. *Listy* ukazały się w sam czas. Wydająca lekką ręką wizy Argentyna zwabiła nie tylko awanturników z Europy Za-

chodniej, ale pojawiali się też blagierzy i mistyfikatorzy produkcji naszej — krajowej.

W społeczności polonijnej, która jeszcze się nie zdążyła rozpakować, zdezorientowanej scenerią w której się znalazła, mieli doskonały *habitat* do prosperowania.

Takim osobnikiem był niejaki Tadeusz Korab Gorączko, któremu czujny na wibracje niebieskich ptaków Roman Dąbrowski poświęcił w drugim numerze *Listów* artykuł pod tytułem „40 stopni Gorączki”.

Zjawił się on w Buenos Aires opowiadając niestworzone historie. Że był wybitnym działaczem AK w stopniu pułkownika. Że przywiózł ze sobą akta i dowody, że sprawcą mordu katyńskiego była NKWD. Zaczął organizować tajną konspirację, stawiając sobie za cel obalenie reżymu w PRL drogą zbrojnego powstania i sabotażu.

Był niesłuchanie czynny. Opublikował w *Głosie Polskim* artykuł o Katyniu, zaznaczając że jest to przedruk jego relacji która ukazała się w *New York Times*'ie. Zaindagowany korespondent tego dziennika w Buenos Aires, kategorycznie temu zaprzeczył.

To naszą czwórkę zaalarmowało. Brzmiał jednak tak przekonująco, że minister Arciszewski pozwolił mu urzędować w poselstwie.

Szczytem wszystkiego stała się mistyfikacja osnuta przez Gorączkę wokół osoby generała Sosnkowskiego. Pewnego dnia jak grom z jasnego nieba uderzyła w naszą Polonię wiadomość, że Naczelnny Wódz znajduje się w Buenos Aires. Wiadomość pochodziła od Koraba Gorączki. Twierdził, że sprowadzony przez Amerykanów specjalnym samolotem, zatrzymał się u niego, ale od kilku godzin konferuje w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Wiadomość ta postawiła na nogi wszystkich. Korab opowiadał szczegółowo. Jak generał był ubrany. Co zjadł u niego na śniadanie. Całe poselstwo uwierzyło. Korab Gorączko, wobec nalegań Arciszewskiego, przyrzekł solennie, że urządzi spotkanie z Sosnkowskim. Na próżno Kulpiński starał się przekonać ministra, że brzmi to fantastycznie, że jest rzeczą nie do pomyślenia by generał zrobił wszystkim taką niespodziankę. Zwłaszcza przyjacielom w SPK. Chcieli jednak wierzyć! Poselstwo dyżurowało do późnej nocy czekając na wizytę generała, którego — zgodnie z częstymi telefonami Koraba — trzymają Amerykanie, bo mają z nim tyle do obgadania.

Następnego rana Gorączko zjawił się u Arciszewskiego tłumacząc, że generał Sosnkowski złamany wiadomością o wyborze Trumana i klęską Dewey'a na którego stawiał, kazał sobie z samego rana podstawić samolot i odleciał do Kanady. Opis ten

ubarwił szczegółami, jak musiał przez całą noc pocieszać generała, że jednak sprawa polska pomimo zwycięstwa Trumana nie jest stracona...

Szereg znajomych generała, w tej liczbie również Arciszewski jeszcze ciągle dawali się nabierać. Napisali do generała wyrażając swój żal, że nie mieli okazji spotkać się z nim w Buenos Aires.

Generał Sosnkowski nie kazał długo czekać na odpowiedź. Napisał, że nie opuszczał Kanady, że bardzo chciałby przyjechać do Buenos Aires, ale niestety nie może i zapytywał w czym interesie podobne plotki są rozprzestrzeniane.

Całą tę sprawę wywaliliśmy na łamach naszego skromniutkiego *Listu*, którego grono czytelników składało się z „nowych”. Sprawa powinna być na tym skończyć zniknięciem Koraba. Nic podobnego. Wytoczył nam proces o zniesławienie wydając jednocześnie broszurę pt. „Broniąc się oskarżam”. Napisał w niej, że jestem komunistą, bo pracowałem w „Kurierze Czerwonym”.

Wiem, brzmi to surrealistycznie. Ale przenieśmy się do Buenos Aires 1949 roku. Jak udowodnić przed sądem argentyńskim, że *Kurier Czerwony* nie był przed wojną organem KPP. Na jaki autorytet się powołać. Kulpińskiemu wpadł do głowy szczęśliwy pomysł napisania do generała Andersa w tej sprawie. Dostaliśmy szybko pismo od naszego b. dowódcy, wystawiające nam *buena conducta*, tłumaczące nazwę popularnej południówki Domu Prasy. Ten niezwykły dokument znajduje się w aktach sprawy w sądzie w Buenos Aires. Proces trwał pół roku. Naszym adwokatem, był *amigo* sprawy polskiej, Dr Rodriguez Arroya. W końcu federalna policja argentyńska — która podobno używała Koraba — zdecydowała się go deportować. Ale w rezultacie nikomu z naszej czwórki to dobrze nie zrobiło. Zwróciło to na nas uwagę szefa policji politycznej, płk. Jorge Osinde i nasze teczki w jego archiwach napęczniały historią teatru absurdu zainscenizowanego przez Korab Gorączkę.

Mniej więcej w tym czasie, zacząłem pracować w wydziale prasowym ambasady amerykańskiej, która rozpoczęła publikację miesięcznika *Informaciones*. Zaangażowano mnie jako redaktora odpowiedzialnego za „łamanie”. Rano działałem w ambasadzie, po południu w *El Hogarze*. Był to okres eskalacji napięcia między Waszyngtonem i Peronem, który zawdzięczał wybór na prezydenta głównie temu, iż potrafił rozpalić do białości antyamerykańską demagogię — straszakiem *imperialismo yanqui* — w czym w dużym stopniu pomogła mu niezręczność przedstawicieli Waszyngtonu w Buenos Aires — głównie ambasadora Sprouille Bradena.

Działo się to w połowie 1951 roku. Wybierałem się rano do ambasady kiedy przed śniadaniem zaskoczyło mnie nagle przy-

bycie kilku funkcjonariuszy tajnej policji, którzy zabrali mnie ze sobą, po uprzednim oczyszczeniu wszystkich szuflad z notatników i książeczek z adresami.

Wzięli mnie w obroty przesłuchując bez przerwy przez dwa dni. Tajniacy prowadzący śledztwo zmieniali się co kilka godzin. Przechodzili ze mną każdą pozycję moich zapisków. O północy zjawił się sam płk Osinde. Strzygąc groźnie wąsikami, świdrując mnie wzrokiem i oslepiającym reflektorem sformułował oskarżenie.

Hańba!... Działałem na szkodę Argentyny, która mnie gościnnie przyjęła. Byłem — cedził każde słowo sprawdzając jakie to na mnie robi wrażenie — agentem wywiadu amerykańskiego, dobrze płatnym najmitą na żołdzie CIA. Przeze mnie mój bezpośredni szef, radca handlowy Walstrom (naprawdę znałem go tylko z widzenia) rozdawał judaszowe srebrniki agentom imperializmu. Jednym z moich podkomendnych, należących do mojej „siatki” był Eduardo Paciorkowski. Dowody: miałem zanotowany jego adres z telefonem wśród moich *apuntes*. Oczywiście podsłuchali moją rozmowę z nim. Lepiej bym się do wszystkiego szybko przyznał, bo Paciorkowski już wyśpiewał całą historię...

Znosiłem to dość pogodnie być może dlatego, że nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji, uważając to za Kafkę na wesoło. Usiłowałem go przekonać, że ledwo wiąże koniec z końcem. Że ambasada płaci mi kiepsko, a w *El Hogarze* zarabiam od sztuki z czego muszę część odpalić tłumaczowi moich artykułów.

Przez cały czas przesłuchiwanie przez płk. Osinde rozlegał się dziki ryk, jakby jakiegoś torturowanego człowieka. Specjalnością w owych czasach była *picana electrica* — pręt elektryczny przykładany do najbardziej wrażliwych części ciała. Podobno „ilustracja muzyczna” w moim wypadku pochodziła z płyty z dźwiękami, używanej do zmiekczenia „delikwenta”.

Mnie nie dotknęto. Obeszło się tylko na groźbach. Po dwóch dniach wypuszczono mnie. Stało się to dzięki energicznej interwencji Leona Bouché, który puścił w ruch wszystkie swoje znajomości w Casa Rosada — Różowym Domu Perona, powodując że jeden z najbliższych współpracowników prezydenta, Nicolini, wstawił się za mną.

W ambasadzie witano mnie jak bohatera cierpiącego za sprawę demokracji. Jednocześnie został aresztowany mój kolega z wydziału prasowego, też tak zwany „lokalny urzędnik” Roberto Mujica Lainez, brat słynnego powieściopisarza, który po zwolnieniu natychmiast wyjechał z Argentyny.

Ja nawet gdybym chciał, nie miałem dokąd i za co.

Po kilku dniach dowiedziałem się, że Paciorkowski siedział i to dobrze. Nigdy się od niego nie dowiedziałem dlaczego.

Podejrzewam, że w jakiś sposób naraził się płk. Osinde. Znacznie później powiedział mi jedynie, że grożono mu śmiercią, trzymano w piwnicy, ale w końcu szurgnięto do Urugwaju skąd przeniósł się do Rio de Janeiro, gdzie prowadząc życie rentiera umarł w latach 60-tych.

Nigdy też nie dowiedziałem się, dlaczego Osinde, który po upadku Perona urządził się jako dyrektor hotelu, zaawansował mnie na szefa bohatera mojej młodości — adwokata Leona Okręta, przez którego debiutowałem w *Kurierze Porannym* jako pomocnik sprawozdawcy sądowego.

Dla mnie ten epizod zakończył się na duży plus. Leon Bouché był do tego stopnia oburzony sposobem potraktowania mnie przez policję, że wymógł na dyrekcji wydawnictwa mój awans z *free-lance'u* w *El Hogarze* na redaktora z pensją. W tym wypadku było to zło, co mi na dobre wyszło.

Jak to często bywa ze wspomnieniami, niektóre mniej ważne wyraźniej odcisnęły się w mojej pamięci. Bo niezbadane są mechanizmy jej działania. Niezależnie od naszej świadomej woli ustawia ona obiektyw na „zbliżenia”, „drugie plany”, tło. Za *flash* służy iskra, a czasem fajerwerk emocji.

Okres lat 50-tych, konsolidacji wpływów „nowych” w organizacjach polonijnych odnajduję poprzez „pierwsze plany” osób które brały czynny w nich udział.

Nabycie Domu Polskiego na ulicy Serrano wpadającej na Plaza Italia wprost na pomnik Garibaldiego, pod którym rekruci zwykli byli podszczypywać swoje wybranki, było ostatnim — bardzo harmonijnym akordem starej emigracji, która na stanowiskach prezesów Związku Polaków reprezentowana była przez Stanisława Pyzika, Józefa Zapadkę i Bolesława Schreibera, który umarł niedawno w wieku lat 90-ciu. Każdy z nich był człowiekiem innej tekstury. Zapadka doskonale rozumiał się z Kulpińskim i sprzyjał nam widząc że rozwój wydarzeń jest zdecydowanie po naszej stronie. „Nieprzejednani” wynieśli na stanowisko prezesa trzech ludzi, z których każdy był na swój sposób opatrnościowy i odpowiedni do danej chwili: inżynierowie Słodyk, Jezierski i Śliwiński.

Najbliższy mi był pułkownik saperów Stanisław Śliwiński, którego żarliwość i upór miały coś wzruszającego. Potrafił być bezceremonialny, co wielu irytowało, ale nikt nie śmiał kwestionować jego oddania sprawie i kryształowej rzetelności. Jego prezesura zbiegła się z polskim październikiem 1956 roku i listopadem węgierskim 1958 roku. Wzmogło to jego produkcję komunikatów do prasy w języku hiszpańskim. Nigdy nie zapomnę — używałem do tego *flash'u* — wynurzającej się w korytarzu ambasady senatorskiej sylwetki Śliwińskiego, który wpadał często

do nas dbając, bym nie próżnował, przynosząc mi polskie teksty do przetłumaczenia. Wzruszające było też przejęcie z jakim inż. Śliwiński reprezentował londyńską Radę Trzech, jak „ustawiał się” wobec „Zamku”, mającego swego przedstawiciela w osobie Zbigniewa Żółtowskiego, skoligaconego przez swoją żonę z Augustem Zaleskim. Niektórych z nas już nadgryzł sceptycyzm, ale Stanisław Śliwiński trwał niewzruszenie na warcie, bo ta wiara ładowała jego baterie. W święta narodowe odbywały się konkurencyjne przyjęcia u Śliwińskiego i Żółtowskiego i nasi działacze pokazywali się na obu.

Ożeniony z Włoszką inżynier Tadeusz Słodyk był prezesem precyzyjnych sformułowań i wyraźnie wykreślonych ambicji. Inżynier Stanisław Jezierski — dyplomata dążącym najbardziej z całego tria do zbieżności opinii. Ale chyba nikt, nie napełnił tak realną polską treścią polonijnej siedziby na ulicy Serrano jak Ela Niewiadomska.

Nigdy nie przypuszczałem, że ta piękna tancerka, którą za czasów korpuśnych oklaskiwaliśmy w Teatrze Żołnierza *Polish Parade*, posiada tak zdecydowany charakter. A teraz widzę, że już w 1943 mieliśmy tego dowód kiedy dała dyskretnego „kosza” jednemu z naszych generałów, który jak my wszyscy — był bardzo kochliwy, ludzki i romantyczny. Nie mogła mu nie wpaść w oko. Ale Ela poszła swoją drogą. Razem z nami do Argentyny. Tam przez ostatnie 30 lat zbliża polskie tradycje poprzez tańce i folklor — drugiemu już — trzecie jest już na progu — pokoleniu.

Cóż, Dudziński, Pastewski, Blicharski, Kawecki, zanim szturmowali Andy stawiali pierwsze kroki w skokach przez ciupagę w góralskim, w oberku, w krakowiaku — pod jej kierownictwem.

Pamiętam ją zawsze uśmiechniętą za kontuarem w olbrzymiej Farmacia Franco-Inglesa na calle Florida, zachęcającą do kupna kosmetyków Heleny Rubinstein dbające o swoją urodę Argentynki.

W latach 50-tych Argentyna wyciskała coraz większe piętno na nas. Coraz bardziej czarowała nas swą metafizyką. Nasz język polski wzbogacił się słowami argentyńskimi, które bardziej przylegały do sytuacji lokalnej, niż te z naszego słownictwa. Na przykład *kobrowało* się pieniądze, a nie inkasowało. Albo „*sfrakaso-wać*” obejmuje szerszą gamę niepowodzeń jak — spudłowanie. Określenie tak piękne jak *ambiente* — łączące w sobie dwa znaczenia — nastrój plus atmosfera i coś więcej — zdobyło sobie prawo obywatelstwa w naszym polskim *à jour* z Argentyną.

Lata pięćdziesiąte były też okresem pierwszych wykruszeń. Po każdym pogrzebie Zbyszek Kulpiński powtarzał z aluzyjnym mrugnięciem słynne słowa generała Andersa wypowiedziane w Buzułuku: „Może nie wszyscy, ale dojdziemy”...

Wśród pierwszych, którzy odpadli w tym maratonie, którego mety nie widać, znajdowali się generał Rakowski, Olgierd Oskierko, mój ulubiony wilnianin. Co tam Franc Fischer... Trzeba było słuchać wywodów Oskierki... Jak biednie wygląda łyśa głowa Yul Brynnera wobec wspaniałej, demonicznej pały rotmistrza Oskierki. On nie należał do świata szwoleżerów. Jego świat był starszy: chorągwi litewskich szarżujących za Witolda pod Grunwaldem.

W końcu lat 50-tych rozpoczął się *exodus* z Argentyny. Początkowo pojedynczo do Ameryki, Wielkiej Brytanii, Australii, Brazylii czasem Afryki Południowej. Te odwroty podyktowane były w dużym stopniu pogarszającą się sytuacją gospodarczą. Albo pod wpływem imponderabilii w *ambiente*. Przykładem takim była „emigracja wewnętrzna” mojego przyjaciela, człowieka którego bardzo cenię, dr. Zdzisława Gałaczyńskiego, który przeniósł się do Cordoby. Umiął znostryfikować swój tytuł adwokacki, ale „sfrakasował” w ułożeniu sobie życia ze swymi kolegami. Ci, którzy pierwsi zaczęli szukać nowego krajobrazu za granicą czynili to pod wpływem natrętnego pytania: „Teraz łatwo, ale co będzie na starość?”

Większość reemigrantów do USA skierowała swe kroki do Kalifornii przyciągnięta jej klimatem i hiszpańskością. Historia uczy, że 160 lat temu na krótko miała tam przyczółek Argentyna kiedy na czele fregaty wylądował kapitan Bouchard.

Polska po 1956 roku wzniciła iluzje i przyspieszyła powrót Kazimierza Krukowskiego z żoną i poetki Józefy Radzywińskiej.

Pod różnymi impulsami nowa emigracja zaczęła stopniowo tracić swartość i spoistość. Powoli więzy wspólnych przeżyć traściły swoją siłę. Wydaje się, że jest to proces nieuchronny. Nie możliwy do uniknięcia na dłuższą metę. Działo się to pod naporem różnych — mówiąc językiem żeglarskim „krawędzi natarcia”. A więc stosunku do PRL, do jego poselstwa, do wyjazdów do kraju, do interesów handlowych z Polską. Ale dużą rolę odgrywały też sprawy lokalne, albo personalne. Ambicje „przewodzenia narodem”...

Niewątpliwie lata peronizmu zaszczepiły społeczeństwu argentyńskiemu sporą dozę niemoralności — było rzeczą oczywistą, że te toksyny rozplynęły się po całym organizmie, nie wyłączając Polonii. Ale za każdym razem kiedy samotnie na końcu świata krążący w orbicie statek polski zbaczał czasami z kursu, znajdował się zawsze sternik, który wyprowadzał go na właściwą drogę.

Znajdowaliśmy się rzeczywiście na bocznej ulicy świata. Niektórzy nazywali Argentynę — Atlantyda, zaginionym lądem. Ale zaskoczeni byli kiedy po długiej podróży, het na południe, wyrzucali się nagle w mieście, które pod względem elegancji i „so-

fistykacji” we współczesnym znaczeniu tego słowa, niczym nie ustępowało Paryżowi lub Rzymowi.

Anders nigdy nas nie odwiedził. Mieliśmy wizytę generała Stanisława Kopańskiego, która dla starej gwardii karpataczyków: płk. Karola Angermana, Zdzisława „Dzidka” Styczyńskiego, teraz żyjącego wśród Szychowskich w Apostoles w dalekim Misiones, zmarłego „żandarma” Edzia Mikitowicza — stała się spełnieniem najwspanialszych życzeń.

Dla mnie charakter ten miał przyjazd mojego dawnego szefa, Józefa Czapskiego. Marzyłem zawsze o spotkaniu Czapskiego z Leonem Bouché, dwóch ludzi nie tylko bardzo mi bliskich, ale od których wiele się nauczyłem i którym moc zawdzięczałem. Kiedy Czapski zjawił się w Buenos Aires nie mogłem żadnym ludzkim sposobem wykreślić się od poznania Bouché.

Ale rojenia bardzo rzadko wytrzymują próbę realizacji. Spotkanie w naszej redakcji nie osiągnęło skali wzruszeń jakie sobie wymarzyłem. Czapski pochłonięty był całkowicie myślą odwiedzenia siostry swego druha z Kozielska, zamordowanego w Katyniu pułkownika Sołtana, która była zakonnicą pielęgnującą trędowatych w kolonii pod General Rodriguez, godzinę drogi od Buenos Aires. Odfajkował tę wizytę w *El Hogarze* z przyjaźni dla mnie, ale nie stała się *comunion de almas* — jak sobie wyobrażałem.

Upadek Perona w 1955 roku uderzył we mnie rykoszetem. Prawie że w przeddzień zwycięskiego zamachu stanu generała Lonardi, cieszący się wielkim autorytetem Leon Bouché dał się namówić na objęcie stanowiska sekretarza stanu dla Spraw Prasy. Peron szukał zbliżenia z opozycją i Bouché miał być takim pomostem. Zwycięska rewolucja spowodowała generalne przetasowanie w prasie, w wyniku czego zgodnie z tradycją nastąpiło obcięcie „warkoczy”. Ponieważ ja należałem do faworytów Bouchého, jego następcą, poeta ciągnący w stronę Lewicy — Vicente Barbieri, usunął mnie przy najbliższej okazji.

Kilka lat później Bouché objął redakcję dodatków rozrywkowo-literackich najpopularniejszego dziennika *Clarín* i byłem jednym z pierwszych, którym zatrudnił do współpracy.

Kontynuowałem ją nawet po moim wyjeździe do USA w 1963 jako korespondent z Nowego Jorku. Do dnia jego śmierci. Pełnił samobójstwo po operacji wyłączając dopływ serum. Pchnął go do tego pesymizm, ogarniający ludzi jego pokolenia na widok tego, co się zaczęło dziać w Argentynie.

Trudno przedrzeć się przez gąszcz wspomnień. Im głębiej w las tym więcej drzew. Każde nazwisko otwiera nowe drzwi i czuje się bezradny w tym labiryncie. A czas na wyjście z niego.

Argentyna zostawiła mi w ustach dziwny smak słodko-gorzki.

Przekonany jestem, że nam wszystkim dobrze zrobiła. Nie był to czas stracony. Choć nie zdajemy sobie, być może, z tego sprawy, że z wszystkich nas zrobiła w pewnym stopniu Argentyńczyków.

Po sobie wiem, że wzbogaciła nas o kilka oktaw wrażliwości. Nawet ci wśród nas, którzy nigdy nie nauczyli się płynnie mówić po argentyńsku, muszą być świadomi, że ich lirze przybyły nowe struny.

Było wielkim szczęściem, że właśnie tam przyszło spędzić Witoldowi Gombrowiczowi długie lata wojenne. To nie była lodówka — jak niektórzy twierdzą. Tylko tam życie jego mogło być płynąć kilkoma nurtami. W *ambiente* Buenos Aires stał się lepszym pisarzem, bo było to powietrze pod względem twórczym bardzo płodne. W Nowym Jorku stopniowo by zjałowił. Nie miałby scenarii kawiarni na spotkania ze swymi uczniami. Odizolowany, zmuszony stylem życia do anonsowania swych wizyt o dwa tygodnie wcześniej — wędnałby na manhattańskim bruku. W *matter-of-fact* atmosferze pogoni za dolarem nie byłoby miejsca na interakcję z jego ekstrawagancją — świadomą i nieświadomą. Nie znalazłby nikogo, kogo by zmusił do odkupienia od niego starego dywana jak to zrobił z Zosią Chądzyńską. Gdyby komuś to zaproponował, ogłoszono by go za wariata. Albo poradzono, by go oddał na aukcję do Parke Bernet Galleries Inc. Dla chleba, Panie, dla chleba, współpracowałby wówczas z polskim deskciem Radia Wolnej Europy.

Na odległość 10 tysięcy kilometrów toczył ostre boje z Lecho-niem. A do czego by doszło, gdyby się spotykali kilka razy na tydzień pod jednym dachem. Oczywiście Polonia wypowiedzia-ła by się po stronie bardziej dla niej czytelnego poety.

Opatrzność skierowała w 1939 roku autora „Pornografii” do dalekiej Argentyny. Jeszcze mniej go widzę w wojennym Londynie.

Mam jakieś dziwne przekonanie — czytając go między wierszami — że Gombrowicz to w latach 60-tych zrozumiał. Pisał do mnie do Nowego Jorku, bym w *Clarín*'ie wspominał o jego szansach na nagrodę Nobla. Pragnął „przez same gadzinostwo” by to doszło do Victorii Ocampo i Jorge Luis Borgesa. Gdyby nie tęsknił do Argentyny, zamknąłby ten rozdział ostatecznie. A czy dobrze zrobiliśmy że nas tam zagnało. To jest pytanie bardzo *a fondo* — zasadnicze.

Zależy od tego co się od życia oczekuje. Stany Zjednoczone — satysfakcjonują — jak się mówi w PRL — potrzeby materialne człowieka. Ci, którzy stąd wyjechali tęsknią za oszałamiającym bogactwem sklepów i domów towarowych.

Jeśli chodzi o Argentynę tęskni się do sytuacji ludzkich, emocji niemających nic wspólnego z dobrami materialnymi. Na tym polega zasadnicza różnica.

A w moim wypadku, wróciłem znowu do dziennikarstwa argentyńskiego. I w niczym nie odnajduję tak „utraconego czasu” jak właśnie w tym, że jestem *corresponsal argentino* w Nowym Jorku.



Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odżył okres powojenny, kiedy będąc dziennikarzem odmawiającym powrotu do kraju wzbudzałem niechętnie i podejrzliwe komentarze, bo uważano mnie za reakcjonistę w sojuszu z militarystami.

Otóż Argentyna jest równie niepopularna i „trędowata” w 1978 roku w Stanach Zjednoczonych i gdzie indziej, jak nasza sprawa była wówczas.

Ale cóż mogę zrobić. Wiem, że jest ona tak słuszna, jak kiedyś nasza. Więc znoszę to z absolutną pogodą ducha. Nie czuję się w najmniejszym stopniu dotknięty, kiedy dostojnicy administracji Cartera robią uniki na moje zapytania o udzielenie wywiadu dla wydawnictwa przeze mnie reprezentowanego w Stanach Zjednoczonych. Bo obawiają się, że może im to zaszkodzić. Ze cytata ich słów wróci bumerangiem z Buenos Aires i poszczuje na nich zwolenników „Nowej Lewicy”, rozsianych w Departamencie Stanu i innych agencjach. A dzieje się tak mimo tego, że mój *El Economista* jest organem niezależnym i bardzo wpływowym.

Może do argentyńskości pcha mnie przekora. Gombro by mnie zrozumiał. Spotykał późniejszych wodzów Montoneros i ERP'u. Jego „Dzienniki” i „Wędrowki po Argentynie” ostrzegają, oświetlając nastroje, chwytając retorykę, która w latach 70-tych doprowadziła do *guerrilly* miejskiej na skalę dziesięciokrotnie większą niż we Włoszech.

To nie jest historia — jak powiedziałem — na początku. To jest moja percepcja wydarzeń, jeszcze we mnie nie zastygłych. Być może przyszłość wprowadzi do nich poprawki.

Nie narzekam na moją pamięć, ale pozwalam kwestionować moje oceny.

Zdzisław BAU

Archiwum polityczne

Przemiany w światowym układzie sił

61 lat od chwili wielkiego przełomu październikowego nie wystarczyło kolejnym władcom Kremla, by odziah i zapewnić dostatek żywności swym obywatelom. Wystarczyło im jednak 15 lat, by z tego cierpiącego na ustawiczny niedostatek materialny kraju uczynić największą militarną potęgę świata. 15 lat temu Sowiety były daleko w tyle za Ameryką i krajami NATO we wszystkich rodzajach uzbrojenia. Ich arsenał nowoczesnych broni ustępował ilością i jakością. Flota sowiecka, poza ochroną wybrzeży, praktycznie nie istniała. Obecnie panuje na wszystkich oceanach.

Przywódcy sowieccy od czasów Chruszczowa uznali, że konkurencja na froncie ekonomicznym nie daje im szans dorównania Zachodowi, nawet ze wszystkimi jego kryzysami, inflacją i bezrobociem. Ze dystans miał maleć — powiększa się z każdym rokiem. Trzeźwo doszli do bezbłędного wniosku, że koncentracja wysiłków na jednym odcinku — wojennym — daje im kolosalną szansę. Szansę, pomnożoną rosnącym psychicznym bezwładem Zachodu. Skoro tak trudno jest dogonić i przegonić Zachód, czyż nie prościej go wyeliminować i stworzyć sytuację, w której nie będzie komu z kim konkurować? Była to najprostsza z punktu widzenia Kremla droga. Tym bardziej, że kamuflowana uwodzieleńskim śpiewem o *Détente*, współistnieniu i pokojowym współzawodnictwie. W tej strategii wyeliminowania innych alternatyw ustrojowych prócz sowieckiej lub sowiecko-podobnych, Kreml znalazł naturalnych sojuszników. Jest nim rosnąca liczba krajów Trzeciego Świata. Do nich należy większość państw arabskich, prawie wszystkie czarno-afrykańskie i powiększająca się liczba byłych amerykańskich sojuszników w Azji. Ludy tych krajów

nie są zdolne do samodzielnego tworzenia zmodernizowanych systemów gospodarczych, podobnych do tego typu jakie stworzył Zachód i Japonia, bez pomocy obcych specjalistów, ekspertów i doradców. Cierpią one na organiczny niedowład technologiczny, który, w przeciwieństwie do Sowietów i Chin — nie ma nic wspólnego ze strukturą ustrojową. Można tu wyliczyć całą listę krajów geograficznie od siebie odległych, od feudalnych czy półfeudalnych do „socjalistycznych” typu Algierii lub Iraku.

W Arabii Saudyjskiej, w połączonych emiratach, w Libii, w Nigerii, w zasobnych w niektóre surowce krajach afrykańskich jak Zambia, Angola, Gwinea nie tylko odkrycia naturalnych bogactw zostały dokonane przez Europejczyków, ale również ich eksploatacja odbywa się przy udziale cudzoziemców — Amerykanów, Włochów, Brytyjczyków, Japończyków, a w wypadku ich braku — Rosjan. Dotyczy to nawet Iranu — narodu o wielowiekowej tradycji państwowości i starej kulturze. Również i tam nie tylko wydobyte ropy naftowej, jej rafineria, ale i cała superstruktura — komunikacja, łączność, budownictwo stworzone zostały przy udziale obcych ekspertów i doradców. Ci byli potrzebni bynajmniej nie tylko do tego, by z armii irańskiej uczynić „żandarma zatoki perskiej”, ale do budowania mostów i sieci komunikacyjnej. Przeszkodą w usamodzielnieniu się nie był bynajmniej, powtarzany do znudzenia, zarzut że Zachód strzeże swojej wiedzy technologicznej i że wystarczyłoby owym ludom powiedzieć *know-how* — a już one same sobą pokierują i wkrótce dogonią państwa uprzemysłowione. Pomimo owych *know-how*, dalej potrzebni byli amerykańscy, zachodnioeuropejscy lub japońscy specjaliści. I to nie na określony czas, jak to było w późnych dwudziestych latach w Rosji, ale na stałe. W tych warunkach wydaje się zrozumiałe, że w świadomości wielu tubylców rozwijała się powoli niechęć do owego modernistycznego panaceum — państwa opartego na współczesnej technologii, które w praktyce nie może obejść się bez cudzoziemców. Oczywiście nikt spośród owych ludów — kim by nie byli — czy Irańczykami, Zambijczykami, Ghanajczykami, Gwinejczykami — że pominę tu kilka tuzinów innych, nigdy by do niczego podobnego się nie przyznawał. Byłoby to wbrew poczuciu dumy narodowej lub rasowej. Zamiast tego eksponowano co innego — legendę o „postkolonialnej penetracji mocarstw imperialnych”, których nienasycone apetyty odnalazły nowe drogi podboju. Nie było to całkowicie legendą. Było to nawet więcej niż pół-prawdą. Pomieszano tu tylko skutek z przyczyną. To nie penetracja cudzoziemców pozabawiła tubylców inicjatywy twórczej, ale brak ich inicjatywy otworzył cudzoziemcom drogę. Otworzył drogę inwestorom, bankierom i tysiącom ekspertów. Natura nie znosi próżni. To samo

dotyczy próżni gospodarczej krajów zasobnych w surowce, z których same nie mogą zrobić samodzielnego użytku.

Frustracja, wynikająca z poczucia własnej niemożności u wielu (choć nie u wszystkich) eks-kolonialnych ludów, stanowiła urodzajną glebę, na której zaczęły rozwijać się wrogie uczucia do cudzoziemców. To nie był wcale wstręt do modernizacji. Przeciwnie — z jej owoców chętnie korzystali jej mieszkańcy. W Iranie nikt nie miał ochoty rozbijać komputerów, ani wysadzać w powietrze rafinerii naftowych lub innych obiektów przemysłowych. Jeżeli — to występowano przeciw już bardzo zachodnim akcesoriom w postaci kin, nocnych lokali lub kiosków z Coca Colą. Zdaje się, że nawet nie podpalano dyskotek — które — w przekonaniu Ayatolla Khomeini były policzkiem wymierzonym Islamowi. Właśnie owa niezdolność wielu ludów półkolonialnych lub post-kolonialnych do tworzenia bez pomocy kapitalistycznego Zachodu lub Japonii własnej nowoczesnej ekonomii i infrastruktury znalazła swój odpowiednik w innej niemożności — sowieckiej. Ta ostatnia ma zgoła odmienne przyczyny. Wynika ona *nie z braku uzdolnień narodów imperium sowieckiego, ale z wadliwej struktury społecznej*. U tych ludów Trzeciego Świata, które nie mogą obejść się bez pomocy obcych, owa niezdolność lub łagodniej mówiąc — nieprzystosowalność do zmodernizowanego pod względem technologiczno-gospodarczym państwa, nawet przy zachowaniu lokalnych tradycji, ma bardziej organiczne i głębsze od wadliwego ustroju źródła. Temat jest drażliwy i niniejszy artykuł nie wymaga analizowania przyczyn. Wystarczy skonstatowanie samej sytuacji, którą zilustrować można znacznie dłuższą listą ekonomicznie zacofanych krajów niż te, które wymieniłem¹. Tak zrodziło się nieutralone żadnym paktem zbliżenie pomiędzy Sowietami a wieloma krajami Trzeciego Świata, które taktownie nazywa się krajami w rozwoju². Można by je nazwać sojuszem nienawiści przeciw rozwiniętym państwom kapitalistycznym Zachodu, Japonii, ale wyrażenie to byłoby nieścisłe z kilku powodów. Ani Afrykanie, ani narody Bliskiego czy Dalekiego Wschodu nie czują żadnego sentymentu do Rosjan, a nawet często wręcz przeciwnie — niechęć zmieszana z pogardą. To, co ich łączy, to negatywny stosunek do krajów zasobnych — tych, w których rozwija się wspaniała technologia i w których

1. Zainteresowanych problematyką „równości wszystkich ludów i ludzi” uprzejmie proszę o zapoznanie się z moimi poglądami, wyłożonymi w artykule: „O amerykańskim neo-egalitaryzmie”, *Kultura* Nr 1/340-2/341 z roku 1976, str. 42-52.

2. Niektóre — jak np. Indie — rzeczywiście się rozwijają. Inne — jak większość krajów niepodległej Afryki — nie tylko nie postępują naprzód, ale pogrążają się w coraz rozpaczliwszej nędzy.

następują przemiany społeczne i fermenty polityczne. Te właśnie narody nazywa się mocarstwami imperialistycznymi, choć wiele z nich żyje już tylko wspomnieniami mocarstwowości i imperializmu. Ale ta właśnie wizja, utkana z sowieckich kłamstw, ma uzasadnić wiarę krajów ubogich, że zasobny Zachód jest przyczyną ich biedy. Przy tym wszystkim jesteśmy tu świadkami osobliwego zjawiska. Wrogi stosunek ZSSR do kapitalistycznego Zachodu nie ma już od dawna żadnego tła emocjonalnego. W żaden sposób nie można uznać, że przywódcy sowieccy nienawidzą zachodnich kapitalistów i ich ustrojów. Nie mają powodu. Zachód jest dla nich tylko przeszkodą do panowania nad światem. Ponadto — obiektem łupu, na którym przy okazji chcą się wzbogacić. Tak samo jak myśliwi, który nastawia sidła na zwierzynę, nie czuje do niej żadnej nienawiści, podobnie kształtuje się ów bezemocjonalny stosunek Sowietów do Zachodu. To tylko propaganda sowiecka, piętnująca imperialistów, stwarza to złudne wrażenie nienawiści. Ale ostatnimi, którzy braliby tę propagandę serio, są przywódcy państwa sowieckiego.

Inaczej wszelako kształtuje się stosunek do Zachodu krajów zacofanych. Kierujące nimi elity są upokorzone swą niemożnością samodzielnego budowania zasobnych państw na wzór i podobieństwo Zachodu. Ponieważ zaś upokorzenie jest zawsze źródłem nienawiści, nawarstwia się ona od lat — od chwili, gdy kraje te uzyskały niepodległość albo, gdy będąc od dawna politycznie niepodległymi (jak np. Iran i Etiopia), starały się wejść na drogę modernizacji. Sowiety czynią wszystko by wykorzystać dla swoich globalnych celów ów zwolna akumulujący się kapitał niechęci, który wśród krajów Trzeciego Świata manifestuje się czasem eksplozją. Oczywiście Kreml zainteresowany jest głównie i przede wszystkim krajami zasobnymi w ropę naftową lub zajmującymi ważne pozycje strategiczne. W schemacie plan sowiecki wygląda dość prosto: „My mamy najnowocześniejszą broń i najpotężniejszą armię. Wy macie surowce potrzebne Zachodowi lub pozycje strategiczne, których zaryglowanie może przerwać ich dostawę. Działając w konercie, bez wywołania światowej zawieruchy, możemy osiągnąć upragniony cel: pognębić Amerykę i jej europejskich sojuszników. Gwarancją skutecznej blokady, zamykającej dopływ nafty, jest istnienie naszej armii i floty zawsze gotowych do odparcia prób militarnego zabezpieczenia źródeł surowców, nawet gdyby Zachód taką ryzykowną inicjatywę podjął, w co należy wątpić”. Tak wygląda w pewnym lapidarnym skrócie plan sowiecki.

Ponieważ w roku 1973 Zachód nie zareagował przy pomocy żadnych drastycznych środków na naftowe embargo, zastosowane przez kraje arabskie — przeciwnie — wszystkie państwa Europy

Zachodniej prócz Holandii, składały deklaracje lojalności wobec arabskich szejków — ów schemat ma w sobie elementy realnego rozeznania sytuacji. Wszelako z punktu widzenia dalekosiężnych celów sowieckich sytuacja nie przedstawia się tak schematycznie prosto z wielu powodów.

To, że Sowiety zabiegają przede wszystkim o względy krajów naftowo bogatych lub tych, które jak Etiopia mają dogodnie położenie strategiczne, stwarza w Trzecim Świecie antagonizm pomiędzy bogatymi jak Algeria, Libia, Emiraty i Arabia Saudyjska a resztą krajów biednych, które nigdy niczego nie miały i niewiele oczekiwać mogą od przyszłości, bez względu na to, kto będzie nad światem dominował. Po drugie, wśród państw arabskich, zarówno tych bogatych jak i niebogatych, ale dysponujących licznymi, choć nie zawsze dobrze bijącymi się armiami, istnieją dwie grupy, które z uwagi na swą strukturę polityczną muszą mieć odmienny stosunek do Zachodu. Nie chodzi tu tylko o to — jak nadmieniał kiedyś minister Arabii Saudyjskiej, sprzeciwiający się kolejnej podwyżce ropy — że „nie możemy zarzynać kury, która znosi nam złote jajka”. Wchodzi tu w rachubę inny czynnik — sytuacja, w której niektóre rządy arabskie zainteresowane są w zachowaniu tradycyjalistycznej struktury feudalnej. Te szukają pomocy w dostawach broni i gwarancji ze strony amerykańskiej. Ile warta jest ta pomoc ukazał przykład Iranu. Niemniej ani Arabia Saudyjska ani połączone Emiraty nie mają innego wyboru. Siły, które zagrażają feudalnej strukturze emiratów i monarchii saudyjskiej, nie mają charakteru populistycznego. Chociaż przepaść między biedakami a bogatymi w tych krajach pogłębiła się wraz z naftowym *prosperity*, ci biedni — choć nie stać ich na kupno pałaców i domów w Europie — żyją sobie już całkiem nieźle. Emirowie i władcy ropodajnych krajów mają po prostu tyle pieniędzy, że utrzymują byłych pasterzy, żyjących niegdyś w nędzy. Przykładem służyć może emirat Abu Dhabi, którego obywatele mają właściwie prawie wszystko za darmo i w praktyce pracują albo bardzo niewiele albo wcale. Pracą najemną trudnią się cudzoziemcy — Hindusi, Japończycy tudzież mieszkańcy biednych krajów Trzeciego Świata. Czynnikiem, rozsadzającym wewnętrzne struktury feudalne, są głównie inteligenci, wychowani przeważnie na obcych — angielskich lub amerykańskich — uniwersytetach. Inteligencja bowiem bogatych krajów Trzeciego Świata nie rozwijała się w sposób naturalny równoległe z potrzebami przemysłu, usług czy handlu, ale produkowana była niejako na wyrost. Tam, gdzie nie została wchłonięta przez biurokrację, stawała się „radikalną”. Nie byle jaką rolę w owym radykalizmie odegrały zachodnioeuropejskie i amerykańskie uniwersytety, do których wysyłani byli przeważnie synowie bogatych

krańców. Gdyby studiowali na uczelniach sowieckich, wracaliby do swych krajów ze znacznie obniżoną temperaturą radykalizmu³.

Jeśli porównać wewnętrzne stosunki tak zwanych radykalnych państw jak Libia, Irak, Algeria i ich „rewolucyjne” rządy z takimi państwami feudalnymi jak Marokko, to nie ma wątpliwości, że poddani króla Hassana mają więcej swobody niż ci, którzy żyją pod rewolucyjną dyktaturą płk. Khadafiego czy w republice algierskiej lub Iraku. Jak dalece tzw. radykalizm arabski nie ma nic wspólnego z kryteriami już nie żadnych tam zachodnio-demokratycznych praw obywatelskich, ale najelementarniej pojętej wolności człowieka, ukaże niebawem światu, pozostająca jeszcze w stanie embrionalnym, republika islamska Iranu. Irańczycy wprawdzie nie są Arabami, ale nowe rządy ogłosiły już pełną solidarność z „radikalnymi” krajami arabskimi. W momencie, gdy piszę te słowa, nikt dokładnie nie wie czym ma być owa „republika islamska”, ponieważ projekt konstytucji nie został podany do wiadomości publicznej. „Referendum” które odbędzie się w Iranie, jest czymś bez precedensu w historii, ponieważ wyborcy mają się wypowiedzieć czy pragną ustroju, o którym wiadomo tylko tyle, że pozostawać ma w zgodzie z zasadami Koranu. Nie ma już żadnych wątpliwości, że ów ponury starzec, grożący odcięciem rąk wszystkim cudzoziemcom i odstępcom od Islamu (którego amerykański przedstawiciel w ONZ — ambasador Andrew Young — kreował na świętego), chce uczynić z wyzwolonego od szacha i SAVAK-u Iranu katorgę, przy której barbarzyńskie rządy Pahlaviego okazać się mogą — w drodze kontrastu — wysoce humanitarnymi. Sądzę, że jedyną szansą ratunku dla tego kraju jest chaos, z którego wyłonić się może reżym o jakimś bardziej ludzkim obliczu.

Słowo „radykalizm” jest chyba najstarszym i najbałamutniejszym wyrażeniem w słownictwie politycznym. Jeśli chodzi o Bli-

3. Jak dalece bezużyteczną okazuje się produkowana „na wyrost” inteligencja ilustruje najlepiej przykład Iranu. Zacytuję tu cyfry podane w artykule Erica Pace z *New York Times*, a z dn. 11 grudnia 1978 r. Nawet, jeśli przyjmie się, że w ciągu lat 1966-1976 na 325,731 studentów irańskich, wysłanych na studia zagraniczne, powróciło do ojczyzny tylko 22.681 czyli 7%, ogólna liczba studiujących w owych latach na wyższych uczelniach (irańskich i zagranicznych) wynosiła do roku 1976 — 705 tysięcy. Po odjęciu owych 325.731 studentów, pozostaje 379.269. Nie znam dyscyplin, które studiowali, ale wydaje mi się, że wśród takiej liczby osób wykształconych powinna się znaleźć wystarczająca liczba inżynierów, technologów, ekonomistów i agronomów dla zbudowania nowoczesnego przemysłu i zmodernizowania rolnictwa Iranu — kraju, liczącego 35 milionów ludności. Jeśli chodzi o Czarną Afrykę, która również kształci studentów za granicą lub na miejscowych uczelniach, to Afrykanie zdecydowanie preferują nauki humanistyczne, faworyzują zwłaszcza tzw. nauki polityczne, czując wyraźną awersję do studiów matematyczno-fizycznych.

ski Wschód, wiemy przynajmniej co ono oznacza. Decydującym kryterium „radykalizmu” jest najzwyczajniej w świecie stosunek do Izraela. To właśnie kryterium jest logiczną konsekwencją wysuniętej przeze mnie tezy o tym, jak dalece świadomość elit rządzących w państwach Trzeciego Świata jest kształtowana własną niewydolnością samodzielnego budowania współczesnych organizmów gospodarczych w porównaniu z Europą Zachodnią. Świadomość własnej niemożności przeszła szczególnie ciężką próbę wraz z powstaniem Izraela, który zmanifestował swoim orientalnym sąsiadom niesłychany dynamizm i zdolności organizacyjne, tworząc nowoczesną zaawansowaną gospodarkę, bez pomocy obcych ekspertów i doradców. I tu wypada przypomnieć prawdę, skądinąd znaną, że Izrael nie jest państwem orientalnym. Jest krajem osiedleńców europejskich lub tych, których rodzice lub dziadkowie przybyli z Europy. Choć judaizm, jest według teokratycznego prawa jedynym kryterium żydostwa — bez względu na to z jakich stron świata wywodzą się imigranci — praktyka uczyliła z Żydów pochodzenia europejskiego warstwę czołową i rządzącą elitę kraju. Z tego powodu nienawiść całego prawie Trzeciego Świata do Izraela jest niczym innym jak nienawiścią do europejskiej enklawy, która w centrum orientalnego świata osiągnęła sukcesy we wszystkich dziedzinach ważnych dla współczesnego państwa. Ponadto — w przeciwieństwie do krajów Zachodu — Izrael zachował ducha obrony, który, w połączeniu z dostarczonym sprzętem amerykańskim, przyczynił się do trzech kolejnych klęsk sprzymierzonych arabskich przeciwników. Był to najcięższy kamień obrazy i najdotkliwszy policzek wymierzony krajom Bliskiego Wschodu. Prawda, że Izrael korzysta z kredytów i pomocy, na straży której czuwa w Ameryce potężne żydowskie *lobby*. Nie miejmy jednak żadnych złudzeń. Nie tylko to jest ważne ile się daje, ale komu się daje. W stosunku do niektórych narodów Trzeciego Świata pomoc finansowa przypomina wypełnianie beczki bez dna. Inne — zarówno te na Zachodzie jak i na Wschodzie — potrafiły znakomicie wykorzystać pomoc i zdystansować swego amerykańskiego ofiarodawcę.

Jeśli Arabowie, deklarujący swój nieprzejednany stosunek do syjonizmu, twierdzą, że nie są antysemitami (ściślej — anty-Żydami jako, że Arabowie są również semitami), to mają najoczywistszą rację. Gdyby jakimś dziwnym zrządzeniem historycznych losów osiedlili się na terenach obecnej Palestyny, tępieni przez Anglików, Irlandczycy i stworzyliby z niej kwitnące państwo, stałoby się obiektem takiej samej nienawiści jakim jest Izrael. Odwrotnie — gdyby na jakimś skrawku, słabo po Drugiej Wojnie Światowej zaludnionych ziem arabskich osiedlili się orientalni, nie pochodzący z Europy, Żydzi (tzw. Jemenici lub „czarni”, na-

zywani z pewną domieszką lekceważenia przez Izraelczyków-europejskich), to na pewno, mimo różnic plemiennych i religijnych, spotkałoby się z tolerancją. Z tego prostego powodu, że nie zdolaliby stworzyć nowoczesnego kraju, wyprzedzającego swych arabskich sąsiadów. W zwierciadle takiego kulawego państwa żaden czysto arabski szejik, król, prezydent czy przewodniczący rady rewolucyjnej nie dostrzeżałby własnych braków i nie doznawałby upokorzenia.

Jak starałem się ukazać przesłanki naturalnego zbliżenia szeregu krajów Trzeciego Świata — a w szczególności państw arabskich z Sowietami — przeciwko Ameryce i zaawansowanym krajom Zachodu, nie ukształtowały się w sposób, który by w pełni dogadzał Kremlovi. Wprawdzie wszystkie rządy i elity państw bliskowschodnich odnoszą się z głęboką niechęcią do Zachodu i starają się go upokorzyć, niemniej uczucia te są hamowane dobrze pojętym interesem zachowania władzy w arabskich państwach feudalnych. Stąd różnica w stosunku do wyłaniających się bliskowschodnich inicjatyw pokojowych, których rzecznikiem stał się w ubiegłym roku Egipt. Drugim niezmiernie ważnym elementem o charakterze globalnym, ale rzutującym na sprawy afrykańskie i Bliskiego Wschodu, stała się normalizacja stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Chińską Republiką Ludową — wreszcie inwazja, a raczej coś w rodzaju ekspedycji karnej Chin przeciwko Wietnamowi. Niestety, istnieje niebezpieczeństwo, że obydwie te niezmiernie ważne wyłomy, krzyżujące plany Kremla, mogą zostać całkowicie zmarnowane. Pierwszy — dzięki krótkowzroczności obecnego rządu Izraela. Drugi — przez amerykańską administrację, wpływowych dziennikarzy i absolutnie nieświadomą tego co się w jej własnym kraju dzieje, amerykańską opinię publiczną.

Za podstawę moich dalszych wywodów muszę przyjąć tezę, iż najważniejszym zadaniem, któremu wszystkie sprawy winny być podporządkowane, jest położenie kresu ekspansji sowieckiej. Może to być dokonane niekoniecznie przez rozsadzenie imperium (choć przynajmniej, że byłaby to najlepsza gwarancja zabezpieczenia świata przed jedynym aktualnie istniejącym imperializmem).

Myślę, że jeśli się ten cel osiągnie, droga do rozwiązania wszystkich kryzysów, trapiących świat i Zachód, zostanie szeroko otwarta. W szczególności zlikwidowany zostanie problem bliskowschodni, grożący nieustannym wybuchem. Równoległe z tym zakończyłyby się bezwstydny szantaż naftowy, rozzuchwalonych pałazim Zachodu, władców arabskich. Inicjatywa Egiptu, wyłamania się z frontu państw arabskich, była dość szeroko omawiana. Wynikała nie tylko z ekonomicznego stanu tego państwa, ale również z tego, że Egipt był tym krajem, który, poza Syrią,

ponosił najcięższe ofiary wojenne w kolejnych starciach z Izraelem. Stał się w istocie instrumentem w rękach organizacji palestyńskich, nie będących w stanie wywalczyć niepodległości własnymi siłami, mimo niemal nieograniczonej pomocy finansowej bogatych krajów arabskich i broni dostarczonej przez ZSSR. Egipt był zmęczony i zdecydował się wyłamać ze zjednoczonego frontu arabskiego. Przyczyniła się do tego walenie ostatnia wojna z 1973 roku, w której Egipt odniósł początkowe sukcesy. Decyzja Sadata postawiła go z miejsca pod presją wszystkich rządów arabskich — zarówno tych feudalnych jak i „radikalnych”. Okazja dokonania wyłomu we froncie antyizraelskim byłaby przede wszystkim ciosem wymierzonym w Sowiety. Tak została oceniona przez rząd Cartera i tak powinna być zrozumiana przez rząd Begin. Dla Izraela najważniejsza powinna być nie kwestia przesunięcia granic czy też obecność oddziałów izraelskich po zachodniej stronie Jordanu, ale zmiana w układzie sił światowych, które nastąpiłyby w wyniku paktu izraelsko-egipskiego. Tak zapewne przyjęłaby te sprawy niezycząca Golda Meir i tak zareagowała na propozycje Sadata znaczna część opinii izraelskiej, pozostającej w opozycji do rządzącej partii Likud. Logika premiera Begin okazała się przerażająca w swym prowincjonalizmie. Zamiast pojąć daleko idące globalne implikacje, wynikające z Paktu, okazało się, że jego głównym celem jest zabezpieczenie biblijnych praw Izraela do Judei i Samarii. W miarę przeciągających się negocjacji, jego stanowisko nabrało cech maniakałnych⁴. Obydwie strony miały szanse uzyskania wzajemnego i nieodwracalnego porozumienia w pierwszych dniach po porozumieniu w Camp David. W toku przewlekania się rokowań i pod wpływem wielorakich presji arabskich usztywniło się stanowisko Sadata. Obecnie, po szoku irańskim, konieczność zabezpieczenia Egiptu jako sojusz-

4. Twierdzenia Begin, że bezpieczeństwo Izraela wymaga obecności garnizonów wojskowych na zachodnim wybrzeżu Jordanu, nie wytrzymuje krytyki. W epoce wyrzutni raketowych i samolotów, mogących przelecieć okupowane tereny w ciągu kilku minut, kwestia odległości od centrum Izraela, mierzona dziesiątkami mil, nie ma już żadnego znaczenia. Służyła jedynie jako strategiczny pretekst dla ucieleśnienia biblijnych tęsknot Begin, których zresztą nigdy dawniej nie ukrywał i nie motywował względami obronnymi. Obecny impas w rokowaniach pomiędzy Beginem a Carterem może być przełamany tylko jakimś nieoczekiwanym krokiem ze strony Sadata. Krążące pogłoski, o zaofiarowaniu Izraelowi przez Amerykę sojuszu obronnego z zainstalowaniem na jego terytorium garnizonów amerykańskich w zamian za przyjęcie propozycji egipskich, nie zasługują na wiarę. Niezależnie od negatywnej reakcji opinii amerykańskiej, propozycje takie byłyby prawdopodobnie nie przyjęte przez Begin. Jego celem jest wprawdzie bezpieczeństwo Izraela, ale z włączonymi w jego granice Samarią i Judeą. Trudno inaczej wytłumaczyć praktykę instalowania coraz nowych osiedli na ziemiach, mających wciąż status terenów okupowanych.

nika Ameryki, stała się sprawą jeszcze bardziej palącą. Z drugiej strony, właśnie wyeliminowanie Ameryki z Iranu, uczyniło pakt egipsko-izraelski znacznie trudniejszym do zrealizowania, ponieważ Sadat ma przeciwko sobie nowego przeciwnika — Persję. Mimo tego wszystkiego za fiasko rokowań egipsko-izraelskich trudno jednak jest winić wyłącznie Begin. Ostatnie tygodnie przyniosły dalsze obniżenie, zredukowanego prawie do zera, prestiżu Ameryki. W obietnicę sekretarza obrony Browna, który zapowiedział obecność militarną USA w wypadku zagrożenia Zatoką perską, nikt nie wierzy, bo nie może wierzyć w świetle kilkuletniej indolencji Ameryki w Afryce i bezradności w obliczu kryzysu irańskiego. W tych warunkach trudno się dziwić, że obydwaj przywódcy bliskowschodni, w szczególności Begin, nie mogą już traktować słów Cartera serio. Ani jego pogrożek ani gwarancji.

Gdyby Stany Zjednoczone były zdrowym psychicznie narodem, zdolnym do zabezpieczenia swych i sojuszniczych interesów przed ekspansją sowiecką, ich naturalnym sojusznikiem byłby na Bliskim Wschodzie Izrael. Ze swej strony Ameryka mogłaby oferować mu wiarygodne gwarancje i chronić arabskich sąsiadów przed ekspansjonistycznymi ambicjami przywódców typu Begin. Na nieszczęście tak nie jest. Pograżająca się w tragicznym paraliżu Ameryka jest właściwie już ruiną tego niegdyś wielkiego narodu. Świadomość tego upadku dotarła już dawno do Nixona i Kissingera. Z tego powodu, jeśli chodzi o Bliski Wschód, zrodziła się słuszna inicjatywa szukania arabskich przyjaciół, zaś w skali ogólnoswiatowej — protokół szanghajski. Ten, po długich latach oczekiwania, przeobraził się w normalizację stosunków między USA i Chinami. Ze zbliżenie to jest właściwie jedyną i ostatnią deską ratunku dla tego kraju i Zachodu, nikt nie odważy się powiedzieć otwarcie. Bo gdyby się odważył, musiałby obwieścić smutną prawdę o samym narodzie amerykańskim. To, że Prezydent i jego pomocnicy są w swych słałościach i chwiejęności całkowitym ucieleśnieniem ogólnonarodowego tchórzostwa i bezwładu, nie zostało nigdy i nigdzie przez nikogo publicznie ujawnione. Dzięki jednak temu, że świadomość ta zwolna dotarła do niektórych trzeźwiejszych ludzi, zbliżenie z Chinami stało się rzeczywistością. Wydaje się jednak, że, ci którzy mają udział we władzy lub wpływ na publiczne środki kształtowania opinii publicznej, wciąż jeszcze wierzą w potęgę amerykańską. Dowodzi tego ich reakcja na normalizację stosunków między Waszyngtonem a Pekinem oraz na inwazję Wietnamu przez ChRL.

Amerykanie potrzebują Chin, ponieważ, dysponując technologią wojny, nie mają ani woli walki ani odwagi. Chiny, które

mają odwagę i siłę moralną przeciwstawienia się imperializmowi sowieckiemu, nie mają ani nowoczesnego arsenału ani zaplecza ekonomicznego. Trudno obliczyć kto kogo bardziej potrzebuje. Wysoko kwalifikowani eksperci mogliby zapewne wymierzyć niedorozwój Chin — następstwo „wielkich skoków”, „kulturalnych rewolucji” i innych szaleńczych pomysłów przewodniczącego Mao — dodając do tego samą z założenia kulawą strukturę systemu komunistycznego. Natomiast nikt nie jest w stanie obliczyć amerykańskiego paraliżu, ponieważ zjawiska te nie mają jednostek miary i nie dadzą się przedstawić w cyfrach. Ci Amerykanie, którzy przy okazji normalizacji stosunków między Chinami a USA zarzucają Carterowi, że nie wykorzystał swoich „atutów” wobec ChRL i że to nie Ameryka „wygrywa chińską kartę” przeciw Sowietaom — ale odwrotnie — Chiny — amerykańską, wydają się żyć nadal w świecie złudzeń. Nie przyjmują nawet tego, że Sowiety, które mogłyby bez większego ryzyka wysłać kilka dywizji (bez angażowania się w wojnę) do dowolnego zakątka na świecie, mogą sobie pozwolić na luksus oszczędzania własnych sił, posługując się Kubańczykami lub Wietnamczykami. Tymczasem Amerykanie, którzy w rzeczywistości nie dysponują żadną armią (bo cóż to za armia, która nie może wojować?), nie mają swoich „kubańczyków”. Mają tylko nowoczesną broń, którą gotowi są sprzedawać na kredyt lub za gotówkę swym przerażonym do ostatnich granic klientom i sojusznikom.

Ale wysyłanie nowych samolotów czy wyrzutni raketowych, które po klęsce irańskiej Ameryka obiecała Arabii Saudyjskiej i Północnemu Jemenowi (zaatakowanemu już przez swego południowego sąsiada) przypomina wozy strażackie wysyłane do pożaru bez załogi. Jeśli niektóre tzw. prozachodnie kraje arabskie pójdą śladem Iranu, to oczywiście nie wiadomo kto na kogo będzie z owych samolotów zrzucał bomby i przeciwko komu kierowane będą wyrzutnie raketowe. Dlatego właśnie zbliżenie chińsko-amerykańskie, któremu daleko jeszcze do aliansu, ale które powinno przyjąć formy przymierza obronnego, jest ostatnią amerykańską szansą.

Tymczasem wielu dziennikarzy i polityków okazuje niezadowolony z owego zbliżenia. Płyne ono z dwóch stron — ultra-konserwatystów i liberałów. Zarzucają oni administracji, że normalizując stosunki z Chinami, USA zdradziły Tajwan. Oczywiście Tajwan został zdradzony. Ale czy stało się to w wyniku zbliżenia chińsko-amerykańskiego? Krytycy Cartera powiadają, że gdyby Chinom przyszła ochota zaatakować Tajwan, to któż stanie w jego obronie? Nikt. Ale tak samo nikt by nie stanął w obronie Tajwanu, gdyby Stany nie unormowały stosunków z Chinami. Nie spotkałem się z głosem żadnego z amerykańskich

krytyków Cartera, który odważyłby się powiedzieć publiczności: „Nie oszukujmy się drodzy Państwo! Żaden Prezydent, ani żaden Kongres nie ośmieliłby się wysłać wojsk amerykańskich na Daleki Wschód w obronie antykomunistycznego rządu, bo zaprotestowalibyście wy pierwsi — przerażeni ryzykiem konfrontacji i widmem nowego Wietnamu”. Jedyńm więc grzechem Cartera w owej zdradzie Tajwanu było jej zalegalizowanie, bo zdrada dokonana się w duszach amerykańskich już dawno. Żądanie wysuwane przez niektórych amerykańskich konserwatystów i liberałów, by Chiny przyjęły formalne zobowiązanie niezaatakowania Tajwanu, zakrawają wręcz na bezczelność, jeśli się zważy, że ci sami politycy nie protestują przeciw oczywistej klauzuli (bez której nie byłoby żadnej normalizacji), uznającej Tajwan za integralną część Chin. Za tymi żądaniami kryje się zresztą coś więcej: Pragnienie zdobycia chińskiego sojusznika bez kosztów własnych i bez odium zdrady, które, niestety, musi ponieść każdy naród niezdolny do tego, by mając po temu środki materialne, obronić się sam lub obronić swych sojuszników. Krytyka zbliżenia chińsko-amerykańskiego ze strony zarówno niektórych ultra-konserwatystów jak i liberałów, ma oczywiście odmienne przyczyny. Stanowisko senatora Goldwata i jemu podobnych wychodzi z błędnych założeń, którym hołdował niegdyś John Foster Dulles, sekretarz stanu Eisenhowera. Według niego i Goldwata — którego najwidoczniej niewiele nauczyły dzieje ostatniego dwudziestolecia — komunizm jest zjawiskiem jednolitym. Zgodnie z tym należy mu się przeciwstawić bezkompromisowo we wszystkich jego formach. Wygrywanie jednego komunizmu przeciw drugiemu — rozsądny nakaz elementarnej strategii — jest w jego przekonaniu błędem i szkodliwym kompromisem. Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że wielu publicystów antysowieckich zajmowało i zajmuje podobne stanowisko wobec eurokomunizmu. Ci chcieli problem Sowietaów i rozmaitych ruchów komunistycznych na świecie załatwić totalnie i hurtowo.

Krytyka liberałów wychodzi oczywiście z przesłanek skompromitowanego *Détente* — czyli podstawowej przesłanki niedrażnienia Sowietaów. Ci zaakceptowaliby Chiny jako sojusznika pod warunkiem, że kraj ten zająłby bardziej kompromisowe i elastyczne stanowisko wobec globalnych ambicji Sowietaów.

Oczywiście, Chiny ze swym olbrzymim potencjałem ludności, które, podobnie jak Ameryka chowałyby głowę w piasek w obliczu sowieckiej ekspansji — nie przedstawiałyby żadnej wartości jako sojusznik USA. Gdybyśmy pomnożyli całą Amerykę z jej technologią, siłami zbrojnymi, bogactwem i ludnością dwu lub trzykrotnie, nie stanowiłaby ona większej groźby dla Sowietaów niż obecnie. Materialna potęga, nieożywiona wołą walki, jest

tylko obiektem rosnących apetytów cierpliwych kremlowskich konkwistadorów. Na szczęście Chiny takim narodem nie są. Wskazuje na to trwająca już kilka tygodni (w momencie gdy piszę te słowa) inwazja Wietnamu, którą Chińczycy nazwali „ekspedycją karną”. Podjęli ją w odwet za okupację Kambodży, dokonaną przez Wietnamczyków, których wicepremier Deng Ksiao-ping słusznie nazwał „Kubańczykami Południowo-Wschodniej Azji”. Rząd ChRL uzasadnił inwazję Wietnamu potrzebą udzielenia „lekcji” temu dynamicznemu klientowi Sowietów. Ponieważ Chiny z góry oświadczyły, że nie zamierzają zajmować na stałe nawet skrawka Wietnamu i po zakończeniu operacji wycofają się na swoje terytorium, pozostaje pytanie jaki będzie polityczny efekt tej ekspedycji. Jeśli po zajęciu 5 prowincjonalnych stolic na terytorium Wietnamu, niesięgającym nigdzie głębiej niż 50 km., armia chińska się wycofa — Hanoi ogłosi to jako wielkie zwycięstwo sił rewolucyjnych Wietnamu. Ze swej strony Moskwa zaczyna twierdzić, że Chiny zmuszone były do opuszczenia Wietnamu przede wszystkim na skutek ostrzeżeń ZSSR. Istota sprawy polega na tym, że ChRL rozpoczęła inwazję swego sąsiada nie tylko po to, żeby mu udzielić nauczki i zahamować jego ekspansję ale także i Stanom Zjednoczonym. Im właśnie chciała pokazać, że można i należy karać klientów i sojuszników Moskwy, którzy stają się instrumentem jej globalnych apetytów. Co więcej — że Moskwa, poza groźbami i krokami mobilizacyjnymi, wcale nie była skłonna do militarnej konfrontacji mimo swej potężnej armii i floty. Nie twierdzą, że inwazja Wietnamu nie zawierała ryzyka. Zawierała — ale celem inicjatywy chińskiej było pouczenie Ameryki, że jedyną zdrową reakcją na powtarzające się akty agresji sowieckiej *per procuram* (Kubańczycy) lub przez montowanie przewrotów (Afganistan), są kroki militarne.

Ameryka pogrążyła się w swym bezwładzie i panicznym strachu przed konfrontacją zbyt głęboko, żeby „lekcja wietnamska” mogła dokonać przełomu. Myślę jednak, że nie pozostanie ona bez śladu, choć pierwszą reakcją na „chińską ekspedycję karną” był nieukrywany przestrach większości polityków i dziennikarzy. Jak zareaguje Rosja? Czy nie zostaniemy oskarżeni przez Sowiety, że działamy w zмовie z Chinami — brzmiały trwożliwe pytania komentatorów TV. Prezydent Carter, który na początku zaproponował dość śmiałą rezolucję w ONZ (domagającą się wycofania wojsk z Wietnamu i Kambodży oraz wycofania chińskich oddziałów z Wietnamu), wkrótce popadł w panikę, po czym ogólny przestrach ostygł nieco mimo mobilizacji sowieckiej na granicy mongolskiej i rozmaitych szeroko reklamowanych posunięć, mających świadczyć o tym, że Wielki Brat traci cierpliwość. Ale Wielki Brat nie stracił cierpliwości i jej nie straci. I wie dla-

czego. Bo choć militarnie potężny, czuje się bardzo niepewnie, nie tylko wobec zniewolonych narodów, ale wobec własnych braci Rosjan. Moskwa pragnie dominowania na świecie, ale nie kosztem katastrofy nuklearnej. Kreml chce sprawować rządy nad narodami, a nie nad radioaktywnym cementarzem. Na równi ze Stanami Zjednoczonymi lęka się militarnej globalnej konfrontacji. Tylko, że Amerykanie o tym nie wiedzą. Może zbliży ich do tej prawdy „zdumiewająca cierpliwość” jaką okazała Moskwa wobec ryzykownej imprezy chińskiej.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 4 marca 1979 r.

Wystąpienie Andrzeja Korbońskiego w Senacie Amerykańskim

Od dawna jesteśmy przyzwyczajeni do wystąpień amerykańskich odpisujących na straty Europę Wschodnią — począwszy od głośnego wystąpienia Sonnenfeldta.

Od dawna jesteśmy przyzwyczajeni do polityki amerykańskiej, która robi maksymalne wysiłki aby zachować pojałtańskie *status quo* podtrzymując zbankrutowany reżym PRL pożyczkami i kredytami, które nie tylko nie podnoszą stopy życiowej społeczeństwa ale obciążają przyszłe pokolenia ogromnym ciężarem. Widzimy jak rząd amerykański systematycznie ogranicza działalność radiostacji Wolna Europa i Swoboda wprowadzając coraz bardziej totalną cenzurę. Nowością jest tylko to, że zaczyna się to robić rękami Polaków.

Prof. Andrzej Korboński, który wystąpił ostatnio w Komitecie Senatu amerykańskiego (poniżej podajemy w dosłownym tłumaczeniu zakończenie tego wystąpienia) urodził się w roku 1927 w Poznaniu, brał udział w Powstaniu Warszawskim, po wojnie studiował na POLISH UNIVERSITY COLLEGE w Londynie gdzie w r. 1950 otrzymał pierwszy stopień naukowy. Po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych początkowo pracował na Columbia University a później na uniwersytecie kalifornijskim jako *specjalista od rolnictwa w Polsce i w Europie Wschodniej*. W międzyczasie zajmował ekspozowane stanowisko w Fundacji Forda i był członkiem delegacji amerykańskiej na Konferencji w Belgradzie, będącej przedłużeniem Helsinek.

Oto zakończenie tekstu profesora Andrzeja Korbońskiego w ramach *Perceptions: Relations Between the United States and the Soviet Union* (Committee on Foreign Relations United States Senate):

„Ostatnim pytaniem, którym należy się tu zająć, jest jak polityka Stanów Zjednoczonych może popierać udaną liberalizację we Wschodniej Europie. Odpowiedź na nie nie jest łatwa i, w samej rzeczy, zanim się w nią wniknie,

można zapytać czy chodzi o właściwe pytanie. Może, zamiast niego, wypadałoby zapytać czy celem polityki Stanów Zjednoczonych powinno być popieranie liberalizacji w tym rejonie. Jak dotąd, dowody prowadzą do odpowiedzi negatywnej, gdyż amerykańskie doświadczenia pod tym względem były raczej ponure, i nie widać oznak jakiegokolwiek większej zmiany.

„Jest to przede wszystkim odbiciem faktu, że Wschodnia Europa nie była nigdy poważniejszym, politycznym czy gospodarczym, przedmiotem interesów Stanów Zjednoczonych; i że amerykańskie poparcie dla liberalizacji w tym rejonie może nie leżeć w naszym narodowym interesie. Jakakolwiek udana liberalizacja naruszyłaby w ostateczności *status quo* we Wschodniej Europie, dostarczając tym samym wymówki dla sowieckiej interwencji wojskowej. Gdyby Stany Zjednoczone były głęboko i szczerze zaangażowane w popieranie liberalizacji w tym rejonie, musiałyby zareagować na taką interwencję; co, z kolei, mogłoby doprowadzić do militarnej konfrontacji dwóch mocarstw. Czy takie zaangażowanie spotkałoby się z przytłaczającym poparciem narodu amerykańskiego, jest rzeczą trudną do powiedzenia chociaż wątpliwą.

„Innymi słowy, jeżeli i dopóki Waszyngton nie jest przygotowany by dać się wciągnąć aż do gorzkiego końca w proces wschodnioeuropejskiej liberalizacji, byłoby ze strony Stanów Zjednoczonych mądrzejsze nie mieszać się do niego. W obecnej chwili, w następstwie powojennego przejęcia władzy przez komunistów, bankructwa „doktryny wyzwolenia” oraz zachodniej bezczynności podczas kryzysów liberalizacyjnych na Węgrzech i w Czechosłowacji, nikt we Wschodniej Europie nie liczy na pełne amerykańskie poparcie, a wszelka pomoc połowiczna może tylko pobudzić fałszywe nadzieje i oczekiwania i pogorszyć sprawę. Ostatnim tego rodzaju przypadkiem jest kampania w obronie „praw człowieka” administracji Cartera, która nigdy nie odbiła się od ziemi i umarła sromotną śmiercią ku zadowoleniu reżymów wschodnioeuropejskich.

„By zakonkludować, receptą dla kształtujących politykę amerykańską jest zasadniczo zachowanie *status quo* we Wschodniej Europie, co najmniej na najbliższą przyszłość. Ponieważ działamy w świecie, w którym percepcje i błędne percepcje odgrywają kluczową rolę, szczególnie w dziedzinie stosunków międzynarodowych, ważne jest by nasza wola niedopuszczenia do drastycznej zmiany bez kompensaty w równowadze sił w tym rejonie była jako taka odebrana przez Moskwę. Skoro w obecnej chwili jedyna wyobrażalna zmiana w regionalnej konstelacji wydaje się dotyczyć Jugosławii, Stany Zjednoczone winny prawdopodobnie dać do zrozumienia Kremlowi że nie będą łaskawym okiem spoglądać na jakakolwiek interwencję sowiecką w tym kraju w ramach możliwego kryzysu sukcesyjnego po śmierci Tity. Podobne ostrzeżenie może być powtórzone odnośnie Rumunii.

Dobrym argumentem może być to, że zainteresowanie Stanów Zjednoczonych w utrwaleniu *status quo* w tym rejonie zbiegłoby się z sowiecką troską o zachowanie politycznej stabilności na własnym podwórku dla uniknięcia powtórki Czechosłowacji. Z tego względu jest możliwe, że Sowiety zdecydują się dać swoim młodszyim sojusznikom dodatkowe pole manewru, oraz przyznać im większą autonomię w polityce zagranicznej i wewnętrznej dla pewnego, skromnego choćby, rozładowania niezadowolonych ludności. A jeśli tak, to zgodność interesów amerykańskich i sowieckich może spowodować, że Wschodnia Europa przestanie być poważnym obszarem konfliktu i konfrontacji między dwoma mocarstwami”.

Kraj

Wolność w obozie

Wyobraźmy sobie, że w ciągu najbliższego roku lub dwóch wykształca się układ międzynarodowy, na który od lat czekamy. Rosja ma związane ręce na Wschodzie w konflikcie z Chinami, Zachód nie daje się sfinlandyzować i nie podpisuje paktu o nieagresji, Niemcy — w zamian za szansę na zjednoczenie — gotowe są prowadzić twardą *Ostpolitik*. Lęk przed nową Wiosną Ludów skłania Rosję do zgody na stopniowe usamodzielnianie się krajów satelickich: Polski, Czechosłowacji i Węgier, których narody żądają niezawisłości równoległe z Ukrainą, Litwą i Białorusią. Niezależnie od tego jak oceniamy realność takiego układu sił w najbliższej przyszłości nikt trzeźwo myślący *nie może go już dziś wykluczyć*. Trzy elementy porządku jałtańskiego, dotychczas bardzo trwałe, doznały ewolucji. Po pierwsze: układ dwubiegunowy USA - Sowiety zmienił się w pięciokąt: USA - Chiny - Japonia - Europa Zachodnia - Sowiety. Po drugie: nastąpiła konfrontacja zbrojna Chiny - ZSSR, której ani w Kambodży, ani w Wietnamie nie można sprowadzić do ram incydentów granicznych. Po trzecie: ruchy narodowe, opozycyjne, religijne i dysydenckie wewnątrz imperium sowieckiego nie słabną, a wręcz przeciwnie — stają się coraz silniejsze.

Nowa sytuacja nakłada na polski ruch niepodległościowy pilne zadanie wypracowania własnej polityki globalnej. Z tym wiąże się konieczność określenia taktyki politycznej w okresie przechodzenia od celów doraźnych do ostatecznych: suwerenności narodowej i społecznej.

Moment upadku reżymów totalitarnych, który mogliśmy w ostatnich latach obserwować w Hiszpanii, Portugalii i w Iranie wykazuje szereg podobieństw w stosunku do klasycznych wzorów rewolucji. W pierwszym etapie konfrontacji ze społeczeń-

stwem okazuje się, że władza nie może już zdobyć się na terror i musi iść na ustępstwa. Każde ustępstwo podkopuje jej autorytet już nie tylko w oczach przeciwników, ale i zwolenników. Grupa rządząca jest coraz bardziej zdezorientowana i osłabiona sprzecznymi tendencjami: liberalizować system czy prześladować jego przeciwników. Ponieważ nacisk społeczny rośnie, władza rozważać musi coraz wyższą stawkę reform lub represji. W drugim etapie społeczeństwo zaczyna się organizować i stopniowo przejmować kontrolę nad samym sobą. Następuje neutralizacja filarów reżymu: donosicieli i policji politycznej oraz wojska. Trzecią fazą rewolucji jest sparaliżowanie kraju przez strajk powszechny, który przenosi władzę z gabinetów na ulicę. Jeśli opozycja rzeczywiście rzadzi ulicą, zaczyna wkrótce potem rządzić krajem. Warunkiem możliwie bezkrwawego przejścia od władzy totalitarnej do demokratycznej jest, by kontrola, którą traci władza była natychmiast przejmowana przez społeczeństwo. By władza w żadnym momencie nie leżała na ulicy, by niemożliwy był prawicowy czy lewicowy zamach stanu.

Świadomość tego globalnego kontekstu działań niepodległościowych jest w Polsce, jak się zdaje, nadal niewielka.

W programach politycznych formułowanych przez naszą opozycję najbardziej niejasny jest właśnie moment przejścia od celów doraźnych do ostatecznych. Zrozumiałe, że nie sposób tego przejścia precyzować w czasie jako ewolucji konkretnych form organizacyjnych. Każdy żywy ruch polityczny określa swój rozwój idąc, i od tego paradoksu nie ma ucieczki. Podobne zastrzeżenia nie umniejszają jednak wagi zagadnienia. Omijanie problematyki zawartej między celami maksymalnymi: niepodległością i demokracją, a celami minimalnymi: obroną konkretnych ludzi lub spraw, ma określone ujemne konsekwencje. Powoduje, że rzeczywiste uwikłania naszego życia społecznego i możliwości ich kontrolowania stają się powoli ziemią niczyją. Władza ignoruje je, bo rządzi ponad społeczeństwem. Opozycja na ogół je pomija, bo walczy o inne społeczeństwo i kładzie nacisk na ukazanie zewnętrzności i obcości „nowej rzeczywistości” w stosunku do tej, której ono chce. To z kolei powoduje intencjonalne interpretowanie każdego faktu w myśl przeciwstawienia: teraźniejszość — przyszłość, co pośrednio wpływa także na zanik wiedzy o samym społeczeństwie. Każde bowiem zjawisko naszego życia zaczyna być traktowane jako chorobliwa cecha ustroju. Opozycja przestaje widzieć społeczeństwo takim, jakim ono jest, a zaczyna ono w jej opisach występować *in statu nascendi*.

Przestróg przed takim samoograniczaniem ruchu opozycyjnego zgłaszać można by wiele. Wymieńmy dla przykładu naszych obecnych przeciwników. Komuniści w opozycji (zarówno legal-

nej jak i nielegalnej) nie mieli i nie mają nic do zaproponowania prócz konkretnych rewindykacji społecznych lub wizji szczęśliwej przyszłości. Polemika jaką prowadzimy dziś z komunistami u władzy wprowadza nas w błędne koła ich własnej doktryny. Brzmi to groteskowo w państwie, w którym przyszło nam żyć: nie mogąc prowadzić dialogu z władzą, zaczynamy w naszych monologach totalizować jej wpływ na rzeczywistość. Tymczasem samo tradycyjne przeciwstawienie: społeczeństwo — władza, choć wygodne w walce, mało jest jednak użyteczne jako schemat odczytywania naszej codzienności. Wydaje się, że po to, by określić pośrednie cele opozycji, trzeba podjąć próbę interpretacji polskiej rzeczywistości już nie tylko jako sowieckiej okupacji i ustroju totalitarnego. Każda z tych definicji, w istocie jak najbardziej prawdziwa, zakłada jednak bardzo abstrakcyjny podział na okupujących i okupowanych oraz manipulujących i manipulowanych, podczas gdy na co dzień podział ten przebiega już nie między ludźmi a w ludziach. Żyjąc czterdzieści lat pod okupacją i ponad trzydzieści w totalitarnym ustroju wytworzyliśmy jako społeczeństwo cały zespół odruchów, który pozwala nam żyć na niby i żyć naprawdę jednocześnie. Symbioza fikcji z rzeczywistością dała pewną nową jakość, której nie można nie dostrzegać. Jest ona nie tylko istotnym elementem teraźniejszości ale i przyszłości.

Próba opisu, którą chciałbym tu podjąć nawiązuje do żywej w ostatnich latach konfrontacji poglądów na temat społeczeństwa sowieckiego. Sołżenicyn uznał — jak wiadomo — komunizm za „błonę podłości”, która zarosła rewolucyjne rany, zdrowego z natury, narodu rosyjskiego. Przeciwstawił się temu Zinowiew pokazując, że twarz społeczeństwa sowieckiego wrosła w gogolowską, spotworniała w bolszewizm, maskę i trudno już często powiedzieć, gdzie jest twarz a gdzie maska. Polska — dzięki wieloletniemu treningowi zaborów i okupacji — funkcjonuje na zasadzie podwójności życia społecznego: u nas wiadomo gdzie jest twarz a gdzie maska, ale obie używane są na co dzień zależnie od sytuacji. Ta podwójność obejmuje wszystkie warstwy społeczne, sięgając najwyższych regionów władzy. Polaków charakteryzuje dystans zarówno do roli rządzącego jak i rządzonego. Ten fakt pozwala np. Gierkowi mrugać — często z dobrym skutkiem — do społeczeństwa: „Wiecie przecież, że nic nie mogę zrobić: z jednej strony Jaroszewicz, aparat i bezpieczeństwo, a z drugiej ruskie czołgi!”. Trudno jest powiedzieć na ile ta polska podwójność jest domeną manipulacji władzy (według zasad przykręcania śruby i odkręcania wentyli), a na ile faktycznym czynnikiem liberalizacji. Napawa satysfakcją nasza niechęć do doktrynerstwa, która skłoniła Gomułkę do całkowitej rezygnacji z kolektywizacji. Ale trudno nie czuć goryczy

na myśl, że ten sam Gomułka, wyposażony w nasz kredyt zaufania w zamian za ochronę przed sowiecką inwazją, zrobił dla nas — właśnie dlatego — mniej niż Kadar, który wjechał do swego kraju na sowieckim czołgu.

Podwójne życie tworzy podwójną moralność.

„[...] Zadawnioną cechą moralności Polaków — czytamy w tekście PPN z grudnia 1977 roku — jest współistnienie dwóch zupełnie odrębnych i pozornie sprzecznych ze sobą systemów wartości: jeden z nich odnosi się do praktycznych spraw codzienności i tu nasze morale narodowe wydaje się być poniżej przeciętnej cywilizowanych społeczeństw. [...] Z drugiej strony zespół pojęć i postaw, związanych z problematyką narodowej niepodległości i zasadami międzynarodowego współżycia odznacza się wysokim stopniem idealizmu i [...] mobilizuje znaczne zasoby ofiarności, bezinteresowności i odwagi”. Podkreślona przez autorów nasza dwoistość w dodatku dwoiście funkcjonuje i temu właśnie zawdzięcza swoją popularność i żywotność. Fakt, że pierwsze powieści wydrukowane nielegalnie na państwowych maszynach w parotysięcznych nakładach nosiły tytuł „Kompleks polski” i „Nierzeczywistość” może być tego symbolem. Bowiemy w ciągu ostatniego czterdziestolecia można było wyjątkowo często być uczciwie nieuczciwym i nieuczciwie uczciwym, zależnie od tego którą stronę naszego paradoksalnego charakteru społecznego i w jakiej sytuacji poświęcało się dla drugiej jego strony. Synteza naszej specyficznej uczciwości z rozsądkiem narodowym jest ostoją wolności w niewoli, w której żyjemy. Bo niewola ta jest też czymś bardzo specyficznym. Nie jest zaborami — mamy formalną suwerenność polityczną, której zaborcy nam odmawiali, nie mamy natomiast suwerenności gospodarczo-społecznej, samorządowej, którą wówczas mieliśmy. Niewola nasza nie jest okupacją, bo na co dzień jako takiej jej nie odczuwamy, rządzeni jesteśmy przez pełniących kolejno obowiązki Polaków: Bieruta, Gomułkę, Gierkę; mamy więc suwerenność à la Vichy, tyle że obejmującą cały kraj. Niewola to nie jest już totalizmem, bo nie ma w niej równowagi strachu i terroru, a więc możliwości totalnej kontroli. Niewola ta nie jest też kolonializmem, bo wiemy że rosyjska metropolia, choć suwerenna, jest biedniejsza i bardziej poniżona od nas. Czym więc jest nasz dzień powszedni? Jest życiem w obozie. Komunistycznym koncentracyjnym obozie pracy. (Wszak wyzwolenie pracy i koncentracja produkcji były jednymi z głównych manii prześladowczych komunistów). Łagier ten jest już stary. Starzy są więźniowie i starzy ich strażnicy. Więcej w nim biedy niż śmierci, więcej krzyku niż bicia. Jedni grają już do drugich, bo czują że zachwiał się fundament. Choć łagier rozrasta się o nowe zony, choć rzuca już cień na

cały wolny świat, przestał być jednolitym koszmarem. Nie ma już jednego regulaminu i jednego komendanta, a zony biją się między sobą o to którądy prowadzić druty.

Nie wiadomo ile to jeszcze potrwa. W obozie czas ma inną miarę. Terror zorganizowany zamienił się w bandycki. Tu strażnicy pobijają samotnego więźnia. Tam podpała obozowy sklepik lub kasę. Ale to już nie to. Strażnicy stracili pewność siebie, więźniowie przestali się bać. Obóz żyje jeszcze z dnia na dzień, ale pozbawiony złudzeń. Nikt nie wierzy w naprawienie go od wewnątrz. Każdy wie, że można być jeszcze znośnym brygadziwą lub blokowym, ale nie dobrym strażnikiem lub komendantem zony. Zaczęliśmy myśleć już o przyszłości. O tym, że w dniu wolności nie znikną donosiciele, betonowe bloki, obozowe szpitale. Stopniowo pozbywamy się też ostatniego i najbardziej niebezpiecznego złudzenia: że ktoś wyzwoli nasz obóz. Powoli wstępuje w nas hardość starych więźniów. To nasza zona: żeby kiedykolwiek naprawdę być w niej wolnym musimy już dziś znać i kontrolować ten „inny świat”. Obóz wyzwolić się musi sam.



Jak wyglądały sowieckie i hitlerowskie obozy koncentracyjne, widziane oczyma starych więźniów? Otóż dostrzegali oni swoisty mechanizm samoadaptacji społeczności obozowej: strażników, funkcyjnych i więźniów, który tworzył to, co nazywamy dziś „normalką”. Jakby nie brzmiało to okrutnie, każdy z doświadczonych więźniów Oświęcimia wiedział, że gra tylko pewną rolę i każda z ról daje mu określone pole manewru i przeżycia. Miał świadomość, że druga strona: personel obozowy ma też dosyć wąskie pole manewru. Można było oceniać to, że ktoś wolał być esesmannem w obozie a nie iść na front; że ktoś wolał być kapo niż dźwigać kamienie, że ktoś zdecydował się walczyć o życie dekując się a nie być uczciwym więźniem, którego praca zmieni wkrótce w muzułmana. Moment faktycznej decyzji jednostka miała tylko w tym jednym momencie. Cała reszta jej postępowania, ile by nie było w nim zbrodni, okrucieństw i obojętności czy szlachetności, miłosierdzia czy pomocy, była wynikiem tej pierwotnej decyzji, musiała się mieścić w ramach przyjętej roli. Dalej obowiązywał już wszechwładny mechanizm gry, w której można było być dobrym lub złym esesmannem, dobrym lub złym kapo, dobrym lub złym więźniem. Z punktu widzenia człowieka wolnego nie sposób osądzić radości więźnia, który dostał do zrobienia napis *Arbeit macht frei*, co chroniło go pewien czas od ciężkiej pracy. Podobnie z zewnątrz nie sposób ocenić ner-

wicy komendanta Oświęcimia, Hessa, której przebycie stwierdzili u niego lekarze, badający go w polskim więzieniu. Pod koniec wojny Hess nie wytrzymał już napięcia związanego z tym, że... nie dążył zagazować i palić takiej ilości Żydów, jaką nakazał mu mordować Himmler. Stress jego wywołany był niewykonaniem planu! Wiadomo, że podobne dramaty przeżywali enkawudyści, gdy nie wykonywali planów aresztowań „wrogów ludu”. I ubowcy, gdy torturowane ofiary nie przyznawały się do fabrykowanych win. Więźniowie i strażnicy obozu, by żyć muszą akceptować obóz, przynajmniej jako układ ról. Układ ten jest logiczny, choć z zewnątrz wydaje się absurdem. Dlatego *universum* łagru z trudem rysuje się przed oczyma ludzi wolnych. Ci, którzy przeżyli niezłamani jego otchłan moralną i wycieńczającą pracę rzadko odważyli się powiedzieć podstawową o nim prawdę: obóz był życiem na niby, tylko cierpienie i śmierć były w nim czymś serio. W „Kamiennym świecie” Borowskiego zarówno kaci jak i ich ofiary miały to poczucie; strażnicy, gdy myli się po brudnej robocie i wracali do swoich domów i dziewczyn; więźniowie, gdy otrzymywali bilet do obozowego burdelu lub starali się dostać na „kanadę”. Na „kanadzie” następował rozładunek wagonów z Żydami i Cyganami, którzy szli prosto do gazu. Strażnicy widzieli w nich tylko złoto, więźniowie — tylko jedzenie schowane na czarną godzinę. Zabierali więc to, co i tak nie mogło się przydać ich ofiarom. Był to integralny świat ról, każdej roli przypisany był mniejszy lub większy potencjał zbrodni, same role pozbawione były punktu odniesienia do normalnego świata.

Kielar, więzień Oświęcimia z numerem 290, przekazał nam w swoich wspomnieniach „Anus mundi” („Odbytnica świata”) obraz łagru starych więźniów. Jakże bliskie nam jest *credo*: nie wychylać się! Kielar jako doświadczony oświęcimiak miał możliwość „awansu”. Unikał jednak jak ognia jakichkolwiek funkcji, które wiązałyby się z odpowiedzialnością. (Czytaj: biciem podwładnych i razami przełożonych). Część stażu obozowego przebył w funkcji pisarza (*Schreibera*) najniższej możliwej pozwalającej wykręcić się od pracy fizycznej. Kielar ujawnił kilka faktów, na tle naszej potocznej wiedzy o koszmarze Oświęcimia, zupełnie rewelacyjnych. Stwierdził na przykład, że po dwóch latach był już właściwie... bezpieczny; między esesmannami panowała niepisana umowa nie bicia starych więźniów. Przymykano oczy na ich obijanie się, oszczędzano przy selekcji. Walnie pomagały przy tym znajomości — „plecy” i „chody”. Oświęcim Kielara nie jest czarno-biały, jest szary. Kielar pokazuje na przykład także „dobrych esesmannów”. Jeden z nich udawał, że go rewiduje przed pójściem do karceru, a przecież bez trudu mógł znaleźć pod wię-

ziennym pasiakiem trzy swetry i... książkę. Autor „Anus mundi” spędzał noc w karcerze, czytając przy świeczce. Między więźniami a esesmannami odbywały się nielegalne transakcje handlowe, słowem w ramach swej instytucjonalnej nienormalności obóz był coraz bardziej normalny. Pewnego razu starzy więźniowie dla uczczenia rocznicy przyjazdu do obozu zorganizowali całonocny bankiet w jednym z pustych baraków. Był francuski koniak, sardynki na przystawkę, cytrusy na deser. Wszystko to z „kanady”, która przyjmowała codziennie tysiące Żydów z likwidowanych gett. Oświęcimskie niebo było czarne od tłustego dymu z pracujących dzień i noc krematoriów. Uczestnicy libacji realizowali w najbardziej potwornych okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić odwrotność szekspirowskiej maksymy: „Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś”. Wiedzieli, że zmęczeni rabunkiem złota, pijani esesmanni mają inne zmartwienia niż bankiet starych więźniów.

Z hitlerowskich obozów koncentracyjnych można było jednak uciekać, przede wszystkim było dokąd uciekać. O wiele bliższe naszemu drugiego życia są więc sowieckie łagry. W napisanym w 1954 roku na zesłaniu dramacie „Oleń i szafaszowka” o podtytule „Republika pracy” Sołżenicyn pokazał drobiazgowy system korupcji i kłamstwa, który w nich obowiązywał. Oszukiwali wszyscy: od robotnika do komendanta łagru. Łagier był tylko spotwornieniem sowieckiej *normalki*, tym bardziej więc warto się zatrzymać chwilę nad systemem akcji i przeciwwakcji społecznych, które spontanicznie w nim się rozwinęły. O ile w więzieniu sowieckim obowiązywały zasady komunizmu: każdy pracuje ile może, a dostaje, ile mu potrzeba, tzn. niezależnie od wyników śledztwa każdy dostaje tyle, by nie umarł z głodu — w łagrze jest inaczej, „Republika pracy” opiera się na zasadach socjalizmu: jaka praca taka płaca. By więzień np. wyrąbał jak największe drzewa w lesie ustala się normy ilościowe, którym odpowiada pierwszy, drugi i trzeci kocioł. Im mniej drzewa, tym mniej sałamaczy. Oczywiście system ten jest czystą abstrakcją, choć wykańcza najmniej zaradnych czy najstarszych zupełnie konkretnie. Śmierć z wycieńczenia jest zbyt bliska, by więzień mógł uwierzyć w rzetelność planistów: wie, że jeśli nawet uczciwą pracą dojdzie do trzeciego kotła, to długo tak nie pociągnie. Społeczność obozowa tworzy więc koherentny system oszustw służących wpisaniu rzeczywistości w fikcję. Nieistotne czy sagi drewna będą trochę mniejsze, by było ich więcej, czy też będą puste w środku. Strażnicy znają wprawdzie zasady oszukiwania, ale ich premie także zależą od produkcji. Zależy im więc tylko na utrzymaniu takiej rzeczywistej wydajności pracy, która pozwala ocalić fikcyjną. Republika pracy wkracza w niekończący

się etap przejściowy między socjalizmem a komunizmem: każdemu według tego, na ile jego praca wygląda, a kto umie niech resztę wykombinuje sobie według potrzeb.



Polska zona bardzo szybko osiągnęła etap przejściowy. Już dawno nie dzielimy się na niewinne, czyste ofiary i złych strażników. Ba, widzieliśmy już zamianę strażników w ofiary i ofiar w strażników. Nasza hierarchia społeczna tworzy drabinę konformizmów: na każdym jej szczeblu można się pocieszyć, że ktoś nad nami ześwinił się bardziej niż my, a ktoś pod nami wprawdzie mniej, ale za to nic prawie nie uzyskał. Tylko szarzy obywateli mają szansę mieć czyste sumienie. Jakże jednak zepchnąć w tę szarość całe społeczeństwo? Pewnie dlatego w kadrach obecnej opozycji nieliczni są ci, co nigdy nie próbowali zrobić czegoś w ramach „innego świata”. Gra o nieuchwytnie „coś” nie ma końca: każdy minister mówi prywatnie, że przyjął swoje stanowisko, bo ktoś inny byłby na jego miejscu gorszy. Jest to typowa argumentacja kapo, zrozumiała tylko w ramach cywilizacji obozowej. Podobnie tylko w ramach cywilizacji obozowej jest zrozumiała argumentacja obywatela, który z własnej i nieprzymuszonej woli oddaje głos w wyborach na swoich jedynych strażników: przecież fakt, że nie pójdzie na wybory niczego nie zmieni. Wewnątrz systemu odpowiedzialność jest fikcją, bo życie oficjalne jest tylko rolą. W Oświęcimiu wyszedł z tej roli ojciec Kolbe, w sowieckich łagrach Bukowski, Szczarański i wielu innych. Tylko wiara w transcendentálny sens ofiarności skłania w obozie do takiej odwagi.

W polskiej zonie niełatwo o zasadniczość protestu. Bo nie ma już też apeli, na których stoi się cały dzień trzymając w mdlejących rękach transparenty i zdzierając gardło przy wznośzeniu okrzyków. Można jednym mrugnięciem oka „załatwić sobie obecność” na obowiązkowym czynie społecznym lub „urwanie się” z pierwszomajowego pochodu. Nikt nie żąda już od nas wiary, udawania wiary czy praktykowania. Strażnicy żądają minimum: akceptacji obozowych ról.

Robotnik, który pracuje prywatnie, „na lewo”, pojawia się w pracy w dniu wypłaty, by podzielić swoją pensję między kierownika a kolegę z „dwuosobowej brygady”, kryjących jego codzienną nieobecność. Naukowcy piszą sprawozdania z nieprzeprowadzonych badań lub opracowują przyszłe plany w oparciu o zatajone wyniki z przeszłości, aby osiągnąć planowane rezultaty. Zagrożony przez urząd podatkowy „wolny najmita” przy-

chodzi do pracy państwowej, by móc po roku „z oszczędności z pensji” zbudować dom i kupić samochód. Setki inżynierów projektują o 50 % za ciężkie konstrukcje, żeby spać spokojnie i siąść nazajutrz wypoczętym do chałtur. Ludzie pióra łapią funkcje *pridurków* w redakcjach lub puszczają trzy razy ten sam „kawałek” pod różnymi tytułami, żeby „wyjść na swoje”. Lekarze „państwowi” handlują wolnymi łózkami szpitalnymi lub pytają przywoicie ubranego pacjenta: „Pan przyszedł do ubezpieczalni czy chce się pan tu u mnie prywatnie leczyć?”

Czym jest to żółwie tempo w pracy państwowej i stachanowskie w prywatnej? Czy widzieć w nim objaw zdrowia czy demoralizacji? Z punktu widzenia normalnego, wolnego społeczeństwa jest to deprawacja — w ramach rzeczywistości łagiernej jest to triumf życia nad doktryną. Spróbujmy prześledzić jakie są faktyczne związki między pracą, płacą a zatrudnieniem w naszej gospodarce.

Efektywność pracy w PRL jest rozpaczliwie niska. Jak niska — o tym nie mówi ani rząd, ani opozycja. Ale wystarczy przytoczyć jeden przykład: kombinat budowlany realizujący największą inwestycję mieszkaniową obecnej pięcioletki — dzielnicę Ursynów w Warszawie — miał wydajność 1 (jedno) mieszkanie na pracownika rocznie. Poziom efektywności pracy dostosował się bowiem do poziomu zarobków. Te zaś nie mają żadnego związku z faktyczną, tzn. wolnorynkową, ceną pracy w Polsce. Cena jednej godziny pracy kwalifikowanej wynosi obecnie 50 do 100 złotych. Poniżej sumy 50 zł/godz. nie można uzyskać minimum jakości. Prawidłowości te dotyczą zarówno robotnika rolnego pracującego na dniówkę jak i mechanika samochodowego, nauczyciela dającego prywatne lekcje, jak dentysty, murarza, dziennikarza i ślusarza. Cena ta nie ma charakteru spekulacyjnego, od dawna jest w miarę ustabilizowana. Nie obejmuje ona zjawisk skrajnych: 35 zł za godzinę stania w kolejce po meble, ani 500 zł za kilkunastominutową wizytę u dobrego lekarza-specjalisty. Stawka 50 do 100 zł za godzinę związana jest z faktycznym popytem na faktycznie dostępne dobra. Odzwierciedla rzeczywiste trendy i poziom gospodarki. Nieistotne czy ktoś ma dyplom czy nie, czy praca jest fizyczna czy umysłowa. Liczą się tylko faktyczne potrzeby społeczne i faktyczne kwalifikacje. Według tej ceny pracy na 1 kg mięsa po cenie wolnorynkowej pracować trzeba średnio około godziny, na 1 m² mieszkania (10-20 tys. zł) około miesiąca. Są to proporcje zdrowe, podobne istnieją w większości krajów uprzemysłowionych. Gdy proporcje te są zwichnięte — dotyczy to np. ceny chleba — następuje zjawisko masowego marnotrawstwa. W każdym nowym domu umieszcza

się, jako rzecz normalną, pojemniki na suche pieczywo; poprzednio ludzie wyrzucali je masowo do śmieci.

Faktyczna wydajność pracy dostosowana jest do poziomu wyzysku obywatela-więźnia przez państwo obozowe. Kto tylko może oficjalnie i nieoficjalnie dorabia, bardzo często nadgodzinami i manipulacjami finansowymi w swoim miejscu pracy. Towarów przez to nie przybywa, szczególnie że chałtury są często tylko bardziej lukratywnym fragmentem obozowej fikcji. Tym bardziej więc warto się zastanowić ile zarabialiby ci sami ludzie, gdyby mogli normalnie, wydajnie pracować? Przy pięciodniowym tygodniu pracy za stawkę 50-100 zł/godz. przeciętny wykwalifikowany pracownik zarabiałby od 8.888 do 17.600 zł miesięcznie czyli... tyle, ile większość tych pracowników zarabia wliczywszy wszystkie swoje „boki” i „lewizny”. W powszechnym odczuciu suma 2.500 zł miesięcznie na członka rodziny jest dziś w Polsce minimum cywilizacyjnym. Osiąga się je forsowaniem ponad miarę zatrudnienia kobiet. Suma 17.600 zł nie jest wcale zawrotna, gdy porówna się ją z ceną damskich pantofli (700-2.500 zł), garnituru (3.000-6.000 zł) czy wolnorynkową ceną najtańszego polskiego samochodu (120.000-140.000 zł), nie mówiąc już o kosztach całomiesięcznego wyżywienia.

Trzecim, po efektywności pracy i płacach, czynnikiem, który wypada tutaj rozważyć, jest zatrudnienie. Krytyka jego poziomu i proporcji budzić będzie zawsze zrozumiałe gesty obronne. Nikt nie lubi tracić pracy i nikt nie lubi, gdy mówi mu się, że właściwie w swojej dziedzinie jest w danej chwili zbyt liczny. Niemniej zurzędniczenie naszej gospodarki jest rzeczą oczywistą dla każdego, a brak ludzi, którzy wykonaliby szybko, fachowo i w terminie jakąkolwiek konkretną robotę, odczuwany jest powszechnie. Wynika to z dwóch prawidłowości, będących funkcją pełnego zatrudnienia w obozie. Biurka i pensje *pridurków* kosztują na krótką metę mniej niż stworzenie potrzebnego i dobrze zorganizowanego warsztatu pracy. Po drugie: skoro płace nie mają żadnego związku z rzeczywistym poziomem życia, który osiągnąć jest mniej czy bardziej legalnym kombinatorstwem, następuje naturalna ucieczka od prac uciążliwych i męczących do dekowania się, uprawianego choćby za śmieszne zarobki. Stare powiedzenie: *W Polsce obywatele udają, że pracują, a państwo udaje, że im płaci* jest z każdym dniem trafniejsze. Oczywiście często ktoś musi pracować, choć mu nie płacą albo nie ma jak kombinować i żyje w strasznej biedzie. Oznacza to jednak rozmiar tragedii, jaką niesie ze sobą obozowa gospodarka, nie zaprzecza jednak prawdziwości zarysowanych tu mechanizmów.

Dramatem obozowej gospodarki jest fikcja posunięta tak da-

leko, że bronią jej już sami więźniowie. Każdy woli starą prowizorkę od nowej, której jeszcze nie zna: w istniejącej i strażnicy i więźniowie już ułożyli sobie jakiś życie.



Wróćmy do hipotezy wyjściowej: jesteśmy jedną z zon obozu, którego nikt nie wyzwoli. Obóz wyzwolić się musi sam. Polacy będą wolni, gdy wolni będą Czesi, Węgrzy i Niemcy z NRD, Ukraińcy, Litwini i Białorusini. Chiny są daleko, a rosyjskie czołgi są blisko — ktoś powie. Żywy niezmiennie „dylemat czołgów” wymaga kolejnego rozważenia.

Dwa są argumenty skłaniające do dużej rozwagi i nie prowokowania sowieckiej inwazji. Pierwszy: pominawszy już aspekt ludzki, zdrowy instynkt samozachowawczy każe nam nie ryzykować wykrwawienia się narodu, które mogłoby spowodować odstęp w radykalizmu niepodległościowego. Drugi: nie jesteśmy w sytuacji społeczeństwa nie mającego nic do stracenia. Formalna odrębność narodowa chroni nas częściowo przed sowietyzacją. Mamy wprawdzie ubowskie więzienia, ale nie mamy łagrów i azyli psychiatrycznych.

Na tym jednym wyczerpuje się argumentacja nakazująca — zrozumiała po naszych doświadczeniach z Rosją — ostrożność polityczną. Przypisywanie Sowietom możliwości eksterminacji nas jako narodu czy też wcielenia Polski jako 17-tej republiki do ZSSR — należy uznać za *science-fiction*. Nie dlatego, że nasz przeciwnik jest z natury szlachetny. Po prostu dlatego, że nie ma żadnego interesu w powiększaniu swoich kłopotów narodowościowych. To wyznacza granice stosowanej przez niego przemocy.

Podstawowe argumenty za twardą postawą wobec Sowietów są następujące: rosyjskie czołgi niczego nie zmieniły na gorsze ani w Budapeszcie w 1956 roku, ani w Pradze w 1968 roku, jeśli weźmie się za punkt odniesienia reżym Rakosiego lub Novotnego. To jest bilans polityczny, niezależny od kosztów ludzkich: zarówno Węgry jak i Czechosłowacja *per saldo* zyskały mimo inwazji. Podświadome szukanie analogii między *dramatem powstania* budapeszteńskiego a *tragedią* powstania warszawskiego jest z gruntu mylne.

Po drugie: inwazja sowiecka nie następuje na mocy fatalizmu, a pewnej zdroworozsądkowej kalkulacji politycznej. W obu wypadkach decyzja zapadła po długich (szczególnie w wypadku Czechosłowacji) wahaniach, jednym z rozważanych czynników jest fakt ewentualnego oporu. To, że Dubczek z góry się go wyrzekł było jednym z elementów, który przeważał szalę. Z po-

litycznego punktu widzenia Moskwie bardziej zależy na psychologicznym zagrożeniu inwazją niż na jej realizowaniu: jest oczywiste, że powtórne okupowanie kraju z definicji okupowanego, jest zabiegiem z natury rzeczy kłopotliwym, opartym głównie na szantażu. Wydaje się natomiast w tej sytuacji istotne, by do momentu ostatecznego rozpadu czy paraliżu imperium sowieckiego prowadzić walkę takimi środkami politycznymi, w stosunku do których sowieckie czołgi są bronią zbyt „grubą”. Jeśli polska opozycja będzie drugim życiem kontrolować pierwsze i do sprzyjającego momentu w układzie międzynarodowym tolerować „swoich” strażników, Rosjanie nie będą mogli interweniować. Do czasu powinno nam więc bardziej zależeć na tym, by władza szła na ustępstwa i musiała realizować politykę opozycji, niż by opozycja sama uzyskiwała — iluzoryczną wobec niesuwerenności państwa — władzę. Jest to jakby ostateczne pożegnanie marzeń o naprawianiu socjalizmu: nie chodzi nam o to, żeby władza komunistyczna się „odrodziła”. Chodzi o to, żeby wbrew sobie, chcąc nie chcąc musiała realizować postulaty opozycji. Nadaje to nowy aspekt wszelkim częściowym reformom.

Rozumowanie powyższe, na pierwszy rzut oka będące abstrakcyjną spekulacją, można zilustrować wydarzeniami ostatnich trzech lat.

Partia chciała zmienić konstytucję bierutowską na gierkowską. Demokracja jednej i drugiej był martwą literą. (W fakcie, że opozycjoniści bronili konstytucji z okresu stalinowskiego kryła się nawet ironia losu!). Formalnie opozycja przegrała. Partia postawiła na swoim: mamy dziś konstytucję nakazującą kochać Związek Sowiecki. Tak, ale w toku obnażania fikcji, jaką była cała konstytucyjna kampania partii, opozycja zmusiła władzę do traktowania serio tych punktów konstytucji, których nikt nigdy na serio nie brał. Gra, którą strażnicy narzucali dotychczas więźniom zamieniła się w grę, którą więźniowie siłą swego ruchu narzucili strażnikom.

Opozycja zarzuca władzy nieprzestrzeżenie praw człowieka. Formalnie nic się nie zmieniło. Nadal mamy cenzurę, policję i UB. Ale zmieniło się więcej niż w 1956 roku, gdy w UB odbywały się czystki i nie cenzurowano niektórych pism. Stało się stokroć więcej: powstały wolne pisma i muszą być tolerowane. Każdorazowe oddzielenie fikcji od rzeczywistości, kłamstwa od prawdy powoduje, że kłamstwo trwa, ale prawda zaczyna być tolerowana.

Nie ma powodu, by taktyka ta nie miała objąć i innych dziedzin naszego życia społecznego. Dwoistość naszej egzystencji powoduje, że o sytuacji ekonomicznej nie mówi dziś otwarcie nikt. Coraz mniej osób jest zainteresowanych w obalaniu fikcji, w którą

po wielu latach trudów udało się wpisać nasz niełatwy dzień powszedni. „Nie chcąc zabrać głosu w sprawach, które mogą okazać się niepopularne, opozycja skupia się na żądaniach rewindykacyjnych lub ogólnikowych postulatach reform zmierzających do odtworzenia gospodarki rynkowej”. Wydaje się jednak, że po to by podobne wnioski nabrały wagi politycznej muszą one być poprzedzone oddzieleniem fikcji od rzeczywistości. Podtrzymując działania samoobronne społeczeństwa opozycja powinna zdemistyfikować istotę obozowej gospodarki. W szeregu opracowań ekspertów należałoby pokazać możliwość dostosowania kolejnych struktur organizacyjnych do faktycznie istniejących prawidłowości rynkowych. Zamiast uprawomocnienia fikcji obozowej przez zgłaszanie postulatów rewindykacyjnych w jej ramach, opozycja winna wywierać na władzę naciski zmierzające w stronę dostosowania gospodarki do już powstałej struktury rynku. Oznaczałoby to postulat stopniowego dostosowywania płac do faktycznej wydajności pracy, której egzekwowanie stałoby się dzięki takim podwyżkom po raz pierwszy możliwe. Nie chodzi bowiem o to, żeby licytować konsumpcję czy inwestycje, lecz żeby, bez żadnych nakładów, samym usankcjonowaniem zmian organizacyjnych, które już dawno zaszły, zlikwidować źródła bezproduktywnej pracy ponad siły, jakiej poddane jest społeczeństwo. Zamiast piętnować czarny rynek i uzdrawiać biały (państwowy), opozycja powinna skupić się na szarym rynku, jak nazwał go Aron. Szary rynek tworzą wszystkie półlegalne, a faktycznie tolerowane przez państwo, operacje (zarówno przedsiębiorstw państwowych, jak i prywatnych — instytucji, jak i osób), dzięki którym biurokratyczna machina gospodarcza jest jeszcze w stanie działać. Wszystkie niemal wypowiedzi opozycji zdają się abstrahować od faktu, że PRL nie jest w takich rozmiarach kapitalizmem państwowym jak to się na ogół sądzi. Liczba obywateli działających poza rynkiem państwowym obejmuje nie tylko rolników i rzemieślników, ale także spółdzielnie drobnej wytwórczości, robotników pracujących w prywatnych zakładach i warsztatach, część wolnych zawodów. Opozycja winna uświadomić sobie, że na dłuższą metę społeczeństwo będzie tym wolniejsze im więcej będzie w nim wolnych konsumentów i wolnych producentów. Tradycyjna niechęć inteligentów-urzędników systemu do „prywaciarzy” musi ulec zmianie. To prawda, że dziś to środowisko przeżarte jest rakiem UB i nie wykazuje — mimo naturalnej niechęci do „władzy ludowej” — żadnej aktywności politycznej. Warto sobie jednak uświadomić, że są to jedni z nielicznych w naszym kraju, wydajnych producentów, ludzie z autentyczną inicjatywą, jedni z ostatnich, którzy potrafią zorganizować pracę. Nie ma powodu, żeby znaleźli się oni na cenzurowanym, skoro nie są tam np.

szeregowi członkowie partii, na których morale opozycja jeszcze mniej może liczyć. Ważność tego środowiska wzrasta z postulatem popierania drugiego życia, tego które buduje niezależność pracowników poza istniejącą strukturą ekonomiczną. Im większa bowiem część społeczeństwa wyzwole się spod dyktatu jedyne go pracodawcy, tym większa będzie możliwość wywierania nacisku na władzę w momentach kryzysowych: strajku czy rewolty. Jedną z bardziej charakterystycznych cech społeczeństwa obozowego jest życie z dnia na dzień: w sensie politycznym i materialnym. Tylko pracownik mający szansę jakiejś samodzielności finansowej w czasie strajku, może bez zbyteń obciążenia psychicznego prowadzić walkę. Należy podkreślić, że dotychczasowe formy samoobrony społecznej opierały się na tym, że nielicznym ofiarom pomagały liczne rzesze obywateli. Strajk powszechny ma zupełnie inny charakter: całe społeczeństwo musi mieć prężny okres kryzysu. Nie jest przypadkiem, że w okresie totalizowania władzy rządu Allienne w Chile grupą pracowników, która mogła nieugięte strajkować byli drobni przedsiębiorcy: właściciele jednej lub paru ciężarówek, restauratorzy, sklepikarze.

Popieranie przez opozycję drugiego życia ma też poważne znaczenie wychowawcze. Wprowadza ono społeczeństwo na tory normalnych, zdrowych konfliktów społecznych, gdzie równość szans nie oznacza *urawniłowki*, a gwarancja społecznego minimum — *tumiwizizmu*. Kolejny bowiem paradoks życia obozowego polega na tym, że społeczeństwo totalitarne jest w wymiarze ekonomicznym społeczeństwem opiekuńczym. Niezwykle trafnie ujął ten problem „Rachunek naszych słabości”, opublikowany przez PPN. „Przywykliśmy do myśli, że system polityczny i gospodarczy, w którym żyjemy, jest niezmienny. Gniewa nas, doprowadza czasem do rozpacy, ale zarazem stanowi rękojmię bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego. Dokucza nam wiecznymi kolejkami do sklepów i dorocznymi kryzysami maślanymi, mięsnymi, opałowymi czy energetycznymi; tłumy w nas zapał do samodzielnych przedsięwzięć — ale unika ogólnych depresji gospodarczych i związanych z nimi klęsk bezrobocia i bankructw. [...] A przede wszystkim uwalnia nas od odpowiedzialności, każdemu wyznaczając jego pozycję”.

Penetrowanie drugiego życia przez opozycję musi doprowadzić do zwiększonego uwrażliwienia moralnego. Skoro puryzm etyczny jest w obozowej sytuacji postulatem utopijnym, musimy zacząć — jak w czasie okupacji — odróżniać złe i dobre kombinatorstwo. Bowiem czego byśmy złego nie mówili o naszych „luzach społecznych”, to dzięki nim system nasz jest bardziej ludzki. O ile lepszy byłby niesolidny hitlerizm! Jaką tragedią dla uchodźców z Niemiec była uczciwość niemieckich urzędników!

Czy nie jest wspaniałe, że sprzedawca w naszym sklepie radio-technicznym na konfidencjonalne pytanie: „A jak na krótkich?” — odpowiada — „Łapie”, bo wie że chodzi o Radio Wolna Europa. Co stałoby się z wieloma książkami *Kultury*, gdyby celnik był zbyt obowiązkowy jako władza i zbyt nieuczciwy jako obywatel? Ile nielegalnie zbudowanych kościołów zawdzięczamy czyjemuś przymknięciu oka? Czyż nie „nieuczciwemu” cenzorowi zawdzięczamy „Czarną księgę cenzury PRL”? Rozumowanie to wcale nie naraża nas na całkowity relatywizm moralny. Granica między tym co moralne, a tym co niemoralne przebiega nadal przez każdy dzień każdego z nas. Cechy takie, jak niesłowność, niepunctualność, pijaństwo czy upadek kultury współżycia można uznać przecież za niepodlegające dyskusji utrapienia narodowe. Jasne widzenie tych spraw wymaga ogromnego samokrytycyzmu. Tylko on może ograniczyć rozmiary „choroby poobozowej”, która czeka nasze społeczeństwo.

Na każdym kroku widać, że centralnym problemem w taktyce wyzwolenia obozu jest powszechna świadomość gry, którą prowadzą strażnicy i więźniowie. Wymaga ona rozwinięcia wyspecjalizowanej propagandy skierowanej do aparatu partyjnego, policji i wojska. Wymaga stworzenia presji moralnej zastraszającej i neutralizującej zdrajców i donosicieli — odpowiednik (nie znaczy, że dosłowny) samooczyszczającego „szatkowania”, które poprzedziło bunt w Gułagu. Wymaga opanowania podstawowych zasad guerilli miejskiej, by rodzimi strażnicy nie mogli bezkarnie oddawać salw z czołgów do tłumów, jak działo się to w Grudniu na Wybrzeżu.

Obóz wyzwoli się sam, jeśli ruch niepodległościowy zdoła drugie życie uczynić silniejszym i zdrowszym od pierwszego. Czyli zdoła rozwiązać totalitarny dylemat bezsiły: jaki rząd taka opozycja. Punktem przełomowym będzie dzień, w którym żaden dorosły Polak nie kupi reżymowej gazety, a do każdego dotrze głos opozycji. Wówczas obóz będzie już o krok od wolności.

Maciej POLESKI

Przegląd prasy niezależnej

Miesięcznik *Biuletyn Informacyjny* jest, obok oficjalnych Komunikatów KOR-u, najdłużej ukazującym się pismem niezależnej

leżnym. Powstało ono na jesieni 1976 roku i do chwili obecnej wyszło już 25 numerów. Szerszy komitet redakcyjny firmowany jest przez cztery osoby blisko związane z KSS „KOR”-em: pi-sarkę Ankę Kowalską, dziennikarkę i jedną ze skazanych w procesie „Ruchu” Joannę Szczęsna, „weterana” marcowego Seweryna Blumsztajna i jednego z młodszych działaczy Eugeniusza Kloca. Głównym zadaniem *Biuletynu* jest podawanie „aktualności życia publicznego” (tak brzmi podtytuł *Biuletynu*) i w ten sposób przełamywanie państwowego monopolu informacji, obwarowanego istnieniem cenzury. Można dziś śmiało powiedzieć, że cel ten jest od dłuższego już czasu spełniany nie tylko symbolicznie, ale w wysokim stopniu zupełnie realnie. Nakład *Biuletynu* od kilku dobrych miesięcy ustabilizował się na poziomie 5 tysięcy egzemplarzy! A trzeba jeszcze powiedzieć, że każdy numer to ponad 50 gęsto zapisanych — i zupełnie dobrze czytelnych — stron maszynopisu. Miarę tego osiągnięcia może ocenić tylko ten kto dobrze zna i potrafi się wczuć w warunki, w jakich powstają niezależne wydawnictwa w Polsce. Prawdą jest bowiem, że ludzie zaangażowani w działalność wydawniczą nie siedzą — w tej chwili — w więzieniu i nie wytacza im się — na razie — procesów o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości” i „szkalowanie Polski Ludowej”. Ale łudziłby się ten, kto by sądził, że reżym jako całość — a w szczególności policja i aparat bezpieczeństwa — zrezygnował ze stałych prób zastopowania tej działalności. Wojna nerwów trwa, dziesiątki agentów ugania się cały czas za wydawcami i redaktorami niezależnymi, powtarzają się fale rewizji i zatrzymań. „Służby wyspecjalizowane” robią wszystko co leży w ich mocy, by odnaleźć zakamuflowane miejsca pracy powielaczy i punkty kolportażu. I od czasu do czasu udaje im się coś znaleźć, jest to nieuniknione, choć ostatnio zdarza się to coraz rzadziej. A techniczna baza poligraficzna? Jest w dalszym ciągu opłakanie mała i prymitywna. Kilka powielaczy, domowym sposobem przyrządzana farba, matryce woskówkowe, z oszczędności dzielone na trzy kawałki, papier cudem jeszcze jakoś zdobywany. I do tego bardzo szczupłe środki finansowe, pochodzące ze składek na Fundusz Samoobrony Społecznej „KOR”-u. Wyczyn w postaci 5-ciotysięcznego nakładu *Biuletynu Informacyjnego* (pomyśleć tylko o objętości i wadze jednorazowego nakładu — jak kłopotliwy musi być jego transport) możliwy jest tylko dzięki zaangażowaniu i poświęceniu całej armii ludzi: od najbardziej znanych działaczy, autorów, redaktorów i wydawców po anonimowych kolporterów i drukarzy z „Wolnej Wałkowo-walcowej Drukarni Polowej im. J.P.”, którzy wykonali wśród tysiąca zleceń „Zlec. nr 1061/78”, jak podano na jednym z *Biuletynów*.

Pisma o charakterze informacyjnym streścić się naturalnie nie da, zacytujmy więc tylko parę przykładów z jednego z ostatnich numerów. Są one charakterystyczne dla pisma i będą z pewnością ciekawe dla czytelników *Kultury*. Artykuł pt. „Patiomki-

nowski Olsztyn” zamieszczony w stałej rubryce „Tematy Dnia” opisuje typowy przykład totalnego zakłamania i jednocześnie rozkradania Polski.

„[...] Olsztyn od lat zabiegał o fundusze na uporządkowanie i remonty w mieście. Na próżno. Manewr gospodarczy ostatecznie pogrzebał nadzieje. Aż tu wylania się szansa wprost cudowna — dożynki. Miasto dostaje cztery miliardy złotych wraz z informacją, że nigdy niczego więcej nie otrzyma, że musi to wydatkować w parę miesięcy i to tak, jak centrala sobie życzy. Czy podobny absurd można sobie wyobrazić? Nie o Olsztyn tu jednak chodzi, sztab przyjeżdża z Warszawy, wyreżyseruje się wielką farsę na użytek pierwszego sekretarza i jego ekipy.

Pełna mobilizacja — wojsko, więźniowie, milicja, krótkofalówki. Brygady remontowe i budowlane ściągnięte z całego województwa porzuciły swoje plany, inwestycje i stawiły się na pierwszą linię frontu. Praca jest ciężka. Nieraz na trzy zmiany. Jest też mnóstwo przedsiębiorstw prywatnych, zwolnionych na tę okazję z podatków. Nawet niewykwalifikowany robotnik zarabia do 15 tysięcy złotych miesięcznie. Nadgodziny, dodatki, premie — bez ograniczeń. [...] Na straganach pojawiają się arbuzy, papryka, winogrona, a w barze mlecznym są kanapki z szynką. Wiele domów wygląda nieefektownie, choć są jeszcze zdrowe, ale łatwiej jest burzyć niż remontować. Na ul. Dworcowej burzono domy jeszcze tydzień przed Świętem Płonów. A przecież trzeba niwelować, nawozić ziemię, musi tu być ogródek, trawniczek... Wojsko przywozi darń i układa łączkę. Jedna doba i jest park. Nawet drzewa i kwiatki wsadzono w olsztyńską glinę i będą kilka dni zielone. Ścieżki wykłada się kafelkami! Układa chodniki wprost na ziemię, sieje owies — miast trawy — bo szybciej wschodzi, maluje elewacje domów na grzyb, na odpadającą tynk, nawet Matkę Boską gdzieś odmalowano niczym jelenia czy Lenina w ZSSR. A drewniane domy? Te obija się kolorowymi płytami z plastiku. [...] I szpitalem miano się pochwalić, ale tylko z daleka, bo choć okna wstawiono i umyto, choć była klamka u drzwi wejściowych, to środek był puścicutenki, nawet ścianek działowych nie postawiono, nie mówiąc o wyposażeniu, personelu i pacjentach. Urzędnicy pracowali jednak intensywnie. Ciągłe wizyty i wizytacje wszystkich szczebli, oglądane roboty, gotowe patiomkinowskie obiekty, ustalano, organizowano, uzgadniano. Wszystko musi być sprawdzone, co i z jakiej odległości można pokazać Pierwszemu. Nie takie to łatwe zadanie. Jeszcze trzeba przebadać wszystkich chłopów, którzy mają uściśnić dłoń najwyższemu, mógłby się przecież zarazić pryszczycą. A zbadanie ich świadomości to też praca, ale w tym mamy więcej doświadczenia i specjalistów. Już zjeżdżają się wypróbowani urzędnicy z centrali, którzy zastąpią rzeczywistych dyrektorów fabryk i PGR-ów, oni już wiedzą jak potakiwać — zawodowy cmokier nie błądzi. Zaorano pola wzdłuż trasy przejazdu.

Gdzie zboże czernieje na pniu, tam kombajn czeka na hasło, by wjechać triumfalnie i utonąć w rozmokłej glebie, ale tego już nikt nie zobaczy”.

Sprawom szkoły i wychowania poświęca się w Biuletynie dość dużo miejsca. Oto w całości notatka pt. „Wychowanie najmłodszych”:

„Poniżej przedrukujemy zadania wychowawcze w Przedszkolu nr 120 w W-wie w miesiącu październiku i listopadzie:

Dzieci starsze:

1. Wzbudzenie szacunku dla pracy milicjanta.
2. Budzenie szacunku do Wojska Polskiego stojącego na straży pokoju i naszych granic.
3. Wyrabianie wrażliwości na piękno przyrody w okresie jesieni.
4. Wdrażanie do poprawnych kontaktów koleżeńskich i uspołecznienie.
5. Pokazywanie miejsc straceń poległych żołnierzy. Cześć poległym. Złożenie kwiatów. Zapalenie świeczek.
6. Zbliżenie dzieciom postaci Lenina — jako bohatera.
7. Wzbudzenie szacunku do pracy górnika. Zapoznanie z koryciściami jakie daje węgiel.

Dzieci młodsze:

1. Poznajemy pracę milicjanta i podstawowe zasady ruchu drogowego.
2. Wspólnie z żołnierzami obchodzimy 35 rocznicę LWP.
3. Zwiedzamy las jesienią — poznajemy nowe okazy — nie bierzemy do ust trujących jagód i grzybów.
4. Ubieramy się samodzielnie i odpowiednio do temperatury.

Zbudowani tym bogatym programem wychowawczym przedszkoli, zwracamy uwagę kompetentnym czynnikom w Ministerstwie Oświaty i Wychowania, że Ministerstwo Zdrowia, któremu podlegają żłobki karygodnie zaniedbuje działalność wychowawczą”.



Dotarł właśnie na Zachód najnowszy, 26 numer *Biuletynu Informacyjnego*, datowany grudzień 1978. Otwiera go artykuł Januarego Kostrzewskiego „Na śmierć rad robotniczych”, napisany w związku z kolejną „reformą” samorządu robotniczego, likwidującą resztki i tak już od dawna czysto formalnych zdołbyczy polskiego Października w tej dziedzinie. Kostrzewski pisze m.in.:

„Reforma przeprowadzona w bieżącym roku nie dokonuje żadnego nowego rozdziału kompetencji pomiędzy dyrekcjami i KSR-ami (Konferencjami Samorządu Robotniczego), nie daje im

też nowych uprawnień z zewnątrz.. Jej celem nie jest to, by KSR-y robiły co innego czy więcej niż dotąd, lecz by robiły inaczej. Dyrektorskie do tej pory, teraz mają stać się przede wszystkim partyjne. [...] Wydaje się, że stawiając na czele KSR-ów pierwszych sekretarzy POP, partia liczy na to, że w praktykach przeszkadzających jej polityce gospodarczej „samorząd robotniczy” przestanie być współnikiem i parawanem dyrekcji. Stanie się zaś — poprzez zależność sekretarzy od wewnętrznnych władz partyjnych — wyrazicielem partyjnego punktu widzenia w organizacjach gospodarczych”.

Naturalnie przeprowadzaniu tej reformy towarzyszyła szumna oprawa propagandowa pod hasłami o „większym wpływie”, „zwiększeniu udziału załóg we współdecydowaniu” itp.

W rubryce „Tematy dnia” *Biuletyn* przedrukowuje w całości przemówienie poświęcone stosunkom polsko-amerykańskim, wygłoszone przez ambasadora USA w Polsce Williama E. Schauffele’a 7 grudnia 1978 roku w Klubie Spraw Międzynarodowych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Ambasador Schauffele powiedział m.in.:

„Jak my patrzymy na stan stosunków polsko-amerykańskich? We wrześniu tego roku ówczesny zastępca Sekretarza Stanu do spraw europejskich, William H. Luers, przedstawił podkomisji Kongresu amerykańską politykę w stosunku do Europy Wschodniej w ogóle, a do Polski w szczególności. Sprawozdanie to było najbardziej wyczerpującym oficjalnym przedstawieniem polityki Administracji Cartera w stosunku do tego niezmiernie ważnego obszaru świata. Może się mylę — kontynuował Schauffele — ale polskie środki przekazu prawie zupełnie zignorowały to, co zastępca Sekretarza Stanu, Luers, miał do powiedzenia. Przykro nam, że społeczeństwu polskiemu prawie nie dano sposobności rozważenia tej ważnej wypowiedzi. Wydaje mi się, że do polskich środków przekazu należało dopatrzenie, aby społeczeństwo polskie miało tę sposobność. Zastanawiam się, czy nie stanie się tak też z moją dzisiejszą wypowiedzią”.

Tak się naturalnie stało. O przemówieniu ambasadora Schauffele nie ukazała się ani jedna wzmianka w prasie oficjalnej. Kluczowy punkt przemówienia na temat zasad polityki Stanów Zjednoczonych w stosunku do Polski brzmiał:

„— uznajemy i popieramy niepodległość, suwerenność i samostanowienie Polski. Uważamy, że Polska jest sama odpowiedzialna za swoje własne wewnętrzne i zagraniczne sprawy. Stosownie do tego traktujemy Polskę jako suwerenną, mimo tego, że wiele polskich osobistości podkreśla wpływ stosunków amerykańsko-radzieckich na stosunki amerykańsko-polskie. Stany Zjednoczone pragną polepszenia stosunków ze Związkiem Radzieckim. Równocześnie jednak nasze stosunki z Polską rozważamy niezależnie od stosunków ze Związkiem Radzieckim i pragniemy, aby rozwijały się one siłą swojego własnego rozpedu”.

Numer *Biuletynu* zawiera też liczne informacje i artykuły o rozwoju działalności wśród chłopów, studentów, z dziedziny kultury i praworządności.

Do stałych ciekawszych działów *Biuletynu Informacyjnego* należą: rubryka „Praworządność” redagowana przez Z. Z. Romaszewskich, którzy kierują pracą Biura Interwencyjnego KSS „KOR”-u, recenzje umieszczane pod nagłówkiem „Książki Najgorsze” omawiające ukazujące się oficjalnie książki-potworki i książki-skandale, informacje o niezależnym ruchu wydawniczym „Bez debitu” i o niszczylielskiej działalności państwa na polu kulturalnym „Kultura i Cenzura”. Dużo miejsca zajmują naturalnie wiadomości o rozwoju opozycji w różnych środowiskach, chłopskim, robotniczym, akademickim, o represjach i trudnościach. Stały dział „Kościół i Wierni” przynosi dokumenty i wypowiedzi Episkopatu i informuje o wydarzeniach w środowiskach katolickich.



Krótko o innych czasopismach, których zebrało się bardzo wiele w ostatnim czasie.

Dotarły na Zachód trzy pierwsze numery *Drogi*, wydawanej „przez uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela”. Redaktorem jest Leszek Moczulski, który w wyniku różnicy zdań przestał redagować organ Ruchu Obrony *Opinię* i założył nowe własne pismo. Artykuły redakcyjne otwierające pierwszy numer poświęcone są rozważaniom o opozycji w dwa lata po wydarzeniach czerwcowych. Myślą przewodnią są apele o jedność różnych grup opozycyjnych w imię odpowiedzialności spoczywającej na ruchu opozycyjnym. Numer ten zawiera też zapis dyskusji redakcyjnej trzech ekonomistów o wydanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą opracowaniu pt. „Uwagi o sytuacji gospodarczej Kraju”. Dyskutanci krytykują autorów opracowania za „połowiczność propozycji”, która jest według nich naturalną konsekwencją skierowania postulatów do władz. „Editorial”, tzn. artykuł wstępny drugiego numeru *Drogi* domaga się wspólnych działań wszystkich ugrupowań w celu sprecyzowania jednego programu politycznego w takim zakresie, w jakim on będzie wspólny dla wszystkich odłamów opozycji. *Droga* uważa za swe główne zadanie współdziałanie w tworzeniu takiego jednego polskiego programu narodowego. W artykule „Opozycji wizerunek własny. Układanie mozaiki” Leszek Moczulski gani te osoby i grupy „które narzucają swe przekonania innym. [...] Jeżeli jakaś grupa upiera się, domagając się dla siebie wyłącznego prawa do decydowania, określania celów i działania, współpraca jest niemożliwa. [...] Dążenie do dominacji zastępuje poczucie tolerancji...”. Moczulski nie precyzuje bliżej o kogo i o co chodzi. W numerze tym znajdujemy dużo materiałów historycznych, m.in. redakcyjna dyskusja historyków o Powstaniu Warszawskim, artykuł Ezechiela Wersockiego będący przyczynkiem do Rewolucji Październikowej i wywiad z Natalią Naruszewicz (autorka przedrukowanej w *Zeszytach Historycznych* pracy pt. „Zarys Historii PRL”), przeprowadzony z okazji ukazania się drugiej części tej

pracy. Naruszewicz odrzuca różne krytyczne uwagi, które pojawiły się po publikacji pierwszego zeszytu. Numer trzeci *Drogi*, oprócz okolicznościowych komentarzy w związku z wyborem Polaka Papieżem, przynosi artykuł redakcyjny o konieczności zrozumienia wagi kontynuacji w myśleniu programowym, przedruk wykładu Biskupa Ignacego Tokarczuka, wygłoszonego na KUL-u pt. „Perspektywy Rozwoju Kościoła”, interesującą rozmowę z przedstawicielem młodej generacji „PAX”-u, Romualdem Szermietiewem, o rozdźwiękach w łonie tej organizacji, artykuły o tematyce gospodarczej i polemikę Leszka Moczulskiego z Adamem Michnikiem na temat roli Moczulskiego w antysemickiej kampanii prasowej po Marcu 1968, kiedy to Moczulski pracował w tygodniku *Stolica*.

W piątym numerze kwartalnika *Spotkania* (omawianego szerzej w poprzednim przeglądzie) uwagę zwraca artykuł Jerzego Turowicza „Dialog, Pluralizm i Jedność”. Artykuł ten redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego* napisał odpowiadając na zaproszenie do dyskusji zawarte w zasadniczej wypowiedzi Mieczysława Rakowskiego opublikowanej na łamach redagowanej przez niego partyjnej *Polityki*. „Dyskusja” ta skończyła się jednak, zanim się rozpoczęła. Cenzura dopuściła bowiem do publikacji tylko głosy polemiczne, napisane przez proreżymowych katolików, a niezależny, ostrożny ale jasno formułujący stanowisko społeczności katolickiej głos Turowicza został zdjęty z *Tygodnika Powszechnego* i ukazać się mógł tylko w niecenzurowanym kwartalniku *Spotkania*.

Kilka bardzo ciekawych z punktu widzenia polityczno-programowego artykułów zamieszcza ósmy numer *Zapisu*. Jacek Bocheński: „Niepodległość wśród ludzkości”, Kornel Jankowski: „Jeszcze nie program”, Jadwiga Kwiatkowska: „Opozycjonista polski albo o wyobraźni”, że wymienię przykładowo tylko kilka.

J. Ś.

Sztokholm

Program polski w telewizji włoskiej

W niedzielę, 18 lutego 1979, w wieczornej rubryce drugiego kanału telewizji włoskiej, TG-2 Dossier, nadano program pt. „Droga” warszawska (La „via” di Varsavia), przygotowany przez byłego korespondenta Rai-Tv w Nowym Jorku, następnie w Paryżu, Jasia Gawrońskiego. Sądząc z zapo-

wiedzi (Polska w przeddzień wizyty Jana Pawła II"), należało się spodziewać kolejnej audycji typu „Ojczyzna papieża wczoraj — dziś — jutro”, gdzie folklor równałby się religii a wielki przemysł urastałby do symbolu ustroju. Na szczęście — nie. Mimo wielu nieścisłości i niezbyt fortunnych sformułowań, godzinny program dosyć wiernie pokazał dzisiejszą Polskę. Były i kolejki przed sklepem mięsnym z tłumem napiętych, skorych do bójki kobiet, był sklep Pewexu na Starym Mieście w Warszawie, była giełda samochodowa. Był wykład Bartoszewskiego na TKN-ie. Pochopne zapewnienie, iż część opozycji jest w Polsce tolerowana wzięło się stąd, że wyobraźnia Zachodu, w tym i Włoch, jest już dosyć zblazowana, i prześladowaniami mniejszymi niż łagry wzruszyć się tu już ludzie nie potrafią. A już nikomu do głowy nie przyjdzie, że prześladowaniami, i to najperfidniejszą ich formą, jest brak troski o obywateli, jak choćby (i o tym mówiono, lecz jako o jednej z całego szeregu bolączek) wstrzymanie importu leków.

Mówił o tym i Maciawicz (jako redaktor *Głosu*) z gorzkim uśmiechem nadmieniając, że i on, raz na tydzień te swoje 48 godzin przesiaduje gdzie trzeba, a poza tym, cóż, gdy trafią na drukarnię, biorą wszystko, ale, oczywiście, w ZSSR gorzej...

Mówili jeszcze Lityński, Mazowiecki, Lipiński, Woźniakowski, arcybiskup Mocharski (popularny już i we Włoszech, jako ten „po Wojtyle”), biskup Grobelski. Pokazano redakcję *Tygodnika Powszechnego* i zaraz potem siedzibę *Polityki* z neonem na dachu. I właśnie tam, w środku, odbyła się scena, *clou* całego programu. Siedzącemu za dyrektorskim biurkiem Rakowskiemu Jaś Gawroński podtykał pod nos, tłumacząc za każdym razem tytuł i charakteryzując w dwóch słowach, egzemplarze prasy samizdatowej, więc *Głos*, *Robotnika*, *Zapis*, *Spotkania*, *Krytykę*, *Puls*, itd., było tego z dziesięć tytułów! Rakowski lekceważąco patrzył... w dal, nie drgnął mu kamienna maska! Zapytany po tej wyliczance, dlaczego w swoim piśmie nie drukuje tych *rzeczy*, odrzekł, że krytykować łatwo (tu błąd Gawrońskiego: powinien replikować, że nie tylko krytyka w tych pismach!), że „my nie chcemy powtarzać błędów zachodnich, burżuazyjnych demokracji (więc nici z pluralizmu), a co najważniejsze, „my” mamy rację, więc nie ma o czym mówić.

Trochę mniej pewny siebie, a może po prostu gorzej przygotowany, był przedstawiciel Związków Zawodowych, niejaki Scholz, gdy zagadnięty o wolne związki starał się sprawę zlekceważyć, mówiąc o słabej, niemal żadnej bazie, lecz przy nawrocie do tematu sypnął się zapewniając, że gdyby się w Polsce jeszcze pogorszyło, wolne związki miałyby szanse większe i więcej sympatyków; cóż z tego jednak, skoro przed wyciągnięciem logicznego wniosku, uciekł w gąszcz deklaracji ideowych i zapewnień, że naprawdę 30 lat temu było jeszcze gorzej...

Reakcja w prasie włoskiej? — tylko jedna; włoskie gazety mają zwyczaj pisać o programie telewizyjnym „z góry”, więc dzień wcześniej, lub w dniu nadania, rzadziej po. W *La Stampa*, drugim co do wielkości nakładu dzienniku Italii, stały krytyk telewizyjny w dwóch zdaniach uporał się z tym programem, powiadając że całość robiła wrażenie jakby była przygotowana raczej przez jakąś hipotetyczną telewizję watykańską, niż przez drugi program (który ma opinię lewicowego), zaś o prześladowaniach trudno mówić...

SORDELLO

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

16 stycznia br. naród sowiecki czytał ogłoszone przez wszystkie pisma „Odpowiedzi towarzysza Breżniewa na pytania amerykańskiego pisma *Time*”. Gdyby jednak naród sowiecki mógł czytać także, *Time*, to stwierdziłby ze zdziwieniem, że naród amerykański — który ma możliwość czytania tego pisma — zapoznał się z siedmioma odpowiedziami marszałka Breżniewa, a prasa sowiecka zamieściła tylko 5 odpowiedzi. Dwóch ostatnich nie przepuściła cenzura. Siódme pytanie zostało skonfiskowane, aby nie straszyc narodu sowieckiego: „Pokój — pokój — i jeszcze raz pokój — to nasz główny cel” — oświadczył Generalny Sekretarz KC KPZS i dodał — „Jeśliby choć jedna bomba atomowa wybuchła w jakiegokolwiek części świata, nie wyjdzie to na zdrowie ani dziennikarzom, ani mnie, ani nikomu na świecie”. Słuszne te słowa mogą wywołać strach u każdego. Tym bardziej, że głównym celem Breżniewa okazał się nie zwykły pokój, ale — pokój, pokój i jeszcze raz pokój. Bardziej interesująca jednak jest nieprzepuszczona przez cenzurę odpowiedź na pytanie szóste: „Jak dramatyczne wydarzenia w Kambodży wpłynęły na wasze stosunki z Chinami?”. Breżniew odpowiedział: „Naprawdę jestem już zmęczony mówieniem o Chinach”.

Nie minął miesiąc jak zmęczonemu Generalnemu Sekretarzowi przyszło znów mówić o Chinach. Rozpoczęła się wojna chińsko-wietnamska. Pierwsza wojna, w której każdy z przeciwników ma po swojej stronie jedynie naukową, a zatem jedynie słuszną, ideologię — marksizm. Jak dobrze wiadomo nauka ta jest prawdziwa, gdyż zwycięska, a zwycięska — gdyż prawdziwa. Przebieg wojny — o ile można sądzić po miesiącu walk — potwierdził słuszność marksizmu: zwyciężyły obie strony.

Przyszli historycy pierwszej wojny socjalistycznych Chin z socjalistycznym Wietnamem zająć prawdopodobnie przede wszyst-

kim do prasy sowieckiej z lat 1978-79. I odkryją, że nie było — bo nie mogło być! — wojny między dwoma państwami socjalistycznymi. Maoistowskie Chiny napadły na socjalistyczny Wietnam. Co zaś reprezentują „maoistyczne Chiny” można się dowiedzieć na przykład z artykułu sprawozdawcy *Litieraturnoj Gaziety* (nr 8 z 1979 r.) pt. „Podłość”. „Chiński smok już od wielu lat szczyrzy zęby na Wietnam” — pisze sprawozdawca. Albo: „Chiński smok wbił swoje zęby w ciało Wietnamu”. I tak dalej, wszystkie artystyczne metafory sprawozdawca czerpie ze świata zwierzęcego. Jeśli zaś idzie o wydarzenia poprzedzające wtargnięcie Chin do Wietnamu, to mówi o tym sam Breżniew w nieopublikowanej odpowiedzi *Time*: „Naród Kampuczea stanął do walki przeciw nienawistnemu reżymowi, do walki przeciwko tyranii narzuconej mu z zewnątrz”.

W szachach znany jest termin: p a t. Określa się nim sytuację, w której jeden z partnerów, na którego jest kolej w grze, wie że każdy jego ruch pociąga za sobą straty albo matę. W styczniu Chiny znalazły się właśnie w sytuacji p a t. Okupacja Kambodży przez Wietnam i wyrzucenie z Wietnamu setek tysięcy Wietnamczyków pochodzenia chińskiego zmusiły Chiny do zrobienia ruchu. Prasa sowiecka w końcu ubiegłego roku nagle odkryła, że w Kambodży panuje nie prawdziwy komunizm niszczący wroga klasodziańskich patriotów. Z drugiej strony w Wietnamie, w którym dziwnym zrzędzeniem losu nie było Żydów, łatwo znaleziono ich zastępcę — huacziao. Ludzie sowieccy od razu zrozumieli o co chodzi (nie mówiąc o znanym dźwięku samego słowa), gdy tylko wyjaśniono im, że to „koń trojański”, „piąta kolumna”, wewnętrzny wróg, osoby pochodzenia chińskiego, czyli rasowo obce wietnamskiemu proletariatu.

Chiny znalazły się w sytuacji p a t i wtargnęły do Wietnamu. W rezultacie Związek Sowiecki odniósł wybitne zwycięstwo. Przede wszystkim potwierdził raz jeszcze swoje oddanie „pokojowi, pokojowi”: do Kambodży wtargnęły wojska wietnamskie. Po drugie — co może jeszcze ważniejsze — Chiny wtargnąwszy do Wietnamu, potwierdziły to, co od lat piętnastu twierdzą sowieccy przywódcy na temat chińskiego niebezpieczeństwa. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat sowieccy obywatele, biorący udział w tysiącach wieców organizowanych w całym kraju pod hasłem „Ręce precz od Wietnamu”, mogli wyrazić swoje prawdziwe uczucia: strach przed Chinami.

Strach ten jest starannie podtrzymywany przez propagandę: z początkiem br. prasa sowiecka zamieszczała tygodniowo przeciętnie 50 antychińskich artykułów. Najlepszym świadectwem nastrojów w Związku Sowieckim były zawsze anegdoty. Po raz pierwszy w takiej ilości pojawiły się dowcipy na temat Chin. Wszystkie świadczą o strachu przed przyszłością, jako że mówi się w nich tylko o przyszłości. Zapytują o nią już nie radio Erywań, jak 10 lat temu, ale komputer: Pytają więc: „Jakich

języków obcych należy uczyć dzieci?”. Odpowiedź komputera: „Hebrajskiego dzieci wyjeżdżające, a chińskiego te, które zostają”. Drugie pytanie: „Jaka będzie sytuacja międzynarodowa w roku dwutysięcznym?” Odpowiedź: „Nic nowego — na granicy chińsko-fińskiej panuje spokój”. Najstraszniejsza odpowiedź pada na najważniejsze pytanie: „Ile będzie kosztowało pół litra wódki w 1990 roku?”. „Pięć juanów”.

Napaść Chin na Wietnam zburzyła solidne przekonanie o absolutnej kłamliwości propagandy. O Chinach mówiła prawdę. A oznacza to, że państwo może zażądać od zastraszonych obywateli jeszcze większego wysiłku, mocniejszego zaciśnięcia pasa, uważniejszego przyglądania się sąsiadom w poszukiwaniu dysydentów, syjonistów, Chińczyków. Przy tym nie tylko od obywateli sowieckich żądać się będzie nowych ofiar, ale również od obywateli wszystkich innych krajów socjalistycznych. Prasa jugosłowiańska podała wiadomość, że występując na naradzie przedstawicieli wojsk Paktu Warszawskiego generał Jaszkin, zastępca dowódcy sił zbrojnych Paktu, oświadczył: W obliczu chińskiej agresji Pakt Warszawski gotów jest i zamierza działać kolektywnie jako zbrojne ramię całej socjalistycznej wspólnoty. W obliczu chińskiej agresji niezbędne jest skupienie się wokół Moskwy. Jest to osiągnięcie tego, co *Litieraturnaja Gazieta* w artykule o przyjaźni sowiecko-bułgarskiej określiła jako „szczęście jedności”. Do sowieckich sukcesów zaliczyć należy także klęskę armii wietnamskiej — potrzeba sowieckiej pomocy dla Wietnamu wzrośnie, jak również jego uzależnienie od Kremla.

Wybitne sukcesy odniosła i druga strona — Chiny. Wojny między państwami komunistycznymi otwierają nowy rozdział historii sztuki wojennej: po pierwsze będą to wojny, w których obie strony będą zwycięskie. Drugą cechą wojen komunistycznych jest to, że przeciwnicy świetnie się wzajemnie znają i nie mają żadnych złudzeń. Niedługo przed początkiem wojny Deng Kiaoping oświadczył zagranicznym dziennikarzom: Główną cechą Związku Sowieckiego jest pogardliwy stosunek do słabych i strach przed silnymi. Chiny rozpoczęły działania wojenne celem dania nauczki Wietnamowi i Związkowi Sowieckiemu.

Wietnam został nieco pouczony: wojska chińskie weszły i wyszły kiedy chciały, z lekka przetrzepały armię wietnamską, na zajętych terenach zniszczyły wszystko co tylko mogły i pokazały że brak współczesnej broni można całkowicie zastąpić nieograniczonymi rezerwami żywej siły. Korespondenci zachodni informowali, że kiedy wojska chińskie napotykały pola minowe, dowódcy wysyłali żołnierzy, aby rozbierali miny rękoma. A co najważniejsze: niepohamowane — zdawałoby się — postępy Wietnamu w południowo-wschodniej Azji zostały zatrzymane. Możliwe, że obecnie rozpocznie się ekspansja Chin.

Pierwsza runda konfliktu — który pokazał, że dzisiaj na świecie wszystkie kraje komunistyczne w jednakowej mierze opanowane są duchem permanentnej ekspansji — skończyła się ogół-

nym zwycięstwem. Zwyciężył nawet i Wietnam, oświadczając że znów przegonił agresora.

Władimir Bukowski, sowiecki dysydent wymieniony na sekretarza chilijskiej kompartii Luisa Corvalana, w swojej znakomitej książce „I wiatr powraca...” pisze jak przyjemnie jest czytać prasę sowiecką. Wydarzenia ze świata podawane są następująco: „Stworzono nowe uzdrowisko w Bułgarii — Silny tajfun miał miejsce w Japonii — Robotnicy Uralu przekroczyli plan — Strajki wielu tysięcy robotników we Francji — Obfity urodzaj na Ukrainie — Przeróżające dane statystyczne o wypadkach samochodowych na drogach Ameryki”.

Dzisiaj — po dwóch z kawałkiem latach od chwili kiedy Bukowskiego wyrzucono ze zdrowego więzienia sowieckiego we Władimirze na gnijący i ginący od kryzysu Zachód — pisma sowieckie w dalszym ciągu nie przestają pisać o zwycięstwach „u nas”, a o katastrofach „u nich”.

W tym samym czasie, kiedy smok chiński „wbił zęby w ciało socjalistycznego Wietnamu”, naród sowiecki radośnie przygotował się do wyborów do Rady Najwyższej. 4 marca br. 99,99 %* obywateli ZSSR głosowało, przy czym 99,85 % oddało swe głosy na „blok komunistów i bezpartyjnych”. Trudno powiedzieć, aby ten wynik był zaskoczeniem. Prawo sowieckie — najbardziej demokratyczne w świecie — nie zakazuje wysuwania szeregu kandydatów na delegatów. Ale kandydat jest zawsze tylko jeden. Zresztą, jak czytamy w broszurze wydanej dla cudzoziemców przez Agencję *Nowosti*, w burżuazyjnych krajach demokratycznych, które tak chwala się swoją tak zwaną wolnością, przy wyborach również jest zawsze tylko jeden kandydat. Prawda — w tych krajach bierze udział w wyborach wiele partii, ale każda partia wysuwa tylko jednego kandydata. Partia komunistyczna wysuwa także jednego kandydata. Innych partii nie ma w Związku sowieckim, ponieważ nie są nikomu potrzebne. Wybory — też jak w krajach zachodnich — są całkowicie tajne. Ale towarzysze Breżniew — jak to pokazała telewizja — otrzymawszy formularz wyborczy nie wszedł do kabiny, aby schować się przed narodem: długo czytał formularz i nazwisko kandydata, a następnie na oczach wszystkich złożył go i wrzucił do urny. Zresztą w bieżącym roku nawet dla Breżniewa nie było koperty. Formularze wkładano do urn bez kopert — żeby lepiej było widać.

W komedii wyborczej nie brali udziału jedynie dwaj kosmonauci — głośno z kosmosu oświadczyli, że głosują na towarzysza Breżniewa i na towarzysza Kosygina.

Kampania wyborcza pozwoliła sowieckim przywódcom wystąpić wobec wyborców z przemówieniami politycznymi i potwierdzić istnienie rządów kolektywnych: wszyscy mówili jedno i to

* Nawet przy Stalinie liczba głosujących nigdy nie przekraczała 99,98 %. Breżniew pobił ten rekord, a za 5 lat może go uczynić absolutnym — osiągając 100 %.

samo. Tym niemniej kampania ta nie była całkowicie pozbawiona interesujących akcentów. Jak wiadomo w kolektywnym kierownictwie wszyscy są sobie równi, ale niektórzy są bardziej równi od innych. Kto jest równiejszy można było zorientować się w okresie przygotowań do wyborów. Obywatele sowieccy marzą tylko o jednym — wybrać jako delegatów członków Politbiura — i wysuwają wszędzie ich kandydatury. A w gazetach mówi się kto, gdzie i ile razy został wysunięty. Zwykle podsumowanie pozwala określić kto i jakie miejsce zajmuje w hierarchii sowieckiej. Ostatnie wybory — jak należało oczekiwać — wykazały, że tow. Czernienko stał się bardziej równy od wielu starych członków kolektywnego kierownictwa, zajmując piąte miejsce w hierarchii po Breżniewie, Kosyginie, Susłowie i Kirylenec. Natomiast całkowicie zniknął — nie został wybrany przez sowieckie społeczeństwo — Mikołaj Podgorny, który w 1964 roku razem z Breżniewem i Kosyginem obalił Chruszczowa. W przededniu wyborów różnica między pozostałymi dwoma członkami byłego triumwiratu stała się oczywista. 19 grudnia 1978, dokładnie w rocznicę swoich 72-cha urodzin, Leonid Breżniew otrzymał trzecią Żółtą Gwiazdę Bohatera Pracy Socjalistycznej, 7-my order Lenina i prawo do pomnika w Moskwie; zaś Aleksiej Kosygin, w 75-tą rocznicę urodzin, tanituki order „Rewolucji Październikowej”, który daje się przechodzącym na emeryturę kierownikom kołchozów.

Dekrety w sprawie nagradzania orderami i medalami wydaje Prezydium Rady ZSSR, którego przewodniczącym jest Breżniew. To on poskąpił orderów Kosyginowi. Ale swoją naturalną szczerą przejawiał w stosunku do towarzyszy. 27 grudnia 1978, wręczając order grupie zasłużonych towarzyszy, oświadczył że teraz wykona „jeden z przyjemnych obowiązków” i wręczył naramienniki generała armii wraz z gwiazdami marszałkowskimi Siemionowi Cwigunowi i Wadimowi Matrosowowi. Nowymi generałami armii zostali więc: pierwszy zastępca przewodniczącego KGB — Cwigun i dowódca wojsk pogranicznych — Matrosow. Dotąd byli generał-pułkownikami. Do czasu tej nominacji generałami armii — z nie wojskowych — byli tylko przewodniczący KGB Andropow i minister Spraw Wewnętrznych Szecełokow. O przyczynach awansu dowódcy wojsk pogranicznych można jedynie snuć domysły. Zwycięstwo Siemiona Cwiguna, starego czekisty, a w wolnych chwilach pisarza, stało się jasne po rozstrzelaniu tzw. ormiańskich terrorystów, skazanych za akt terrorystyczny w metrze moskiewskim. 8 lutego br. *Izwestia* znów wróciły do tego błyskotliwego sukcesu KGB — tylko rok poszukiwało terrorystów — publikując list Dmitrija Tiuzina, który nazywa siebie „ofiara wybuchu w metrze”. *Izwestia* podkreślają, że list Tiuzina wybrano z masy „innych otrzymanych przez Redakcję”.

Jest zrozumiałe dlaczego wybór padł na ten właśnie list. „Ofiara wybuchu” przejawia wyjątkową znajomość okoliczności śledz-

stwa, przebiegu procesu sądowego, całkowicie niedostępnego nawet dla rodzin oskarżonych. Tiuzin nie wstydzi się nawet pisać do sowieckiej gazety, że z zagranicznego radia dowiedział się o „oszczerzej działalności akademika Sacharowa”, w wyniku której świat wie o rozstrzelaniu trzech ormiańskich nacjonalistów.

Sukcesy sowieckich organów nie ograniczają się do walki z „terroryzmem” i „oszczerzej działalności akademika Sacharowa”, ale obejmują również walkę z przestępczością. Niestety statystyki sowieckie nie podają w tej dziedzinie żadnych danych. Z rzadka tylko pojawiają się skąpe informacje. Tak np. w listopadzie 1978 roku organ KC gruzińskiej kompartii, *Zaria Wostoka*, poinformował o zebraniu zorganizowanym w KC i poświęconym walce z przestępczością w tej Republice. Na zebraniu wiele było mowy o sukcesach, o tym że przestępczość zmalała, że spadła ilość zabójstw, grabieży, kradzieży, ciężkich uszkodzeń ciała itp. Jednocześnie skonstatowano, że „ogólna sytuacja nadal pozostaje skomplikowana”. Dla jej poprawy KC zdecydowało zorganizować „miesiąc walki z darmozjadami”. Pod określenie to, które weszło do sowieckiego ustawodawstwa jeszcze przy Chruszczowie, podciągnąć można wszystko, co jest wygodne dla sędziów. Tak został zakwalifikowany wybitny poeta Josif Brodskij, skazany na zsyłkę. Do walki z darmozjadami zostali zmobilizowani „wszyscy członkowie partii w przedsiębiorstwach, w fabrykach, na budowach, w kołchozach i sowchozach, pracownicy wymiaru sprawiedliwości, milicji i *drużynnicy*”. Osiągnięto wybitne rezultaty: po „miesiącu walki” ilość darmozjadów zmniejszyła się czterokrotnie.

„Miesiąc walki z darmozjadami” został zorganizowany w Gruzji bynajmniej nie przypadkowo. Tam właśnie kilka lat temu został usunięty ze stanowiska i przeniesiony na emeryturę za ograbianie Republiki I-szy sekretarz KC partii, Mżawanadze. Upadek Mżawanadze niczego nie nauczył przywódców partyjnych. W ostatnich miesiącach Breżniew i Czernienko (albo odwrotnie: Czernienko i Breżniew) czyszczą partyjne stajnie Augiasza, przenosząc sekretarzy z jednego rejonu do drugiego lub raczej — ale rzadko — posyłają ich na emeryturę. Tego dawno już nie było. Breżniew doszedł do władzy, obiecując aparatowi partyjnemu spokojne życie po nieustannych trzęsieniach ziemi ery Chruszczowa. Ale spokój ten zrodził poczucie całkowitej bezkarności. 5 lutego br. *Prawda* w artykule wstępnym podała do wiadomości, że czterech rejonowych sekretarzy partii usunięto ze stanowisk: dwóch na Uralu, jednego w krasnojarskiej obłasti, i jednego w Rostowie nad Donem. Geografia tych zwolnień świadczy po pierwsze o rozpowszechnieniu się tego zjawiska, a po drugie, że cytowanie takich przypadków ma być nauką dla innych. O sekretarzu rejonowym w Rostowie nad Donem organ KC pisze tak: „W sposób ordynarny przekroczył partyjne normy etyczne, nadużywając swoich przywilejów dla celów osobistych, m.in. wybudował wspa- niałą willę za pieniądze kołchozów”.

Wszyscy czytelnicy *Prawdy* wiedzą, że nieszczęsnego sekretarza

rejonowego wybrano jako kozła ofiarnego, ponieważ wszyscy sekretarze budują sobie domy, wille itd., itp. Zresztą jest stare rosyjskie powiedzenie odpowiadające polskiemu: Co wolno wojewodzie... Możliwe, że sekretarz rejonowy partii stał się bezczelny i zaczął kraść tak, jakby był sekretarzem obłasti. Mżawanadze na przykład zgarniał tyle, jakby był generalnym sekretarzem KC. W takich wypadkach winnych biją po palcach, ale nie zanadto boleśnie.

Sukcesy wewnętrznej polityki, walki z terrorystami i darmozjadami nie zamykają oczu sowieckich przywódców na pewne ciągle jeszcze istniejące niedostatki. W styczniu 1978 roku minister gospodarki rolnej, Walentin Miesiac, wyjaśnił na konferencji prasowej, że trudności z dostawą mięsa dla Moskwy (o sytuacji w innych miastach nawet nie próbował mówić) tłumaczą się — jak łatwo można się było domyśleć — zwiększeniem konsumpcji mięsa. Z danych statystycznych wynika, że obywatele sowieccy konsumują nieporównanie więcej mięsa (którego chwilowo nie ma) niż w Europie Zachodniej, cierpiącej na kryzys. Tym niemniej — przyznał odważnie minister — „partia szczerze stwierdza, że należy podjąć wysiłki w dziedzinie hodowli, a w szczególności w dziedzinie produkcji mięsa”.

Tymczasem, nim zostanie podjęty ten „wysiłek w dziedzinie hodowli”, KC KPZS i Rada Ministrów uchwały w lutym br. utworzenie przy przedsiębiorstwach i zakładach przemysłowych „pomocniczych gospodarstw rolnych”. Znaczy to że państwo, przyznając iż nie jest w stanie wykarmić robotników i urzędników, zobowiązuje ich aby sami zaopatrywali się w mięso, mleko i owoce w gospodarstwach utworzonych przy fabrykach i przedsiębiorstwach. Jest to nawrót do systemu, który istniał w ZSSR w latach 30-tych. Ale Stalin zastosował te środki w okresie kolektywizacji, kiedy indywidualne gospodarstwa wiejskie były już naruszone, a kołchozy wciąż jeszcze niczego nie dostarczały. Nawrót do tego systemu dzisiaj oznacza, że po 40-tu latach istnienia, kołchozy i sowchozy nie są w stanie wyżywić społeczeństwa sowieckiego.

Niedawno w Nowym Jorku ukazał się zbiór „Niecenzuralnych czastuszek”, w którym zebrano czastuszki śpiewane przez kołchozników o ich życiu. Wśród nich jest następująca:

*Kogda Lenin umirał, Stalinu nakazywał
Mnogo chleba nie dawaj, miasa nie pokazywaj.*

Następcy Stalina i w tej dziedzinie pozostają wiernymi uczniami Lenina.

Adam KRUCZEK

Chronika zaszczytu praw w SSSR w numerze 32 podaje depezę, wysłaną do KSS „KOR” przez Moskiewską Grupę Współpracy w wykonaniu uchwał w Helsinkach, podpisaną przez Helenę Bonner, Sofię Kallistratową, Małgę Landa, Nauma Mejmana, Wiktora Niekpielowa, Tatię Osipową i Siergieja Polikanowa o następującej treści: „Wasza depeza do akademika Sacharowa, o której dowiedzieliśmy się przez radio, z wyrazami solidarności z ofiarami ostatnich procesów politycznych, które miały miejsce w naszym kraju, wywołała uczucie głębokiej wdzięczności wszystkich bliskich i przyjaciół tak okrutnie i tragicznie skazanych. Jest ona jeszcze jednym potwierdzeniem, że ruchy społeczne w ZSSR, w Polsce, w Czechosłowacji, w NRD i w innych krajach Europy Wschodniej są częścią tego samego ruchu walczącego o przestrzeganie międzynarodowych zobowiązań, podjętych przez rządy naszych krajów,, o prawa człowieka i o pokój”.

Pokłosie wizyty Episkopatu Polski w RFN

Wizyta Delegacji Episkopatu Polski w RFN (20-24. IX. 1978) odbiła się głośnym echem. Skupiła na sobie uwagę nie tylko świata katolickiego ale świata protestanckiego, pobudziła do ciekawych refleksji na temat stosunków polsko-niemieckich i dała okazję do wypowiedzi na temat sytuacji Kościoła w Polsce. Niemcy wreszcie zrozumieli, że uzyskali autentyczny kontakt z polskim narodem, podczas gdy dotychczas stosunki ze wschodnim sąsiadem były ograniczone, z małymi wyjątkami po stronie polskiej, do odkomenderowanych do tego celu aparaczyków. Stąd akcenty autentyzmu, które w uszach niemieckich zabrzmiały jak coś zupełnie nowego i wręcz niespodziewanego. Ponadto wizyta miała przebieg pomyślny ze względu na atmosferę w której przebiegała, jak i z uwagi na szczere wymiany zdań dla których stworzyła korzystne ramy.

Okazało się przy tej okazji, jak wielką wagę moralną reprezentuje dla Niemców problem stosunków z Polską, a zwłaszcza z jej Kościołem i to mimo, że nie zawsze chcą się oni do tego przyznać przed innymi, a nawet i przed samymi sobą. Wszędzie ponadto zgodnie podkreślano, że polscy Kardynałowie wywarli ogromne wrażenie na wszystkich osobach, które się z nimi zetknęły.

Rzecz ciekawa, że i drażliwa kwestia tzw. „Niemców z Polski”, która nie straciła charakteru spornego, ukazała się w dość osobliwym świetle. Tłum który zapełnił Katedrę Kolońską, śpiewał w niej polskie pieśni religijne i wiwatował po zakończeniu nabożeństwa na cześć Prymasa Polski, składał się przecież w znakomitej większości z ludzi tej kategorii. Podobnie stawili się oni licznie w czasie wizyty w Dachau i siłą rzeczy przeżyli z dużym napięciem te podniosłe chwile; oczywiście jako Polacy, związani ze swoim narodem.

Należy jednak podkreślić, że jeżeli cztery dni spędzone przez polskich Biskupów w RFN stanowią ważne i cenne wydarzenie w powojennej historii stosunków polsko-niemieckich, a nawet mogą się stać zwrotnym punktem w tej dziedzinie, to jednak Episkopat zachodnio-niemiecki udziela najwyraź-

niej w dalszym ciągu poparcia tezom prawego skrzydła CDU-CSU w zakresie polityki wschodniej.

Jak się następnie okazało, nadzieje na uregulowanie kwestii spornych były płonne. Co więcej odnosi się obecnie wrażenie, że na forum zagranicznym Episkopat niemiecki zaczyna wzorować się na orientacji Rządu Federalnego, który — świadomy potęgi swego kraju coraz bardziej twardo akcentuje swoje stanowisko i próbuje narzucić własny punkt widzenia partnerom i kontrahentom.

Oto kilka przykładów.

Na odcinku polsko-niemieckim specjalnie ujemny skutek wywiera stałe dofinansowywanie różnych imprez katolickich w Polsce z kasy niemieckiego Episkopatu. Daje się to odczuć via postulat kontroli nad sposobem wydatkowania uzyskanych zasiłków.

Już w czasie wizyty delegacji polskiego Episkopatu nie udało się znaleźć formuły kompromisowej między dwoma diametralnie sprzecznymi postawami: Episkopat polski domagał się możliwości roztoczenia opieki duszpasterskiej nad emigrantami świeżej daty w Niemczech Zachodnich — Episkopat niemiecki odrzucił ten postulat i ze swej strony pretendował do analogicznych kompetencji w stosunku do kandydatów na emigrację, jak długo pozostają oni na terytorium Polski, a zwłaszcza wobec „mniejszości niemieckiej” w Polsce, a to w przewidywaniu, że pewna ilość „Niemców” polskich pozostanie na miejscu, nie wykorzystując prawa przeniesienia się do RFN.

Rzecz ciekawa: na tle chronicznego braku księży w Niemczech Episkopat niemiecki bardzo chętnie widzi „emigrację zarobkową” polskich księży i to nie tylko Ślązaków. Woli jednak by ich praca zaspakajała potrzeby duszpasterskie Niemców z prawdziwego zdarzenia i by nie mieli do czynienia z przesiedleńcami.

Episkopaty doszły do porozumienia tylko w jednym punkcie: strona niemiecka zgodziła się położyć kres tzw. dzięki emigracji i polscy księża nie mogą być obecnie przyjmowani do pracy duszpasterskiej w RFN bez uprzedniej zgody swoich Ordynariuszy.

Kronika niemiecka

Komitet Główny P.P.S. w Niemczech rozpoczął wydawanie biuletynu w języku niemieckim, który zawiera kwartalny wybór artykułów ukazujących się w wychodzącym w Monachium miesięczniku *Przemiany*. Biuletyn jest redagowany przez Jacka Kowalskiego i inż. A. Pieniążka (obaj z Augsburga).

■ Nakładem *Edition Interfrom* (Zürich-Osnabrück) ukazała się książka Stefana Kisielewskiego *Polen — oder die Herrschaft der Dilettanten (Polska — czyli panowanie dyletantów)*. ■ Według realizowanych obecnie planów wszystkie wojskowe samoloty amerykańskie stacjonujące w bazach na terenie RFN będą się znajdować od roku 1981 w specjalnych schronach zabezpieczających je przed zniszczeniem. 318 takich schronów jest już w budowie.

■ Aleksander Kulisiewicz („Alex”), wieloletni więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen zebrał i nagrał ok. 580 pieśni z 34 obozów na 52 tysią-

each metrów taśmy magnetofonowej i utrwalił 150 obozowych kompozycji instrumentalnych. „Polskie pieśni obozowe 1939-45” Kulisiewicz opracował dla Państwowych Wydawnictw Muzycznych, ale wydawnictwo, mimo zawartej umowy zwleka z wydaniem pracy. ■ W Katedrze Gnieźnieńskiej odbyła się uroczystość poświęcenia nowych organów. Katedra otrzymała je w darze od Episkopatu RFN. ■ Prof. Andrzej Tomaszewski (Politechnika Warszawska) odnalazł w zachodniobermberskiej Staatsbibliothek duży zbiór polskich rękopisów, pochodzących z XIII-XVIII wieku. Zbiór jest nieskatologowany i nieznanym badaczom. Zbiór liczący 60 tomów był własnością klasztorną. Przywieziono go do Berlina z Wielkopolski w 1836 roku. Według Tygodnika Powszechnego dokumenty zostaną naniesione na mikrofilmy, które dyrekcja Staatsbibliothek przekaże niebawem do Polski. ■ W Popowie k/Warszawy odbyła się konferencja naukowa, poświęcona prawnym aspektom procesu normalizacji stosunków Polski i RFN, zorganizowana przez Instytut Badania Prawa przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Przedmiotem dyskusji były referaty poświęcone zagadnieniom prawnym, wynikającym z zawarcia układu o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków między PRL i RFN z 7. 12. 1970 r. oraz implikacjom dla systemu prawnego, ustawodawstwa wewnętrznego i obecnej praktyki prawnej RFN. Akcentowano konieczność zapewnienia zgodności ustawodawstwa wewnętrznego Republiki Federalnej z postanowieniami układu PRL-RFN. ■ Miasto Hannover ufundowało dla Centrum Zdrowia Dziecka ambulansy reanimacyjne z pełnym najnowocześniejszym wyposażeniem. ■ Dyrektor firmy Singer w Warszawie Herbert A. Wanior przekazał dyrekcji Centrum Zdrowia Dziecka specjalny automat do frankowania przesyłek pocztowych. ■ J. G. Herder-Institut w Marburgu wydał pracę Oskara Kossmann'a *Die Deutschen in Polen seit der Reformation* (Niemcy w Polsce od czasów reformacji), str. 240 + 7 map. ■ Pewien senator Hamburga: „Marketing to u nas cały przemysł, tego trzeba się uczyć. Dlatego bardzo stawiam na spółki polsko-niemieckie, bo to pozwala Polakom poznać niuanse naszego rynku”. *Warszawska Polityka*: Na spotkanie z Polakami Niemcy „przywieźli plan wycieczki dla 10 polskich specjalistów, który przewidywał m.in. zapoznanie się z organizacją targów w Kolonii, poznanie wydawnictwa ogłoszeń i reklam, wizytę w agencji reklamy i w działach marketingu kilku firm. Polacy propozycje wycieczki odrzucili. ■ Rupert Neudeck, dziennikarz z kolońskiej rozgłośni *Deutschlandfunk* przebywał w Polsce, gdzie zbierał materiały do reportażu o obozie koncentracyjnym w Majdanku. Jednocześnie dla stacji telewizyjnej ARD nakręcił film na temat działalności opozycji demokratycznej w Polsce. Na Okęciu, przed odlotem do RFN, Neudeck został poddany szczegółowej rewizji osobistej. Zabrano mu wszystkie notatki i papiery. Następnie przesłuchiowano go przez cztery godziny. Nakręcone filmy, przekazane inną drogą, dotarły do Kolonii i zostaną pokazane w niemieckiej telewizji. ■ Chadecy posłowie do *Bundestagu* — Norbert Blüm i Wolfgang Voigt przebywali w Polsce na zaproszenie grupy katolików świeckich *Znak*. W wywiadzie udzielonym dziennikowi *Die Welt*, Blüm oświadczył, że żaden szanujący się polityk zachodni-niemiecki nie poddaje w wątpliwość narodowej i państwowej integralności Polski. Politycy CDU prowadzili w Polsce „otwarte i szczerze rozmowy”; jedynie Waclaw Piątkowski, kierownik Wydziału Zagranicznego KC PZPR (do niedawna ambasador PRL w Bonn), swoim „typowo aparatchkowskim zachowaniem — powiedział Blüm — zrobił na nas najgorsze wrażenie”. ■ W dniach 8-11 marca br. odbyło się w Lindenfels (Odenwald, Hesja) dziesiąte sympozjum historyków, literatów i publicystów zajmujących się problematyką polsko-niemiecką. Organizatorem konferencji było *Towarzystwo Badań d/s Współpracy Krajów Środkowej i Wschodniej Europy* (przez — prof. Gotthold Rhode, Moguncja) wspólnie z *Akademią Spraw Politycznych i Zagadnień Współczesnych Fundacji im. Hanns Seidel'a (Monachium)*.

Temat ogólny: *Opozycja i system polityczny w Polsce*. Na sympozjum przybyło 39 osób: 19 Polaków, 14 Niemców, 2 Czechów, 1 Austriaczka, 1 Hindus, 1 Ukrainiec i 1 Węgier. Omawiano i dyskutowano następujące zagadnienia: 1. Opozycja w Polsce w latach 1955-1969; 2. Opozycja w Polsce w latach 1970-1978; 3. Perspektywy ustrojowe i gospodarcze; 4. Świadomość narodowa i historyczna; 5. Stosunek do wschodniego i zachodniego sąsiada; 6. Opozycja w Polsce i ruch dysydencki we Wschodniej Europie; 7. Zachodni komuniści i ruch opozycyjny w PRL. Tematy referowali: Paweł Korzec (Paryż), Csaba Kenéz (Marburg), Andrzej Chilecki (Kolonja), Peter Raina (Berlin), Gotthold Rhode (Moguncja), Andrzej Kawczak (Montreal), Włodzimierz Odojewski (Monachium), Richard Breyer (Marburg), Józef Lewandowski (Uppsala), Vilém Prečan (Edemissen), Alexander Korab-Osadcuk (Berlin), Witold Wirpsza (Berlin), Georg Strobel (Darmstadt), Leopold Unger (Bruksela). Dyskusję podsumował Jerzy Hauptmann (Kansas City). Od piętnastu lat sympozjony w Lindenfels są platformą autentycznego dialogu polsko-niemieckiego, i dobrze się stało, że ten dialog toczy się teraz z udziałem Czechów, Ukraińców i Węgrów.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Reakcja emigracji litewskiej na wybór „polskiego Papieża”, była przez dłuższy czas ostrożna i nieufna. Prócz licznych życiorysów, artykułów o polskim katolicyzmie, podkreślaniu, że kardynał Wojtyła zna komunistów, były też wypowiedzi na temat czego Litwini oczekują: Aby na biskupów byli wyznaczani ludzie godni zaufania i za cenę nominacji nie wchodzili w kompromisy z władzami. Litwie należałoby się kapelusze kardynalskie. Mogłby go nosić biskup emigracyjny, którego autorytet sięgałby kraju, albo przebywający na Litwie. Ale musiałyby to być człowiek twardy, który nie kompromitowałby kościoła. Należałoby wyłączyć arcybiskupstwo wileńskie z prowincji polskiej i stworzyć litewską prowincję; zabezpieczyć prawa legalnej prasy katolickiej i minimalną wolność wyznawania religii; powiększyć seminarium duchowne i wzmocnić audycje litewskie z Watykanu. „O tym nowy Papież powinien wiedzieć i odpowiednio postępować, gdyż tylko konkretne posunięcia przekonają Litwinów, że Głowa Kościoła narodowości polskiej może się wnieść ponad uprzedzenia nacjonalistyczne”.

Lecz po pewnym czasie odezwały się głosy, że obawy zostały rozwiane. O życzliwości papieskiej świadczyły liczne serdeczne wypowiedzi, udzielenie audiencji biskupom litewskim, odwiedzenie kaplicy litewskiej w Rzymie, zapewnienie dane Łozorajtisowi, że „połowa mego serca jest na Litwie”, wyrazy troski o kościół milczenia, i wreszcie rozmowy z Gromyką, rzekomo o utworzeniu litewskiej prowincji kościelnej, po rozmowie z berlińskim kardynałem Bengschem, który odwiedzał Litwę i uchodził za znawcę tamtejszych stosunków.

W prasie i uchwałach emigracji litewskiej wciąż powtarzało się domaga-

nie utworzenia litewskiej prowincji obejmującej Wilno a nawet Królewiec, i w ten sposób wyrównanie krzywdy wyrządzonej Litwie. Gdy sprawa ta stała się aktualna po rozmowach z rządem sowieckim, ukazał się pojedynczy głos ostrzegawczy, że Watykan zawsze zmienia granice prowincji kościelnych po uznaniu za formalne zmian granic państwowych. Cytując przykłady historyczne (Wilno weszło do polskiej prowincji dopiero po zatwierdzeniu granic przez radę ambasadorów, lub dzieje hierarchii na Ziemiach Odzyskanych), autor wywodzi, że zachowanie przedwojennego podziału arcybiskupstwa wileńskiego było oparte na nieuznawaniu zmian terytorialnych dotyczących Polski i Litwy, spowodowanych sowieckim zaborem. Obecnie zadośćuczynienie żądaniom Litwinów będzie związane z nieuznawaniem dawnej republiki litewskiej a uznaniem że dawne kresy polskie, jak też Litwa, są częścią Związku Sowieckiego, z którego granicami pokrywałaby się nowa prowincja. Autor zapytuje, czy o to chodziło, by w odróżnieniu od np. USA, Watykan zatwierdził i uprawomocnił inkorporację Litwy do Związku Sowieckiego?

(Tak to się zdarza, że gwałtowne kampanie nacjonalistyczne na emigracji, gdy zaczynają dawać rezultaty — bywają korzystne dla Sowietów). Ustosunkowanie się Litwinów w kraju do wyboru kardynała Wojtyły było natomiast pozbawione nieufności. Kościoły wileńskie były bardziej przepętnione niż zazwyczaj. Południowo-zachodnia część kraju oglądała uroczystości koronacyjne dzięki polskiej telewizji, a wyraz nastrojom dała, uważana za miarodajną, wypowiedź Kroniki K. K. Litwy:

„Cieszymy się, że pod Waszym kierownictwem kierunek dyplomacji watykańskiej napawa nas głębokim szacunkiem i zaufaniem do Stolicy Apostolskiej, i że nie będzie nas przynębiał ustępkami na rzecz ateistów. Liczne Wasze wypowiedzi były wyrazem troski o uciśnionych i cierpiących za wiarę, zwłaszcza na Litwie. Gratulacje nasze z racji wyboru Jana Pawła II pełne są radości, gdyż jego wybór napędza nas nadzieją. Liczne wypowiedzi świadczą, że Papież troszczy się o uciśnionych i więzionych za wiarę. Doszły wieści o wypowiedzi, że pół serca Papieża jest na Litwie i liczne dowody serdecznego ustosunkowania się do Litwinów. O ile Papież wybierze się do Polski, a może i do Związku Sowieckiego, bardzo byłoby pożądane, aby odwiedził też katolicką Litwę. Bóg wysłuchał naszych modłów, i dzisiaj, jak nigdy przedtem, nie czujemy się zapomniani. Waszym poczynaniom będą i nadal towarzyszyć nasze modlitwy, i będziemy oczekiwać skutecznego porzucenia”.

Obecna sytuacja kościoła katolickiego przedstawia się następująco. Gdy przed wojną było księży około 1.600, teraz jest 711, steranych prześladowaniami, a ich przeciętny wiek to 60 lat. Parafii (i kościołów) jest 628, a było ponad 700. Poza tym zlikwidowano liczne kaplice. Wszystkie zakony są zamknięte, ale ocenia się, że w tajnych zgromadzeniach jest teraz więcej mniszek niż dawniej było legalnych. Biskupów było 11 a jest 5. Dwóch biskupów jest pod aresztem domowym (bez sądu od 16 lat). Z 4-ch seminariów duchownych jest tylko jedno. Przed wojną było około 600 kleryków, po wojnie 30, obecnie 12. Prócz Litwinów został wyświęcony jeden ksiądz Ukrainiec. Za sowieckich rządów został zbudowany jedyny kościół w Kłajpedzie, a i ten został skonfiskowany.

Obsada diecezji zarządzanych przez biskupów tytularnych i wikariuszy kapitulnych jest następująca: Kowno i Wyłkowyszki: Biskup Matulaitis-Łabukas (wiek 85 lat), zastępuje go bp Povilonis (68 lat). Ponieważ — biskup Krikščiuinas (48 lat). Diecezje Koszedary i Telsze nie są obsadzone. Częścią litewską arcybiskupstwa wileńskiego zarządza od niedawna ks. Gutauskas, proboszcz Ostrej Bramy (uważany za ulegającego naciskom), częścią polską — biskup Kisiel, rezydujący w Białymstoku. Biskupi Stepanovičius i Sladkevičius są usunięci od władzy. Rektor seminarium ks. Butkus był

czynny w kongresach pokoju i nadal odgrywa wybitną rolę. Władza biskupów tytularnych jest bardzo ograniczona i spoczywa faktycznie w rękach urzędu dla spraw religijnych. Ilość praktykujących jest oceniana przez kościół na 75 % (a przez rząd na 50 %), w tym chrzczonej dzieci na 50 % i ślubów kościelnych 50 %. O wiele więcej praktykujących jest na wsi a znacznie mniej w miastach.

W ubiegłym roku powstał na Litwie Komitet Obrony Praw Wierzących pod przewodnictwem ks. Swarinskasa, który niegdyś był więziony razem z kardynałem Slipijem. Udzielił on informacji korespondentom zagranicznym w Moskwie, że do komitetu pięcioosobowego wchodzi też prawosławny pop. Ruch oporu miał poparcie rosyjskich dysydentów oraz Żydów. Wierzący na Litwie stopniowo zaczynają działać coraz bardziej jawnie.

To stopniowe ujawnienie zaczęło się od wielotysięcznych petycji w roku 1972, i powstania *Kroniki Kościoła Katolickiego* na Litwie. Pierwszym ustępstwem władz było zezwolenie na wizytę kardynała ze wschodniego Berlina i wzajemne wizyty episkopatu w NRD. Biskupi niemieccy bierzowali w Kownie 8 tysięcy osób. Powstało wiele tajnych organizacji wydających deklaracje oraz samizdatów, których ilość sięga ośmiu. Kierunek tego ruchu został przez władze nazwany „uklerykalnym nacjonalizmem”.

Chociaż pod masową presją, niektóre dotkliwie zarządzenia są stosowane mniej rygorystycznie, to jednak ucisk trwa i oskarżeni o współpracę z *Kroniką* K. K. Litwy siedzą w więzieniach. O żadnym równouprawnieniu wierzących nie może być mowy. Nauczycielkę, która urządziła katolicki pogrzeb zmarłemu synowi, wyrzucono z pracy. W Telszach choinki można było sprzedawać dopiero od 26 grudnia. Dzieci uczęszczające do kościoła są poddawane inwigilacjom i represjom. *Kronika* podaje całe tomy podobnych przykładów.

Teraz dopiero doszły wiadomości o jeszcze jednym samospaleniu. W roku 1976 młody litewski poborowy, Kalinauskas, oblał się benzyną w koszarach i spłonął wołając: „Za Litwę, wolność i Boga! Nie będę wam służył”. W diecezji żmudzkiej zebrano 780 podpisów domagających się równouprawnienia wierzących. Wśród wielu punktów jest — dopuszczenie litewskich wydawnictw religijnych wydawanych na emigracji.

(Czy KOR, ROPCiO i inni wolnościowcy dopominają się dostatecznie głośno dopuszczenia do Kraju piśmiennictwa emigracyjnego, a jeżeli nie to dlaczego?).

W roku 1976/77 pobierało naukę w szkołach ogólnokształcących republiki 538 tysięcy dzieci, w tym 457 tysięcy w języku litewskim, 65 tysięcy w rosyjskim i 16 tysięcy w polskim. W procentach wypada więc 85 na Litwinów, 12 na Rosjan i 3 na Polaków. A że Polaków i Rosjan jest mniej więcej tyleż samo — po 8,5 % — więcej dyskryminacja jest wyraźna.

Według późniejszych wiadomości powstało 98 szkół dwujęzycznych w których pobiera naukę 53 tys. dzieci. Uczniowie kończący wszystkie szkoły średnie powinni dobrze znać w słowie i piśmie język rosyjski. Wpajany jest patriotyzm sowiecki a zwalczany nacjonalizm litewski (i chyba polski).

Jak wiemy, w sowieckich republikach pierwszy sekretarz partii komunistycznej odgrywa rolę raczej reprezentacyjną, a głos decydujący ma jego zastępca przysłany z Moskwy. Na to stanowisko, na miejsce Charasowa, po jedynastu latach został „wybrany” Dybienko, inż. metalurg z Syberii, który ostatnio w centrali partyjnej kierował działem bałtycko-białoruskim.

Niepomyślne warunki klimatyczne w ubiegłym roku spowodowały spadek urodzajów zbóż i pokarmów dla bydła, co wywołało liczne komplikacje, częściowe wymarzenie ozimin, trudności z paliwem i konsekwencje jego braku. Sztynność zarządzeń jeszcze je powiększyło. Np. w tym roku

wprowadzono przymus mundurków w szkołach i dzieci, które poszły do szkoły w sweterkach były odsyłane do domu.

Litwa się zurbanizowała. Obecnie już 58 % ludności mieszka w miastach, a 42 % stanowią „pańszczyźniani” pracownicy w sowchozach i kołchozach. W roku 1950 było na Litwie 4.514 gospodarstw kolektywnych i 130 państwowych majątków — sowchozów. W 26 lat później ilość sowchozów wzrosła trzykrotnie — do 343, kołchozów zmniejszyła się pięciokrotnie do 967, a chat-mieszkań pracowników na roli, sponad 500 tys. do 246 tys. Wypada więc na jeden majątek czy wieś obszar przeciętnie ponad kilka tysięcy hektarów użytków rolnych, bo majątków i skolektywizowanych wsi jest już tylko 1.310. Może taka gospodarka na wielkich latyfundiach jest racjonalna na preriach czy stepach, ale w litewskich warunkach, przy słabej w porównaniu z Zachodem motoryzacji, wydaje się to wątpliwe. Pomimo tego rolnictwo litewskie jest nadal przodujące w Związku Sowieckim. Przychówek bywała wzrasta, ale ludzi się zmniejsza. Ilość urodzin w roku 1960 wynosiła 22,5 pro mille, a w roku 1977 już tylko 15,5.

W ramach uroczystości 400-lecia Uniwersytetu Wileńskiego wydano broszurę w językach rosyjskim i angielskim, trzy-tomowe dzieło w języku litewskim oraz zbiór ważniejszych dokumentów i album architektoniczny. Wydaje się, że prace te będą miały m.in. za zadanie korygowanie polskiego, „feudalnego i jezuickiego” naświetlenia.

Obecnie na uniwersytecie wykłada 83 profesorów oraz 597 docentów i kandydatów nauk. Prócz Litwinów i niewielkiej ilości Rosjan, wśród wykładowców jest jeden Białorusin, jeden Żyd, jeden Ormianin i również jedyna Polka, H. Noniewicz. W roku 1962 było 3,9 tys. studentów, w czym 3,4 tys. Litwinów. Obecnie na trzynastu wydziałach studiuje 16 tysięcy studentów, z czego 9 tys. należy do komsomołu, 5 tys. mieszka w internatach. Uniwersytet ma umowy o współpracy z licznymi uniwersytetami sowieckimi, jak również z krakowskim i Brazzaville, w b. francuskim Kongo. Przy uniwersytecie wileńskim projektowane jest utworzenie muzeum komsomolców. Szkoda, że nie filomatów.

We wrześniu ub. roku odwiedziła Litwę wycieczka 13 polskich pisarzy pod przewodnictwem Putramenta. Wzięli oni udział w otwarciu wystawy polskiej książki i objechali liczne miasta prowincjonalne od Połagi nad Bałtykiem (o której warszawskie czasopismo pisze Połonga, a Litwini nazywają ją Palanga) poprzez Żmudź do Trok i Wilna, urządzając wieczory literackie, spotkania i doznając serdecznego przyjęcia. Stwierdzili oni, że polska książka jest tam wprost rozchwytywana, bo w księgarniach były wykupione a w bibliotekach wypożyczone. (Może były tylko w katalogach?). W republice litewskiej jest podobno 8 polskich szkół średnich. Spośród wszystkich krajów komunistycznych najwięcej tłumaczeń na litewski jest z języka polskiego. W latach 1940-1977 wydano 156 tłumaczeń z polskiego, o łącznym nakładzie dwóch milionów egzemplarzy.

W Chicago ukazuje się nowe litewskie tłumaczenie „Strasznego Dziadunia” Rodziewiczówny.

W Waszyngtonie odbył się zjazd litewskich organizacji. Uczestnicy w liczbie około 250-ciu zostali przyjęci w Białym Domu, grzecznościowo i na krótko przez panią Carter, oraz na pół-godzinnej rozmowie z Brzezińskim. Otrzymał on wydawnictwo *Lithuania 700 years*, i w rozmowie wykazał się wielką znajomością dziejów Litwy. Był też niegdyś w Wilnie. Prócz obszernego wykładu o amerykańskiej polityce zagranicznej, zwierzył się, że gdy jako delegat amerykański wysłuchał przemówienia papieskiego po polsku, jego 14-toletni syn miał do niego pretensję: Tata czemu nie nauczyłeś mnie po polsku?

W USA odbył się zjazd Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK) przy udziale 15 delegacji, z czego 8 ugrupowań nawiązujących do dawnych partii politycznych, kilku ugrupowań ruchu oporu, oraz kłajpedzian i wilińian (wschodniej Litwy). Przewodniczący dr Viliūnas po dwunastoletniej kadencji zapowiedział swe ustąpienie. Siedziba VLIK'u ma być przeniesiona z New Yorku do Chicago. W czasie obrad omawiano przygotowania do konferencji w Madrycie, nie koncentrując zabiegów na USA, lecz rozszerzając akcję na Zachodnią Europę.

Warto zacytować głos prasy emigracyjnej o potrzebie kultywowania przyjaznych stosunków z Niemiecką Republiką Federalną. Szukając obecnie poparcia i sojuszników, trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na Bonn. Przecie nikt z Niemców nie wierzy, że Polska zdoła po wieczne czasy utrzymać swe obecne granice zachodnie. Nadejdzie czas, że nastąpią zmiany granic i wówczas może powstać sprawa niepodległości Litwy. Litwa bez wątpienia będzie poważnie zagrożona przez Polaków i naówczas nasze dobre stosunki z Niemcami mogą być pożyteczne”.

Pismo donosi ponadto, że w Kolonii nabożeństwo w katedrze za umęczoną Litwę przeobraziło się w wielką manifestację przyjaźni litewsko-niemieckiej, a rząd w Bonnłoży rocznie około pół miliona marek na litewskie gimnazjum w Niemczech.

Radio „Głos Ameryki” w swych litewskich audycjach podało tekst deklaracji ROPC'io o solidarności z Litwinami.

Na wciąż pokutujące antypolskie nastawienie Litwinów rzucają światło zwierzchnia pewnego emeryta, że od dziecka słyszał w szkołach o krzywdach wyrządzonych przez Polaków, niedopuszczeniu do koronacji Witolda, narzuceniu Unii Lubelskiej i doprowadzeniu do upadku państwowości litewskiej poprzez rozbiory. Taka jednostronna i emocjonalna interpretacja dziejów, zaważyła na ostatnim półwieczu, toteż dobrze się stało, że litewska agencja informacyjna ELTA ogłosiła, iż ukazało się w Ameryce, w angielskim tłumaczeniu dzieło Pawła Jasienicy pt. „Jagiellonian Poland”. W której autor wyraża pogląd zyskujący ostatnio popularność (na Zachodzie dr W. Zaleski), że unia była bardziej korzystna dla Litwy niż dla Polski. ELTA podaje, że książkę tę można nabyć, w cenie 12,50 dolarów w „American Institut of Polish Culture, 1000, Brickell Ave., Suite 60, Miami, Florida 33131, USA. Starego emeryta ona nie przekona, ale młodsze pokolenie powinno poznać i drugą stronę medalu.

Henryk Sienkiewicz bawił kiedyś przez trzy tygodnie w Wodoktach i Pacunelach wśród szlachty laudańskiej, zadzierzystej i zajadłej, nie dającej sobie w kaszę dmuchać. Późniejsze fakty tę cechę tylko potwierdzały. Za litewskich czasów, gdy zniesiono tam polskie nabożeństwo, zebrał się tłum, a jakiś leciwa parafianka zasiadła do fisharmonii, i by dać wyraz protestowi i łączności również z dzisiejszą Polską, zagrała nie hymn „Boże coś Polskę”, ale „Pierwszą Brygadę”.

Upłynęło pół wieku i znów niesforne Pacunele figurują nie raz w Kronice K. K. Litwy. Jak wiemy (opisywał to ks. Mirecki), w Związku Sowieckim kościoły i sprzęt liturgiczny są własnością państwa, wydzierzawianą komitetowi kościelnemu, który najmuje księdza dla obsługi kościoła. A Pacunele zrobiły wyłom. Przewodniczącym komitetu kościelnego został wybrany jako „najemnik” miejscowy ksiądz. Nastąpiły presje, opłatę dzierżawną za kościół podwyższono prawie trzykrotnie do 812 rubli i przyszedł rozkaz wybrania nowego przewodniczącego. Parafianie odmówili, bo nikt nie troszczy

się o kościół, jak właśnie tylko ksiądz. Naciski się wzmożyły. Działo się to w lutym 1978 roku. Dalsze losy batalii niepokromionej szlachty laudańskiej nie są znane. Pierwsze deportacje w roku 1941 oszczędziły ją, bo mało tam było burżujów.

E. ŻAGIELL

Kronika białoruska

Delegacja Akademii Nauk Białoruskiej SSR wzięła udział w szeszciorocznych uroczystościach w Wilnie z okazji 400-lecia Uniwersytetu Wileńskiego. ■ Propagandowa gazeta sowiecka w języku białoruskim *Hołas Radziny* (Głos Ojczyzny) — drukowana w Mińsku, lecz rozpowszechniana wyłącznie wśród emigracji białoruskiej w wolnym świecie — zamieściła zdjęcie fotograficzne tablicy pamiątkowej, umieszczonej na murze kamienicy Babiča w Wilnie, w której mieściła się drukarnia Franciśka Skaryny. Napis na tablicy w języku litewskim (u góry) i rosyjskim (u dołu) brzmi: „Od 1522 do 1525 roku tutaj, w mieście Vilnius, białoruski oświeceniowiec FRANCISIAK SKARYNA wydał pierwsze drukowane książki na Litwie”. ■ Słynna w przeszłości szkoła w Słucku, a obecnie szkoła średnia Nr 1 (od 1827 do 1918 r. Gimnazjum Słuckie) obchodziła 360-lecie swego istnienia. Wychowankami tej szkoły, założonej równocześnie (w 1617 r.) ze zbozem ewangelickim (kalwińskim) przez księcia Janusza Radziwiłła, byli: filozof i poeta drugiej połowy XVII-go stulecia Jan Białabocki; św. Dymitr (Tuptała), metropolita Rostowski; znany oświeceniowiec Ilia Kapijevič, który na zlecenie cara Piotra Pierwszego, upraszczając alfabet cerkiewno-słowiański (cyrylicę), ułożył tzw. „grażdankę” — alfabet używany dziś przez Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Serbów, Macedończyków, Bułgarów, w Mołdawskiej i Azerbejdżańskiej, republikach sowieckich, w autonomicznych republikach i obwodach RFSRS i w... Mongolskiej Republice Ludowej; pisarz i publicysta Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), w latach 1879-1890 redaktor warszawskiego czasopisma *Kłosa* i (1891-1903) wydawnictwa „Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana”; pisarz białoruski drugiej połowy zeszłego stulecia Alhierd (Olgiard) Abuchovič; prof. medycyny A. Krasowski, prof. astronomii W. Ceraski i inni. ■ Słuchacze Gimnazjum Słuckiego brali czynny udział w powstaniu 1863 roku. ■ Sowiecki pisarz białoruski Vasil Vitka otrzymał międzynarodową nagrodę literacką imienia Hansa Christiana Andersena za książkę dla dzieci „Bajki”. ■ Jak podają wydawane przez radio „Swoboda” „Materiały Samizdata”, białoruski dysydent, Auhien Buzinikau, urodzony w 1938 roku, który już dwa razy był zasądzony na karę więzienia: pierwszy raz za usiłowanie przekroczenia granicy sowiecko-tureckiej, drugi — za stawianie czynnego oporu milicji (w obronie własnej przed milicjantami, gdy wtargnąwszy do jego mieszkania i usiłując przeprowadzić rewizję bez „orderu” zaczęli go bić, chwycił za toporek myśliwski i trzech z nich lekko ranił) i odsiedział łącznie 9 lat, został obecnie po ponownym aresztowaniu jeszcze w maju ub. roku w Świątłahorsku, w obwodzie homelskim, oskarżony o: a) utrzymywanie korespondencji z „inaczej myślącymi” i podawanie w listach do nich wiadomości, zniesławiających ustrój sowiecki; b) słuchanie zagranicznych audycji

radiowych i rozpowszechnianie ich treści; c) o to, że jakoby robił starania o przedrukowanie pracy znanego ukraińskiego dysydenta Mykoły Rudenki. W styczniu 1977 roku Auhien Buzinikau odwiedził akademika Sacharowa w Moskwie, z którym poprzednio utrzymywał korespondencję. Obecnie znajduje się w obwodowym więzieniu śledczym w Homlu. ■ Jak podaje toroński *Białoruski Hołas* (nr 273), białoruscy i ukraińscy pracownicy radia „Swoboda” wyrazili swoje niezadowolenie z powrotu do pracy w radio — w charakterze nadzorca białoruskiej i ukraińskiej sekcji radia — niejakiego Gersa, który był znany jako cenzor, niezezwalający na poruszanie „śliskich” tematów. Podając wiadomość, otrzymaną z Monachium, *Białoruski Hołas* zapytuje: „Czy na długo starczy im odwagi, by wyrażać swoje niezadowolenie, no bo przecież można stracić posadę”. ■ 26 grudnia ub. roku zmarł w Londynie, w wieku 88 lat, o. Jazep Hermanovič (Vincuk Advażny), Marianin, urodzony w Holszanach na Oszmianszczyźnie, białoruski poeta i pisarz, b. długoletni więzień łagrów sowieckich. ■ 11 lutego br. zmarł w N. Jorku, w wieku 67 lat, inż. Mikoła Haroška, prezes Fundacji im. Krećuńskiego, redaktor dwujęzycznego czasopisma *Byelorussian Times*. Zmarły pochodził z Nowogródziny. ■ W dniach 5-9 stycznia br. w Adelajdzie odbył się III-ci Zjazd Białorusinów w Australii.

Włodzimierz BRYLEWSKI

WOLNY MIĘDZYNARODOWY UNIWERSYTET W ACHBERG (RFN)

Z inicjatywy wybitnych przedstawicieli inteligencji rosyjskiej za granicą i w ścisłej współpracy z nimi organizowany jest LETNI KURS ZAJĘĆ ROSYJSKIEGO ODDZIAŁU UNIWERSYTETU.

Kurs ten ma na celu danie słuchaczom, w miarę możliwości, pełnego obrazu: współczesnej Rosji, jej historii, literatury, nauki i sztuki; obecnej sytuacji w różnych dziedzinach nauki; życia sowieckiego społeczeństwa; organizacji sowieckiego aparatu państwowego; struktury zarządzania przemysłem, gospodarką rolną i kulturą; sowieckiego wymiaru sprawiedliwości, milicji i armii sowieckiej.

Oprócz tego będą prowadzone regularne zajęcia z języka rosyjskiego i konwersacja, co da możliwość studentom — sławistom, wykładowcom języka rosyjskiego i tłumaczom, pogłębienia wiedzy o języku.

W pracach kursu wezmą udział: Andrzej Amalrik, Władimir Bukowski, Wiktor Niekrasow, Leonid Pluszcz i inni.

Zajęcia, wykłady i seminaria będą prowadzone przez wysoko wykwalifikowanych wykładowców — profesorów uniwersytetów, a także specjalistów z różnych dziedzin oraz dziennikarzy, pisarzy, historyków, krytyków sztuki.

Początek zajęć: 15 sierpnia br. — koniec: 4 września br. Zajęcia będą prowadzone w budynku Wolnego Międzynarodowego Uniwersytetu w Achberg.

Informacji udziela: p. Wilfrid Heidt, Institut für Sozialforschung — Sieberatsweiler 9 — D 8991 Achberg — RFN.

Zapisy przyjmowane są do dnia 1 lipca br. Słuchacze będą mogli korzystać z pokojów typu hotelowego i z posiłków trzy razy dziennie. Koszt pobytu w jedno- lub dwuosobowym jokoju (łącznie z wyżywieniem) wynosi DM 35,00 na dobę. Koszt pokoju wieloosobowego — DM 25,00 na dobę. Koszt nauki: 3 tygodnie — DM 325,00, 2 tygodnie — DM 250,00, 1 tydzień — DM 175,00.

Kronika kulturalna

Dwaj laureaci «Kultury»

Zygmunt Turkiewicz i Marian Kościółkowski. Wśród artystów polskich na obczyźnie należeli niewątpliwie do najwybitniejszych wcielen energii twórczych i obaj zmarli za wcześnie, w okresie pełnej dojrzałości tych energii.

Dawniej odeszli od nas Piotr Tadeusz Potworowski i Zygmunt Kloś, ostatnio Tadeusz Orłowicz — wszyscy o porównywalnym potencjale... Spośród nich tylko Kloś rozpoczął marsz na drodze sztuki w późniejszym wieku — po pięćdziesiątce — i po wybuchowej erupcji wyjątkowego talentu — odszedł przed ukończeniem 60-ciu lat. Turkiewicz i tamci inni odbyli studia akademickie bezpośrednio przed drugą wojną światową, a najstarszy z nich, Potworowski — jeszcze w latach dwudziestych.

Osobowość malarska Turkiewicza (1913-1973) zaczęła się kształtować w najtrudniejszych chyba warunkach, w obozach zsyłki, takich jak Kozielec... Prawdziwe iskry spod młota. Ukradnę tu zdanie z recenzji Jana Bielatowicza pod tytułem: „Don Kiszot Malarskiej Formy” — „...Więzienia i łagry sowieckie przeżyła garstka polskich malarzy, skupiając się po zwolnieniu pod namiotami odrodzonej Armii Polskiej. Nad tym plutonem objął dowództwo Turkiewicz. Oprócz — pożałuj Boże — prób pracy artystycznej, w okresie tym mogli się przyjrzeć malarze ludowej sztuce uzbeckiej i starej kulturze Buchary”. Zdanie to daje klucz do dekoracyjnego stylu Turkiewicza, który doszedł do pełnego wyrazu dopiero w pierwszych latach siedemdziesiątych naszego wieku, a więc przed samą śmiercią; to jest po trzydziestu latach twórczego zapładniania o którym mówił Bielatowicz. Chcę tu podkreślić dwa zasadnicze wpływy na sztukę Turkiewicza: wymieniony ostatnio wpływ tamtych regionów Wschodu — i tkactwo które artysta studiował w Akademii Warszawskiej pod kierunkiem profesora Czajkowskiego. Sam lubił mówić o sobie: „Jestem przede wszystkim tkaczem”. Ja bym go nazwał — przede wszystkim mistrzem wynajdywanych przez siebie tworzyw materialnych malarskich, których tkackie włókna są w pewnym sen-

nie częścią. Gdy spotkałem się z Zygmuntem po raz pierwszy, w Rzymie, przechodził on oczywiście przez okres wpływów Szkoły Paryskiej-Bonnard'a i Matisse'a (pierwszego w malarstwie — drugiego w rysunku). Wpływy te przeważały w pierwszych latach przyjazdu do Anglii, zwłaszcza w czasie pobytu w „obozach przysposobienia” w Sadbury a później w Kingwood Common, koło Reading. Był to też okres „figuratywności” artysty — i wtedy powstały tak świetne kompozycje jak np. „Don Kiszot” (dziś własność wybitnego grafika — Jana Kępińskiego). Ostatnie 10 lat twórczości Turkiewicza to wyzywanie się w pełnej abstrakcji, której zasadniczą cechą jest wynajdywanie nowych materialnych tworzyw dla swej wizji malarskiej i niejako lepienie z tych wątków świata własnej wyobraźni. Był znakomitym kolorystą. Czasem operował najśmielszymi kontrastami zestawień tonów ciepłych i zimnych, czasem grał ściszonymi gamami wytwornych szarości. Gęsta i szorstka, skamieniała faktura wielkich rozmiarów (a i wagą!) kompozycji wyczarowywała jakby mapy surrealistycznych kontynentów, wyśnionych przez artystę. O twórczości Turkiewicza napisałem dłuższy artykuł w *Kulturze* (Nr 3/185 z 1963 roku) — i treść tej wypowiedzi wydaje mi się aktualna i dziś.

Zygmunt Turkiewicz był, niewątpliwie również wybitnym krytykiem w zakresie sztuk plastycznych. Artykuły krytyczne i recenzje, które pisywał w latach pięćdziesiątych w londyńskim *Zyciu* a później w *Kulturze*, należą — i w znaczeniu kompetencji i oryginalności i w pięknie języka — do najlepszych przykładów naszej prozy krytycznej.

Duchowa postawa artysty w latach ostatnich to niewątpliwie mistycyzm. Wydaje mi się, że wielkie abstrakcje pokazane na wystawie pośmiertnej w galerii POSK-u w Londynie, w styczniu 1978 roku, są wyrazem tej atmosfery duchowej i dopiero teraz zacytam głębiej rozumieć zjawisko sztuki Zygmunta Turkiewicza — głębiej niż gdy pisałem o nim tutaj 15 lat temu.

O Marianie Kościółkowskim pisałem również obszerniej w *Kulturze* (Nr. 1/207-2/208, rok 1965). Myślę że istotną jest wypowiedź Artysty o własnej postawie twórczej, którą streścił przed kontakt z publicznością i stało się sprawą prywatną artysty. Ja natomiast chcę wystawić moje obrazy i chcę, oczywiście, aby one były rozumiane przez odbiorców i dawały im przeżycie. A przecie spotykam się z zupełnym niezrozumieniem i obojętnością. Czy znaczy to że przyjąłem niesłuszną postawę twórczą i że muszę ją zmienić? Ale jak to zrobić? Jak być równocześnie nowoczesnym w sztuce i być rozumianym? Wybrałem dla mojej wizji malarskiej najprostsze przedmioty. I zacząłem przede wszystkim rysować te przedmioty, bo rysunek jest moją najsilniejszą stroną i muszę to wykorzystać. Więc postanowiłem przekształcić te przedmioty w sposób najbardziej mocny i precyzyjny. Leger malował robotników, cyrkowców i martwe natury. Ja

maluję też martwe natury, poszczególne figury ludzkie i ich grupy. Muszę również malować domy, publiczne nowoczesne budynki, życie miejskie, maszyny, wehikuły. Powiniennem odrzucić atmosferę pompy i gestu, bo to fałsz. Oglądałem za dużo wielkich płócien Delacroix, Rubensa, Davida, etc. Moja straszliwa choroba zmusza mnie do rezygnacji z ambitnych projektów, ale nie może mi przecie przeszkodzić w tworzeniu prac delikatnych, subtelných..." (Tłumaczenie wypowiedzi Artysty w angielskim katalogu jego ostatniej wystawy w POSK-u, 12. 2. - 4. 3. 1978).

Wzruszająca — i jakże głęboka — wypowiedź artysty przeczuwającego odejście, a równocześnie dająca najlepszy komentarz i do jego twórczości w ostatnim okresie i do jego struktury duchowej. Dla mnie, który znałem i podziwiałem sztukę Mariana w ciągu przeszło lat trzydziestu, ten ostatni okres mówi o zdumiewającej ewolucji która się dokonała w jego stosunku do sztuki a i w cechach jego charakteru. W okresie rzymskim a i w pierwszych latach w Wielkiej Brytanii, Marian był typowym artystą-rewolucjonistą, pogardzającym wszystkimi autorytetami, wierzącym w nadrzędność własnej wypowiedzi. Było w tym coś naiwnego, a przecie była wokół niego taka aura szczeroci, osobistego uroku i autentyczności arcyzmu, że nie sposób było go nie lubić, nie cenić; było zaś koniecznością przyjmować z humorem wybuchy jego temperamentu i niepokromionej indywidualności.

Po przyjeździe do Anglii w końcu roku 1946 pęd twórczy Mariana, nie stąbnie ani na chwilę, przechodzi przez różne fazy które scharakteryzowałem we wspomnianym wyżej artykule, umieszczonym w *Kulturze* z okazji przyznania mu nagrody. Był to moment pierwszego groźnego kryzysu w zdrowiu artysty. Następny, już śmiertelny, miał nastąpić 12 lat później (1977). Zaszła teraz ogromna zmiana, jeżeli nie w zasadniczym charakterze jego wypowiedzi twórczej — to niewątpliwie w uzewnętrznianiu swego stosunku do otoczenia. Marian stał się bardziej łagodny, daleko mniej agresywny i nawet tolerancyjny. Kto go znał głębiej i dawniej mógł stwierdzić zasadniczą, ukrytą skromność artysty w stosunku do własnych osiągnięć, ale teraz ta skromność była ujawniana wyraźnie i przejawiała się zarówno w ocenie prac własnych jak i kolegów. Nie poufałił się dość często, ale miał też i wybranych przyjaciół. Za wielki zaszczyt i przywilej uważam, że jednym z tych przyjaciół stałem się i ja, co dość mocno kontrastowało z jego dawniejszą, z czasów rzymskich, postawą w stosunku do mnie jako pogardzanego „akademika” (z mocnym niecenzuralnym epitetem). Jakże byłem wzruszony gdy w przedśmiertnych słowach do żony wymienił tylko mnie i jedną ze starszych koleżanek, jako tych których by chciał widzieć przy ostatniej oddawanej Mu przysłudze...

Niespodziewanym wzbogaceniem wizji Mariana Kościółkowskiego w ostatnim okresie twórczości stała się rzeźba. W murze i drzewie. I zdumiewające: marianowe formy w tych twórczych były od razu tak dojrzałe i oryginalne, jakby rozprawił

się z nimi od początku swej wypowiedzi! Były też od razu dwojakie: figuratywne (akty) i abstrakcyjne. Od razu świetne, nowe, wyrafinowane koncepcyjnie i technicznie. Pozostawił setki prac, przede wszystkim rysunków i dzieł malarskich w oleju, temperze, gwaszach i pastelach, kilkadziesiąt rzeźb.

Artykuł ten o dwóch wybitnych twórcach jest zbyt krótki i powierzchowny. Trudno mi było powtarzać tu zasadnicze tezy wartościujące, na które powołuję się wyżej. Obaj artyści liczą się w historii naszej sztuki i powinny ukazać się o nich pełne monografie.

O ile wiem, wysłanie prac Mariana Kościółkowskiego do Kraju jest już uzgodnione między p. Lidią Kościółkowską, żoną artysty, a oficjalnymi przedstawicielami muzeów w kraju. Sprawa właściwego przechowania twórczego dorobku Turkiewicza jest także w toku (zajmuje się tym jego żona Angielka i polscy członkowie jego Rodziny mieszkający w Londynie).

Marian BOHUSZ-SZYSZKO

Nieznany polonik

Do śmierci człowiek się uczy. Znam niby literaturę rosyjską, a zwłaszcza poezję, a teraz okazuje się dowodnie, że to niezupełnie tak. W jednym z zeszytów numerów czasopisma emigracyjnego, wychodzącego w Toronto, *Sowremiennik* (Współczesnik), ukazał się artykuł Galiny Rumiancewej pt. „Polski wiersz hrabiny Rastopczynej”. „Polski” — znaczy o polskiej tematyce. Wprawdzie o Rastopczynej to i owo słyszałem, wiedziałem, że w połowie ubiegłego stulecia sporo drukowała w najważniejszych czasopismach i zdobyła niemałą popularność. I nie tylko. Najwidoczniej była ceniona w kołach literackich, skoro nawet Lermontow, tak bardzo krytyczny i wymagający, poświęcił jej znany utwór liryczny, w którym mówił, że oboje „urodzili się pod tą samą gwiazdą”. Nie sądzę, by to był tylko komplement pod adresem pięknej pani. To wszystko wiedziałem. Ale o istnieniu „polskiego” wiersza dowiedziałem się dopiero teraz. Dzieło się zdobył informacją.

W roku 1846, w „Północnej Pszczole” (coż za tytuł!), wychodzącej w Petersburgu, pod redakcją osławionego Bułgarina, ukazała się ballada w formie dialogu, pt. „Wymuszony związek małżeński”, pióra właśnie hrabiny Rastopczynej, synowej tego gubernatora, który w roku 1812 kazał podpalić Moskwę. Na pierwszy rzut oka rzecz była najzupełniej niewinna. Stary baron skarży się na swoją żonę, że jest „buntownicza”, „niewdzięczna”, „podstępna” i „występna”, że go oskarża i potępia przed całym światem, przeklina jego pochodzenie i herbową tarczę. Żona odpowiada na to w drugiej części wiersza, że jest „więziem, a nie małżonką”, że baron „zabrania jej mówić w ojczystym języku”, że została „oddana w małżeństwo pod przymusem”, a jej „najlepszych sług uwieziono, albo zesłano”.

Gogoł, któremu autorka przeczytała wiersz w rękopisie (oboje przebywali

wtedy w Rzymie), poradził posłać go anonimowo do któregoś z petersburskich czasopism: „Nie rozumieją sensu i wydrukują!”. I tak się stało. Bułgarin nie zrozumiał i wydrukował. Początkowo czytelnicy sądzili, że chodzi o opis prywatnego dramatu niekochającej żony. Mikołaj I, który miał wdech urodzonego żandarma, od razu zrozumiał, że chodzi o Rosję i Polskę i kazał nakład numeru *Północnej Pszczoły* zatrzymać, ale już było za późno. Wiersz rozpowszechniano w licznych odpisach, a zakaz cesarski tylko powiększył jego popularność.

Hrabina Rastopczyna (z domu Suszkowa) była, jak na owe czasy, nastawiona liberalnie, więc także propolsko, bo jedno wynikało z drugiego. Po dwudziestu latach mikołajewskiej satrapii najlepsza część rosyjskiego społeczeństwa miała jej dość i cieszyła się każdym objawem opozycji. Stąd wiersz wywołał sensację i miał olbrzymie powodzenie. Fundamenty carskiego absolutyzmu już były zgniłe, potrzebny był tylko silny wstrząs, którym stała się wojna Krymska. Mikołaj — trzeba mu to obiektywnie przyznać — był człowiekiem z jednej bryły, o żelaznej woli i konsekwencji; kłęk nie chciał przeżyć, jego śmierć była źle zamaskowanym samobójstwem.

Pisze Galina Rumiancewa w komentarzu: „Po przeszło 130-tu latach możemy ze smutkiem stwierdzić, że temat zgnębienia niepokornej Polski przez Rosję jest, niestety, nie mniej aktualny także i dziś, chociaż wiele razy od tamtego czasu zmieniały się na arenie politycznej różne maski, ale gnębiel, którym stał się obecnie komunistyczny olbrzym — ZSSR, po dawnemu z całą hipokryzją zapewnia o swojej, z miłości wynikającej, opiekuńczej misji i, jak stary baron w balladzie Rastopczyny, z nie mniejszą racją mógłby powtórzyć ów, hipokryzją przepojony monolog: „Przyjąłem ją, gdy była bezmądną sierotą, i dałem jej... opiekę, odziałem ją w purpurę i złoto, otoczyłem ją strażą, by jej broniła przed wrogami... ale ona jest wciąż niezadowolona i smutna ta niewdzięczna żona...”.

Czy sensację, wywołaną przez wiersz Rastopczyny, zwłaszcza wielką w kołach petersburskiej arystokracji, do której należała, można uznać za objaw jakiegoś polonifilstwa? Do pewnego stopnia — tak. Było to przecież niemal w przeddzień Wiosny Ludów, idee wolnościowe, mimo sztywnego systemu policyjnego, przenikały z Zachodu, a choć ostry mróz polityczno-społeczny miał jeszcze trwać przez dobrych kilka lat, już zanosilo się na odwilż, która, jako się rzekło, przyszła wraz z kłęską wojenną na krymskich polach i wzgórzach.

Sprawę polską rozdmuchiwał nieustannie Herzen, czytany powszechnie, zarówno w Petersburgu, jak w Moskwie. Dopiero powstanie styczniowe wywołało gwałtowną reakcję nacjonalistyczną. Jednak trzeba przyznać, że nie wszędzie. Gdy Murawjew-Wieszatiel przybył do stolicy i wiadomo było, że przygotowują się dla niego akty hołdownicze, dowódcą placu, księżę Suworow, wydał zakaz brania udziału w tych aktach oficerom petersburskiego garnizonu. Ostro na to zareagował hrabia Goleniszczew-Kutuzow, dość znany ówczesnie, trzeciordny literat. W gniewnym wierszu zarzucił Suworowowi, że postępuje niezgodnie z testamentem „wielkiego dziada” (odpowiedzialnego za rzeź Pragi); tamten Suworow na pewno uczciłby Murawiewa, gdyby żył. Ten konflikt hrabiego z księciem także miał swoją niedwuznaczną wymowę. Utwór Rastopczyny nabrał po dwudziestu prawie latach nowej aktualności.

Sprawa polska jeszcze nie raz odezwie się z większą, czy mniejszą siłą w rosyjskiej literaturze. I różnie to będzie wyglądać, jak różnie wyglądało uprzednio. Nawet pisarze sobie bliscy nie zawsze będą reagować jednakowo. Niewątpliwym polonifilizmem Konstantego Balmonta i Aleksandra Błoka, a w następnym pokoleniu Borysa Pasternaka szedł w parze z wyskokami odmiennego typu. Tak np. Osip Mandelsztam napisał w 1914 roku dość jaskrawo antypolski wiersz, skierowany przeciw Legionom Piłsudskiego. Jakże to? — zapytywał w patriotycznym uniesieniu. — Polacy popierają habsburskiego

orła przeciw Rosji?! Ale Mandelsztam był pod względem politycznym naiwnym dzieckiem i ta naiwność zaprowadziła go z czasem do sowieckiego łagru i tragicznej śmierci w obłąkaniu.

Wracając do Rastopczyny, stwierdzić wypada, że jej rola w rozwoju poezji rosyjskiej wypadła bardzo skromnie. Pani hrabina na pewno traktowała swoje pisarstwo, jako swoiste *hobby*, ale ujmowała czytelników nieudaną szczerością i bezpośredniością uczuć. Bardzo kobiecie, nie wstydziała się wyrażać swego przywiązania do wystawnego życia towarzyskiego, do zabaw i bali. „Jestem tylko kobietą — i gotowa jestem tym się pysznić... Jakże koçam bale! — pozwólcie mi się bawić!”.

Skąd nagle wzięło się to zainteresowanie polską sprawą, nie bardzo wiadomo. Już wspominałem, że hrabina Rastopczyna napisała swój wiersz podczas pobytu w Rzymie, a w ogóle dużo wojażowała. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby stykała się z granicą z polskimi emigrantami, roiło się przecież od nich we wszystkich zachodnioeuropejskich stolicach. Może nawet przyjaźniła się z niektórymi... To, oczywiście, jedynie luźna supozycja, nie oparta na żadnych faktach, ani nawet poszlakach.

Józef ŁOBODOWSKI

WPLATY NA KSIĄŻKĘ STANISŁAWA VINCENZA
„NA WYSOKIEJ POŁONINIE” —
„BARWINKOWY WIANEK”

- | | |
|--|--|
| Edward Kozak — Warren, USA; | JE ks. biskup M. Marusyn — Rzym; |
| Shalom Lindenbaum — Ramat-Gan, Izrael; | Prof. A. Měšťan — Freiburg-in-Breisgau; |
| Z. Konczacki — Halifax, Kanada; | Zygmunt Marzys — Neuchâtel, Szwajcaria; |
| Czesław Miłosz — Berkeley, Kalifornia; | St. Monseu — Flushing, USA; |
| Alicja i Aleksander Hertzowie — Nowy Jork; | N. M. Nebeluk — Kanada; |
| Benedykt Heydenkorn — Toronto, Kanada; | J. Nieciecki — Chicago; |
| Heinz Balmer — Konolfingen, Szwajcaria; | Paul Perroud — Grenoble; |
| Willy Bernhard — Paryż-Villejuif; | Dr Alek Pohl — Braunschweig, RFN; |
| Heidi Buess — Bern; | Anna Pomirko — Chicago; |
| Katarzyna Ciulis — Lackawanna, USA; | Petro Popowycz — Chicago; |
| Maria Eldar — Nowy Jork; | Iwan Rudnyckij — Chicago; |
| Jakub Elefant — Nowy Jork; | Jan Senkiw — Dortmund; |
| Dante Elsner — Londyn; | Samuel Sheps — Genewa; |
| Kurt Gaugler — Utzigen, Szwajcaria; | Emilia Stefurak — Chicago; |
| Paweł Glikson — Jerozolima; | M. N. Sprecher — Heidelberg; |
| Jeanne Hersch — Genewa; | Dr Mirosław Stasik — Rüsselsheim, RFN; |
| Walter Jequier — Lutry sur Lausanne; | Krystyna Świdarska — Melbourne, Australia; |
| JE ks. biskup Kornyljak — Monachium; | Dr Alfred Świerk — Moguncja; |
| Mjr Lloyd Jones — Londyn; | Teodor Tkaczuk — Chicago; |
| Z. M. Łoziński — Londyn; | Bohdan Tkaczuk — Chicago; |
| John Marbach — Neapol; | Tamara i Waclaw Zagórscy — Londyn; |
| | Jan Kluczyński — Grenoble; |
| | K. A. Jeleński — Paryż. |

ZAMIERZENIA WYDAWNICZE
WYDAWCÓW EMIGRACYJNYCH NA ROK 1979

- INSTYTUT LITERACKI, Paryż: trzy numery *Zeszytów Historycznych* (maj, sierpień, listopad); Czesław Miłosz, *Ogród nauk*; Al. Zinowiew, *Świetlana przyszłość*; oraz 5 książek autorów krajowych.
- LIBELLA, Paryż: H. Wereszycki, *Historia polityczna Polski 1864-1918*; Marcin Król, *Style politycznego myślenia*; Roman Zimand, *W nocy od 12 do 5 rano nie spałem* — Dziennik Adama Czerniakowa — próba lektury.
- INSTYTUT POLSKI I MUZEUM im. Gen. SIKORSKIEGO: część 4-ta tomu I-go *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* — Kampania wrześniowa 1939; część 3-cia tomu II-go tejsze pracy — pow. wydanie *Kampanie na obczyźnie*; album *Generał Władysław Sikorski — Premier i Naczelny Wódz*; *Medale i odznaki polskie, Polski dotychczas, bite poza Polską w latach 1937-1977* — opr. Marian J. Brzezicki.
- POLSKA FUNDACJA KULTURALNA, Londyn: Henryk Grynberg, *Życie osobiste*; B. J. Jenne, *Muł don Chucko* (powieść); Wacław Jędrzejewicz *Kronika życia Józefa Piłsudskiego* tom I i tom II (nakład 2-gi); B. Leitgeber, *Bez przesądów i lęku* — Szkicownik dyletanta; S. Sobotkiewicz, *Powracające fale* (powieść); S. Sobotkiewicz, *Mały Józio* (powieść dla młodzieży); seria P.F.K. nr 27: Alf-Tarczyński, *Wspomnienia legionowe*; T. Nowakowski, *Wiza do Hrubieszowa* (powieść); A. Marzecki, *Tym gorzej dla faktów*; J. Stypułkowski, *Dokąd pójdziemy*; F. Wysłouch, *Echa Polesia*.
- Katolicki Ośrodek Wydawniczy VERITAS, Londyn: dalsze trzy tomy *Summy teologicznej* — tom V *Aniołowie, Świat widzialny*; tomy VI i VII — *Człowiek*; Wiktor Skiba, *Na skibach świata*; L. Stańczykowski, *Chłopcy 20 roku; Cudem ocaleni* (praca zbiorowa).
- Księgarnia POLONIA, Chicago, Ill.: Marek Nowakowski, *Tutaj całować nie wolno* (felietony niedrukowane w Polsce); Wojciech Karpiński, *Szkice o wolności* — Sylwetki, wydarzenia i rozważania.

Pragnąc kontynuować „Zamierzenia” prosimy wydawców na emigracji o przysyłanie danych. (Redakcja).

A L B U M

„DROGA ŻYCIA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

zawiera 264 strony tekstów oraz 290 fotografii.
Cena albumu w oprawie polsztywniej — £ 14.00.
Do nabycia w:

Instytut Józefa Piłsudskiego
238-240 King Street, London W6 ORF

Książki

Tylko dla dorosłych

Ostatnia książka Jacka Woźniakowskiego „Czy artyście wolno się żenić?” jest dalszym ciągiem — tyle że wstecz prowadzącym — jego książki „Co się dzieje ze sztuką”. Tamta była zbiorem esejów dotyczącym przemiany obyczajów i poglądów artystycznych od końca XIX wieku do czasów ostatnich (zawiera ona m.in. najbardziej wnikliwe studium o Kapistach na tle ich epoki). W ostatnim tomie autor tropi wszystkie wątki i przemiany obyczajów i poglądów na sztukę od czasów stanisławowskich do późnego romantyzmu.

Dlaczego ta książka jest dla mnie taką niespodzianką? Bo stosunek mój do niej od pierwszego z nią zetknięcia — to znaczy od jej kartkowania, wypadkowego czytania tekstów (przeglądając jednocześnie masę ilustracji jakże ciekawie dobranych), a przeczytaniem i doczytaniem jej do końca — był diametralnie sprzeczny! Jeżeli o tym piszę to dlatego że człowiek kupujący książkę o tytule prawie że frywolnym może, tak samo jak ja, być zaskoczony i nawet odrzucony nie wagą tej książki ale jej stylem tak gęstym, wolnym od wszelkiej łatwizny.

Co do mnie, to ją odrzucałem na początku natrafiwszy na esej o symbolach i alegorii: Freud, Jung, Ricœur i kufer wątków historycznych, filozoficznych, podanych w skrócie, nie na moje zęby, stronicie tak gęsto natkane nazwiskami, tytułami książek, bez jakiegokolwiek szerszej o nich wzmianki, genealogiami. Do prowadziło mnie to do myśli, że tak pisać nie można, że taka erudycja miazdzy tekst. Erudycja z dziedziny sztuki i literatury o sztuce polskiej, angielskiej, niemieckiej, francuskiej stwarza wrażenie, że czytamy encyklopedię!

W pierwszym, jakże ciekawym, esaju o wojażach po Zachodzie w epoce stanisławowskiej, trafiam na najszerzej omawiany dziennik Jana Onufrego Ossolińskiego, dziennik ciekawy jako typowy i bynajmniej nie wybitny, złą francuzczyzną na polecenie ojca pisany, do tego pod przemożnym wpływem wówczas

sławnej książki abbé Coyér, kapelana kawalerii (!), o którym to dziele, tak wówczas popularnym, Woźniakowski wyraża się z bardzo umiarkowanym uznaniem. Otóż z samego początku genealogie i koligacje tegoż Ossolińskiego (bardzo ważne dla osadzenia go w tej a nie innej sferze) zajmują całą stronę, włącznie do ciekawostek genealogicznych powiązań jego ciotki, pani de Leovendal, z Francuzami. Tak samo na początku ostatniego eseju „Czy artyście wolno się żenić?” spodziewałem się, że tu odetchnę i nareszcie się dowiem czy malarzowi wolno się żenić, trafiam na strony gdzie widzę pod rząd wyliczone nazwiska i szeregi dzieł Żmichowskiej, Szwejkowskiego, Kraszewskiego, Tyszyńskiego, Morzkowskiego, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego, Murgera, Champfleury, Baudelaire'a, Norwida, Makowieckiego itd., itd. Uff!

A przecie wgrzyzenie się w te zwały tekstów, diariuszów, książek, wielokrotnie drugo- i trzeciorzędnych, doprowadza — dlatego właśnie, że nie są selekcjonowane pod kątem klasy pisarskiej — do najbardziej interesujących wniosków — bo tu ideal co raz to bruku dotyka i daje dzięki temu widzenie najszersze stosunku społeczeństw pewnej epoki do omawianego tematu, odruchów tej czy innej warstwy społeczeństwa.

Dopiero gdy wczytałem się w tę książkę naprawdę i do końca, odwołać musiałem jeżeli nie wszystkie, to prawie wszystkie krytyki, a cały ładunek myśli, erudycji, kapitalnych powiązań w czasie, wątków jak one powstają w kilku krajach — wszystko to zaczęło mnie nie tylko przejmować, ale zaraziło entuzjazmem.

Od pierwszej części — poświęconej przeważnie podróżom naszych rodaków i wpływom klasycyzmu, neoklasycyzmu, baroku na Polskę na przełomie XVIII i XIX wieku — przechodząc przez rozdziały o symbolu i alegorii dla mnie najtrudniejsze, docieram do rozdziałów poświęconych kilku Anglikom; były one dla mnie pod wielu względami rewelacją.

Od cytatów z dziennika Turnera do nieznanego mi Hazlitta, od myśli Fuseliego do Ruskina, ile mi się nasuwa uwag sięgających szerzej niż sama Anglia.

Tak się zdarzyło, że jednocześnie z czytaniem tej książki obejrzałem w Grand Palais rzadkiej piękności wystawę włoskich tasczystów „I Macchiaioli”. Któż ich zna na świecie? Czy ja jeden mam taką lukę? Przecie ci Toskańczycy, współcześni francuskich impresjonistów, dorównują im w sensie *qualité* malarskiej, wprowadzając w to malarstwo, wówczas również nowoczesne, rzadki element umiaru, który bardziej przypomina najlepsze, rzymskie jeszcze, pejzaże Corota, niż francuskich impresjonistów.

Czytając Woźniakowskiego o sztuce i krytyce angielskiej, patrząc na włoskich malarzy, zdawało mi się, że trzeba by na nowo napisać historię malarstwa XIX wieku. Nic nie ujmując wielkości kolejnych, w Paryżu poczętych rewolucji malarskich — od impresjonizmu poczynając — może Woźniakowski ma rację pi-

sząc o francuskim szowinizmie, który wprost nie widział tego, co poza Francją się działo.

Jeżeli o tym piszę, to że sprawa ta nie tyczy Francji tylko, ale całej generacji polskich artystów, która z Francji wyniosła to co było najlepszego z kultury malarskiej XIX wieku. Patrząc na to może zbyt subiektywnie, przez okulary moich przeżył i bliskich przyjaciół malarzy. Nie tylko te wątki malarstwa włoskiego nie były nam znane, ale dorobek angielski był również w cieniu. Constable naturalnie — chociażby z powodu entuzjazmu jaki budził u Delacroix — został zaliczony i do naszych świętów malarskich i serdecznie znany, ale świadomość prekursorstwa i miary Turnera trafiła do nas z wielkim opóźnieniem. Ruskina zaś — jeżeli o mnie chodzi — odkryłem dopiero przez Prousta, a przecie w latach 1900 i 1901 Warszawa uczciła go dziesięciu tomikami tłumaczeń!

Woźniakowski wylicza szereg książek, studiów o Anglii, wydanych w Polsce w końcu XIX wieku; aż do czasu pierwszej wojny światowej autor naliczył około 20 tytułów polskich książek, studiów i tłumaczeń o sztuce angielskiej. Skąd ten brak zainteresowania tematyką plastyki angielskiej w latach naszej niepodległości?

Rozległość, zadziwiająca bogactwo myśli i kultury malarskiej, dzieła Fuseliego — tego Anglika z wyboru — Turnera i innych nie powstały bynajmniej na pustyni: w latach 1800-1850 wychodziło w Wielkiej Brytanii 30 pism sztuką się zajmujących — 8 tych pism istnieje dotychczas!

Co mnie zaskoczyło najbardziej, to wypowiedzi Turnera wcześniejsze o sto lat od tak do nich podobnych wypowiedzi Cézanne'a (o odnajdywaniu w nietrwałych kształtach natury czystych form trójkąta, koła, sześcianu lub stółka). W innych tekstach pisze Turner o liniach kierunkowych, o „napięciach kierunkowych” — jak pisali nasi futuryści — w innym miejscu o wykorzystaniu wypadku jak taszyści ostatniej doby, ale tu jednak ma Turner chyba Leonarda, i nie tylko jego, za prekursora.

Jakże ciekawy i nieoczekiwany jest Fuseli w swych myślach o sztuce, choć jako do malarza nigdy się do niego nie umiałem przekonać. Przecie Fuseli umarł w 1825 roku, gdy jeszcze na świecie królował w pełni kult wielkich tematów, gdy nawet portret — już nie mówię o martwej — był uważany za sztukę niższą („wracaj szybko do twego Plutarcha” — mówił chyba David, wyrzucając sobie stratę czasu — malowanie portretów).

„Artyści — pisze Fuseli — najbardziej bezsilni, najbardziej wulgarni, najzimniejsi, wybierają zwykle tematy najpotężniejsze, najgodniejsze, najgorętsze...

Ten ma w sobie moc, godność, ogień kto zdoła drobiazgi nasycić znaczeniem”.

Rozdział o Hazlicie daje nam nie tylko wiadomości o jego pismach, ale obraz samego człowieka, jego zdolność do uniesień, bezwzględna bezinteresowność, nacisk na ekspresję w sztuce oraz

jego poglądy na szereg malarzy angielskich, miłość do Hogartha i ironiczną niechęć do Reynoldsa, wówczas u szczytu sławy, którego uważa za „pracowitego kompilatora”.

Jakże pasjonujące są jego spotkania ze Stendhalem, z którym się przyjaźnił, spotkania ich przed „Rzezią w Chios” Delacroix i różne ich oceny. Jeden Hazlitt doczekał się dziś u nas wyboru pism „z celnym postowiem” Krzczakowskiego — jak nam pisze Woźniakowski. Czy ta książka Krzczakowskiego jeszcze istnieje, czy też jak dziesiątki innych najlepszych, jak „Postludia” Mycielskiego, zginęła z powodu zbyt szczupłego nakładu?

Studium o Ruskinie, najdłuższe w dziale angielskim książki Woźniakowskiego, ma jedną tylko wadę — jest za krótkie. Widzimy tutaj wszystkie etapy myśli Ruskina, tematy jego dzieł, urzeczenie Włochami, Wenecją, gotykiem, uczczenie Turnera (Ruskin nie tylko że pisał o Turnerze z entuzjazmem, ale sam skatalogował koło 20 tysięcy jego akwarel dla londyńskiej National Gallery). Czytamy również o głębokim przewrocie moralnym, który przeżył Turner gdy sobie nagle uświadomił, że Londyn, że miasta angielskie, że kopalnie angielskie to wielotysięczne armie głodomorów żyjących z tego co znajdują po śmietnikach. Anglicy ówczesni, zdawałoby się, że tego nie zauważali (tak samo jak my nie zauważamy Trzeciego Świata — dodaje Woźniakowski). Pisze on o walce Turnera o godność człowieka, o walce o najbardziej niebezpiecznych. Trudno uwierzyć, że ten sam człowiek miał jako uczeń swoich, nieraz szalonych, pomysłów Wilde’a i Arnolda, Toybnego, że Stanisław Witkiewicz pisał o nim z zachwytem najwyższym, a Woźniakowski, pisząc o tej fazie jego działalności, wspomina Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta; więcej jeszcze — dwa miesiące przed śmiercią Janusz Korczak, notując książki, o których napisaniu jeszcze marzy, pisze między innymi o projektowanej przez siebie książce o Ruskinie!

Był on nie tylko mistrzem Prousta, ale bez niego może nawet Prousta by nie było. O tym wiedzieliśmy wszyscy czytelnicy Prousta, ale nigdy tego związku najbliższego pokrewieństwa nie odczułem tak silnie, jak czytając w eseju Jacka fragment tłumaczony z Turnera; zdawało mi się, że śnię — przecie to jest Proust! jego styl, jego zdolność wiązania opisu natury z historią, opis cudowny jeziora genewskiego... „bezfalista woda okryta mglistą zasłoną przez Atenę utkaną... światło ranne nadzwyczaj spokojne i niemal bezbarne... które przybiera barwę bursztynu” u stoku Salève i dalej o tej barwie tak delikatnej, w tym samym bursztynowym świetle, w którym jest „nie tyle nawet barwy ile w najbardziej uschłym liściu”. Tekst ten kończy się apoteozą wielkiego plemienia, które rodzi Turnera, „geniusza, który czytał legendy homeryckie o chmurach i patrzył na bogów o brzasaku”. Tu się zatrzymuję, bo chciałbym cytować wszystko.



Bernard de Fallois pisze we wstępie do „Contre Saint-Beuve” Prousta, że wszelkie poznanie musi mieć dwa etapy (*en deux temps*) i dopiero wtedy sąd nasz nabiera jakiegoś wymiaru. Dziś, po wczytaniu się w książkę Jacka Woźniakowskiego, stawiam mu pierwszy zarzut i jedyny poważny: jest za krótki i dlatego tylko czytelnika coraz to przytłacza ilością materiału, ilością wiadomości, tematów i — mówiąc językiem Hazlitta i futurystów — ilością napięć kierunkowych. Ta książka powinna być przynajmniej w dwóch czy trzech tomach, w rozmiarach chociażby „Głósów milczenia” Malraux. Czy jednak można w naszych czasach radia i tak czasochłonnej telewizji marzyć o czytelnikach takich, jakich mieli Hazlitt — który napisał 21 opastych tomów *petitem*, czy Ruskin takich samych tomów ze trzydzieści? Na pewno nie, ale książki tej miary czytelników zawsze znajdą i powinnyby się ukazywać w wielkich nakładach. Mogłoby to mieć niezwykle wpływ na rozwój kultury polskiej, na świadomość jej ciągłości i głębokich związków z kulturą powszechną.

Drugi mój zarzut to tytuł książki, który zwozdi. Prawda, że pod tym względem Woźniakowski ma świetnego prekursora. Znana jest historia wydanej podczas pierwszej wojny światowej w Krakowie książki Boya Żeleńskiego, jego tłumaczenia „Rozprawy o metodzie” Kartezjusza. Boy opatrzył tę książkę opaską „Tylko dla dorosłych” i dzięki niej nakład rozszedł się błyskawicznie, ale, o ile wiem, autor książki „Czy artyście wolno się żenić?” nie miał nigdy sławy autora wierszyków frywolnych, a to właśnie było powodem sukcesu książki Boya.

A jednak i do tytułu książki, którą omawiam, warto by dodać również, ale to najpoważniej — „tylko dla dorosłych”, bo książka ta wymaga nie byle uwagi i pasji, by ją naprawdę przeczytać i przeżyć. Kryje ona w sobie takie bogactwo przemyślane i różnorodnego materiału, że jej czytelnik od pierwszej chwili powinienby wiedzieć, że jest warta stokrotnie więcej niż jej wesoły tytuł zapowiada.

Józef CZAPSKI

Kałasznikow pod choinką

W RFN od 1978 roku coraz częściej odzywają się w prasie i publicznych dyskusjach głosy, domagające się zaprzestania produkcji, a także sprzedaży, wszelkiego rodzaju czołgów, rakiet, bombowców, broni palnej przeróżnego autoramentu i ołowianych żołnierzyków tak chętnie, zwłaszcza jako upominki gwiazdkowe,

kupowanych przez bezmyślnych (a także bynajmniej nie bezmyślnych) dorosłych celem pobudzania i kształtowania „ducha bojowego” ledwo od ziemi nieco odrosłej dziatwy. Protesty, z różnych kręgów społecznych płynące (SPD, związki zawodowe, organizacje kościelne i społeczne) zaczynają wreszcie odnosić skromne sukcesy; ostatnio m.in. pewien producent zabawek w Bawarii otrzymał zakaz sprzedawania na krajowym rynku pistoletów maszynowych, cieszących się do niedawna znacznym powodzeniem. Jedna jaskółka, rzecz jasna, wcale jeszcze nie zwiastuje wiosny, nie mniej wystawy sklepów z zabawkami prezentują obecnie raczej różnorakie zestawy elektrycznych kolejek, zdalnie kierowane żagłówki lub ciężarówki, pluszowe zwierzątka, lub gry, czy układanki. Wewnątrz inaczej to często jeszcze wygląda: zalewano produkowanych, a więc i tanio, a też nadal chętnie kupowanych „przyborów wojenno-wojskowych” — łącznie np. z zestawami do samodzielnego budowania armat lub czołgów, opatrzonych na wskroś jednoznacznie na pudełku obrazkiem bombowca lub czołgu z hitlerowskimi oznaczeniami, a „w tle” ukazujących malowniczo dymiące zgliszczka i ruiny miast — zmienić tylko, by tak rzec, „miejsce postoju”, bo któryż producent lub sprzedawca w imię rozterki moralnej gotów zlekceważyć prawa rynku i... narazić się na poważne straty, jakich niechybnie przysporzy mu cyniczniejszy, a pozbawiony wszelkich skrupułów konkurent? NRD od lat już umiejętnie wykorzystuje w swej prasie te paskudne tendencje krwiożerczych kapitalistów, piętnując je zgodnym chórem. Ostatnio jednak okazało się, że wprowadzona i w tym socjalistycznym kraju od lat sześćdziesiątych produkcja i sprzedaż szybkostrzelnych zabawek, których — pamiętając jeszcze wojenne lata — rodzice kupować raczej nie mieli ochoty, może i powinna zaznać poparcia przez najwyższe, bo partyjno-państwowe instancje.

„Broń w rękę robotnika to coś innego!” — głosiło hasło wystawy, zorganizowanej w kwietniu 1978 roku w muzeum zabawek w Sonnebergu (Turyngia), gdzie „z jednej strony” pokazano „imperialistyczne”, z drugiej zaś „socjalistyczne” *militaria ad usum delphini*.

Wiadomość o tym, a także o wielu innych podobnych zjawiskach przynosi zamieszczony w 10/138 numerze zachodniobermberskiego dziennika *Der Tagesspiegel* (z 18. I. 1979) artykuł V. Freya pt. „Zabawy w wojnę uważane są za wartościowe ze względów pedagogicznych”. Darować sobie można wyliczankę wszelkich czołgów, rakiet, bombowców (*made in ZSSR*) lub automatycznych karabinów (z kijowskiej fabryki „Mir”), jakie tuż przed świętami zapełniały półki największego domu towarowego „Centrum” we wschodnim Berlinie (nawiasem mówiąc chętnie i gęsto odwiedzanego także przez Polaków). „Szlagierem” absolutnym okazał się jednak „grzechocący i syjący iskrami” pistolet maszynowy, marki „Kałasznikow” (produkcji zarówno NRD-owskiej jak i zagranicznej, tj. sowieckiej, fabryki „Junost”), rozchwytywany na przedświątecznym bazarze przy Alexanderplatz tak gorliwie, że

sfrustrowanym rodzicielom, którym się go zdobyć już nie udało uprzejmie ekspedientki doradzały na pocieszenie choćby model czołgu „T-54”, posiadającego ponoć także „znaczące zalety”... pedagogiczne.

„... Na wielu boiskach szkolnych i placach zabaw”, czytamy dalej w tymże artykule, „ustawiono prawdziwe, wyranżerowane czołgi „T-34” i myśliwce „MIG-15” aby — jak pisze partyjna gazeta *Volksstimme* („Głos Ludu”) w Magdeburgu — „tata mógł w niedzielne przedpołudnie dać swoim dzieciom małą lekcję poglądową na temat wojskowej techniki”.

„... W kobiecym czasopiśmie *Für Dich* („Dla Ciebie”) pewna pani (pedagog dyplomowany) domaga się kształtowania „obrazu przyjaciela i wroga” — stosownie do wieku, rzecz jasna — u czteroletnich przedszkolaków, by zapobiec w ten sposób „negatywnemu nastawieniu względem późniejszego, przewojskowego wykształcenia i zaszczytnej służby w Narodowej Armii Ludowej”, które obudzić się może pod wpływem „nieprzyjaznych uwag” odnośnie wojskowych zabawek. Państwowe wydawnictwo „Postreiter” w Halle wydało w tymże celu specjalnie „dla dzieci od lat 3” (trzech lat) składaną i zmywalną książeczkę: „Nasza armia ludowa”, prezentującą w miłych oku, barwnych obrazkach ziejące ogniem czołgi, myśliwce odrzutowe, okręty wojenne, a także strzelców z pistoletami maszynowymi.

Temat „Dziecko i armia” pojawia się w niezliczonych wariantach, w postaci fotografii oraz ilustracji w całej prasie NRD-owskiej — poczynając od pisemka dla przedszkolaków *Bummi*, aż po prasę, przeznaczoną dla „młodych pionierów” i dla dorosłych. Trzyletnie dzieciaki maszerują tam przed frontem kompanii żołnierzy, albo — ozdobione żołnierskimi czapkami — figurują gwoli uciechy na stronie tytułowej. Osławione czasopismo „Stowarzyszenie Sportu i Techniki” pt. *Visier* lubuje się szczególnie w ukazywaniu „Ośmiolatek przy strzelaniu w pozycji leżącej”, regularnie zamieszczając tego typu zdjęcia, przy czym — ponieważ są to konkursy strzeleckie — dzieci muszą m.in. celować także do tarcz, na których umieszczono zarys górnej części ludzkiego ciała.

Podczas kiedy najmłodszy obywatel owej republiki goszczą u siebie już w przedszkolach oficerów sowieckich lub NRD-owskich, uczniowie klas pierwszych odwiedzają niekiedy swe „chrześciane jednostki”, gdzie wolno im się bawić prawdziwą bronią, albo też zachęca się ich by „przynosili do szkolnej świetlicy swoje wojskowe zabawki z domu” (cytat z *Niemieckiej Gazety dla Nauczycieli* w NRD).

„Ramowy” plan zajęć w tych szkolnych świetlicach udziela wręcz wstrząsających wskazówek, odnośnie zabaw wojennych: uczniowie pierwszej klasy powinni już rozwijać w sobie uczucie szacunku dla Narodowej Armii Ludowej” i z tego względu „bawić się czołgami” oraz „wycinać odznaki wojskowe i żołnierskie”. Dostówny cytat z owego „ramowego” planu: „W ciągu pierwszego roku nauki w szkole wykształcić należy ustalone formy

porządku zewnętrznego jak apel, maszerowanie w zwartym szyku, zwroty w lewo i w prawo, meldowanie się", jak również „nabywanie prostych sprawności wojskowych... podczas ćwiczeń w terenie” — na przykład „krycie się i poruszanie w terenie, czołganie się, posuwanie się naprzód w postawie skulonej... zbudowanie małego szańca”. Dla sześciolatek zalecane są następujące ćwiczenia w terenie: „Szukanie agentów, obrona obozu, walka partyzancka, proste ćwiczenia manewrowe”, dla siedmiolatek: „walka o sztandar” oraz „straż graniczna”. Uczniowie klasy trzeciej natomiast mają przy pomocy „podzielonych ról” przygotować się do przyszłej służby w „ludowej armii” prowadząc „ćwiczenia manewrowe w piaskownicy”. Standardowy podręcznik „Zabawa i nauka” (Berlin wschodni, 1977) zaleca ponadto jako „Zabawy w dziedzinie kształcenia wojskowego” takie jeszcze pseudogry, jak np. „myśliwce zaporowe, patrol zwiadowczy, szukanie min, strzelcy wyborowi, artyleria morska” oraz „natarcie”. Jednocześnie budzić należy w młodych obywatelach „uczucia obrzydzenia i nienawiści” wobec „wyzyskiwaczy w RFN” — co również zaleca „ramowy” plan.

W połowie stycznia 1979 przeznaczone dla dziesięcioletków pismo *Die Trommel* („Bęben”) zrównało, w ociekającym nienawiścią artykule Republikę Federalną z Trzecią Rzeszą: „W Republice Federalnej cały naród ogłupia się przemocą już od dziecka. Dojrzeźwa tam naród, po to aby napadać, ograżać i wymordowywać inne narody”.

Dziesięcioletni uczniowie muszą ponadto umieć (oczywiście niezależnie od rozpoczynającego się dopiero od dziewiątej klasy, a wprowadzonego we wrześniu 1978 roku „kształcenia wojskowego”) zgodnie z owym „ramowym” planem — „maszerować równym krokiem i śpiewać pieśni marszowe”, takie na przykład jak dziecinna piosenka: „Żołnierze oto maszerują/Kompania cała przy broni/A my, gdy tylko dorośniemy/Chcemy być tacy, jak oni”.

Mass media i śpiewniki zalecają dzieciom — oprócz pieśni hitlerowskiego barda Hansa Baumanna oraz carskiej pieśni wojennej „Nasz Warjag” („... granaty pieśń nam nad grobem śpiewają...”) również komunistyczną odmianę faszystowskiej piosenki „Als die golden Abendsonne...” („Gdy złote słońce o zachodzie...”).

Co więcej: cierpiący na nostalgię mogą sobie powycinać z wojskowych pism w NRD nawet różne bronie Wehrmachtu. A pismo *Visier*, zajmujące się strzelectwem sportowym, z wyraźną aprobatą opisuje karabiny z okresu pierwszej wojny światowej, oraz Wehrmachtu, zachwycając się „siłą” hitlerowskich pistoletów maszynowych w tym samym tonie, co zaletami elektrycznej maszynki do golenia, szczególnie zaś chwalać w numerze listopadowym fakt wprowadzenia w Wehrmachcie MPi 38/40. Młodzi zbieracze pełnych serii obrazków poszukują w ogłoszeniach w „Przeglądzie Wojskowym” (*Armee-Rundschau*) na przykład „przed wszystkim broni z okresu Niemiec faszystowskich” albo „wszelkich

rodzajów czołgów z lat drugiej wojny światowej” za „dobrą opłatą”. (...).

Ujawniają się tu tendencje i niebezpieczeństwa zagrażające młodzieży we wschodnich Niemczech, które stwierdził już we wrześniu 1978 roku NRD-owski biskup Albrecht Schönherr na synodzie we wschodnim Berlinie, mówiąc o „faszystowskim sposobie myślenia”. Dzieci w NRD bawiły się w „pogrom Żydów” i obrzucały wyzwiskami najemnych robotników oraz gości z Al-gieru i z Polski”.

Tyle bieżących informacji. Komentarze — chyba zbyteczne.

SPECTATOR

Krajowe nowości wydawnicze

HISTORIA LITERATURY

Wiktor WEINTRAUB: *Profecja i profesura*. Mickiewicz, Cichelet i Quinet. Warszawa, 1975, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8^o, str. 169.

Autor, polonista, profesor Uniwersytetu Harvardzkiego (obecnie emerytowany), brał z tytułu swego stanowiska udział w wielu kongresach i konferencjach międzynarodowych i współpracował w obcojęzycznych pismach slawistycznych. Ogromny i bardzo rozproszony dorobek, będący wynikiem tej działalności, został częściowo ujawniony obecnie w Kraju w trzech tomach, z których najdawniejszy („Profecja i profesura”) ukazał się w lecie roku 1975. U podstaw książki tkwił referat pt. „Profecja w Col-lège de France”, wygłoszony w roku 1973 na VII Międzynarodowym Kongresie Sławistów oraz „Quinet i towianizm” z Sympozjum Mickiewiczowskiego w K.U.L-u.

Problemem, łączącym studia o wielkiej trójcy profesorów z Col-lège de France, jest udowodnienie, iż mimo zasadniczych różnic w poglądach, — „wieloznaczność jest z natury wpisana” — byli oni zgodni w wierze w potęgę słowa i możliwość nadawania mu profetycznej siły. Zgodnie z duchem czasu wierzyli w bezpośredni związek słowa i czynu; propagowali obronę wartości czynem, gdy nie wystarczają słowa. Mickiewicz szedł w tym najdalej — wierzył w psychologiczną moc słów i sądził, że podstawowych zagadnień ludzkości nie da się załatwić kierując się tylko i wyłącznie rozumem i logiką. Był, jak wynika z wywodów Weintrauba, najsilniejszą indywidualnością ze słynnej trój-

cy. Michelet widział w nim proroka, „świętego człowieka Wscho-du”, żywą legendę; Quinet „bliski był w pewnym okresie podda-nia się pokusom towianizmu”. Jeśli nawet różnili się w poglądach, Mickiewicz był dla nich „drogim przeciwnikiem”.

Książka Weintrauba oparta jest na opublikowanych w ostat-nich latach dziennikach Micheleta i nowych opracowaniach francuskich jego działalności (Viallaneix, Cadot i in.); wychodzi ponadto szeroko poza wyniki badań prof. Z. L. Zaleskiego, które-go zasługą było wyłowienie ogromnej ilości poloników w pis-mach i biografiach Micheleta i Quineta. Dla Weintrauba są one tylko punktem wyjścia. Uwaga jego jest skupiona na zbieżnoś-ciach i różnicach poglądów uczonych francuskich i Mickiewi-cza. Jest to temat na czasie — niemal równocześnie ukazała się w Kraju praca doktorska Marii Wodzyńskiej pt. „A. Mic-kiewicz i romantyczna filozofia historii w Collège de France” (Warszawa, 1976, PWN). Autorka skupia jednak uwagę nie tyle na fascynacji osobowością Mickiewicza ile na pracach Micheleta i Quineta powstałych przed rokiem 1840, które jej zdaniem „przy-czyniły się do intelektualnej podatności na myśl Mickiewicza, niezależnie od dzielących ich różnic”.

Wiktor WEINTRAUB: *Rzecz czarnoleska*. Kraków, 1977, Wydaw-nictwo Literackie, 8°, str. 387. (W serii: Biblioteka Studiów Lite-rackich pod red. Henryka Markiewicza).

Początki studiów nad Kochanowskim sięgają u Weintrauba r. 1928, gdy jako student Uniwersytetu Jagiellońskiego, ustalił — za namową prof. Ignacego Chrzanowskiego — że pisać będzie dysertację doktorską o stylu Kochanowskiego. Po czterech latach w serii „Prac historyczno-literackich” uczniów prof. Chrzanow-skiego ukazała się książka Weintrauba pt. „Styl Jana Kochanow-skiego”, przynosząca rozprawę dziś już „klasyczną” bez której nie może wystartować żaden poważny badacz twórczości wiel-kiego poety polskiego Renesansu.

Wydana obecnie w Krakowie „Rzecz czarnoleska” przynosi przedruk tej rozprawy w jej pierwotnym kształcie z uzupełnieniami ograniczonymi do zaktualizowania danych bibliograficznych. Do książki weszły ponadto referaty na temat twórczości Kocha-nowskiego, wygłoszone na międzynarodowych zjazdach sławistów i komparatystów oraz artykuły z książek ku czci polskich i obcych uczonych. Są to, oczywiście, teksty trudnodostępne nawet na Zachodzie, nie mówiąc o Kraju. Tu ukazały się w oryginalnych tekstach polskich lub przekładach będących właściwie polskimi wersjami pierwotnych tekstów. Trzy tytuły zasługują na oddziel-ne wymienienie: „Polski i łaciński Kochanowski: dwa oblicza poety”, „Religia Kochanowskiego a polska kultura renesansowa” i „Manifest renesansowy”.

Wiktor WEINTRAUB: *Od Reja do Boya*. Warszawa, 1977 (właś-ciwie 1978), str. 439. Nakład 9.290 egz.

Z głosów dochodzących z Kraju wynika, że referaty zjazdowe prof. Weintrauba były przyjmowane z ogromnym zainteresowa-niem jako wirtuozowskie popisy erudycji — i jasności wypo-wiedzi. Tom szkiców „Od Reja do Boya” potwierdza te opinie z tym jeszcze, że demonstruje wymownie swobodę z jaką uczony harwardzki porusza się po rozległych terenach nie tylko litera-tury ojczystej ale i wielkich literatur świata. Zakres studiów nastrocza jednak pewne zastrzeżenia. Byłoby lepiej, gdyby autor wydał oddzielnie studia staropolskie a w tomie drugim szkice tej wartości, co „Mickiewicz-Bakunin”, „Mickiewicz i Lamena-is” i „Marx, Palmerston i sprawa polska”, oraz obszernie omó-wienia listów Krasińskiego do Adama Sołtana i Jerzego Lubo-mirskiego. Tom trzeci mogłyby wypełnić wspomnienia pośmiert-ne o Kołaczkowskim, Pigioniu, Wędkiewiczzu, Tadeuszu Ziełiń-skim i in.

Wydany obecnie tom otwiera szkic o „starannie wyretuszo-wanym” zyciorysie Reja, przypisywanym Trzeciejskiemu a mają-cym wiele rysów autobiograficznych. Z dalej ogłoszonych szki-ców na szczególną uwagę zasługuje rzecz o „Łacińskim pod-łożu polskiej literatury XVI-go wieku”, przyodziana w bogatą dokumentację, z której wynika, że znajomość języków i literatur obcych, w szczególności francuskiej, włoskiej i hiszpańskiej, była w szesnastowiecznej Polsce bardzo skromna, skoro nawet chlubiący się kontaktami z Ronsardem Kochanowski nie znał francuskiego. Drugim, zasadniczej wartości szkicem jest refe-rat „O niektórych problemach polskiego baroku”. Świadczy on, że Weintraub porusza się w wieku XVII-tym z równą swobodą, jak w szesnastym i wykazuje tendencję do nadania stylowi barokowemu imponującej długowieczności — ok. 200 lat, nie mówiąc o takich przedłużeniach, jak przekonywująco poka-zana przez prof. C. Backvis'a barokowość Słowackiego. Para-doksem w historii tego stylu jest fakt, że najważniejsze utwory rozpowszechniane były za pośrednictwem rękopisów, a pierwsze wydanie przekładu „Jerozolimy Wyzwolonej” Tassa było właści-wie kosarskie.

W wieku XIX-tym uwaga Weintrauba skupia się na Słowac-kim i Krasińskim; Mickiewicz zjawia się na drugim planie (choć jest bohaterem oddzielnej angielskiej książki), bo tylko w omó-wieniu „siły fatalnej” wywieranej na Wyspiańskiego i w podsu-mowaniu mickiewiczianów Boya. Pokazem erudycji jest „Balladyna” czyli zabawa w Szekspira, traktująca arcydzieło Słowac-kiego jako „przykład wspaniałej żywotności formalnej i odkryw-czości polskiego dramatu romantycznego” a nawet „prekursorkę dzisiejszego teatru groteski i absurdu”.

Moje własne zainteresowania Henry Reeve'em, przyjacielem Krasińskiego, sprawiły, że ze szczególną uwagą czytałam rzecz

o „Korespondencji” przyjaciół genewskich i jej wartości literackiej. Brak mi przypomnienia, że do niedawna Reeve traktowany był (z racji współpracy w *Times*’ie) jako konserwatysta i głębszej analizy prób literackich Reeve’a jako źródła pewnych motywów „Nie-Boskiej”. Dotykałam tych spraw w „Krańskim żywym”.

I tu, jak w poprzednich tomach (z wyjątkiem rzeczy o pamiętnikach Aleksandra Fredry) zebrane zostały rozproszone po pismach krajowych i wydawnictwach zagranicznych referaty i artykuły.

Trzy omówione wyżej książki wydane zostały starannie i estetycznie. Wysoko nakładów wskazuje na rosnącą popularność autora: z dwu tysięcy w „Profecji i profesurze” wzrosła do 9.290 w „Od Reja do Boya”.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- GLASS (Henryk). *W pracy i walce*. Zyciorys zesnanstu wybitnych Polaków XX wieku. Str. 299 i 5 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, tom 90 serii czerwonej Biblioteki Polskiej; Londyn, 1978; cena £ 6.20).
- MALIŃSKI (Mieczysław, ks.). *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Wydanie drugie. Str. 221 i 3 nlb. (Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas, Londyn, 1978; cena £ 2.80).
- RODZIEWICZÓWNA (Maria). *Kądział*. Str. 159 i 1 nlb. (Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas, tom Biblioteki *Gazety Niedzielnej*, Londyn, 1978).
- Sól ziemi*. Praca zbiorowa: Teresio Bosco, Guglielmo Boselli, Alexis Carrel, Claudio Mina i inni. Str. 236 i 4 nlb. (Nakładem Księży Marianów, Rzym, 1978).
- Mądrość serca*. Praca zbiorowa: Teresio Bosco, Lorenzo Gaiga, Gian Paola Mina i inni. Str. 207 i 1 nlb. (Nakładem Księży Marianów, Rzym, 1978).
- Antologia poezji spadochronowej*. Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Związek Polskich Spadochroniarzy, Londyn, 1978).
- PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Kamień i muszla*. (Notatnik podróży). Str. 72 i 7 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Biblioteka *Gazety Niedzielnej*, Londyn, 1979).
- PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Muzeum Polskie*. Tom I, Zeszyty I-V. Str. 275 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1978).
- RIABININ (Sergiusz). JÓŻWIK (Zbigniew). *Święty Franciszku*. Str. 184 i 8 nlb. (Nakładem Polskich Prowincji Franciszkańskich, Warszawa-Rzym-Lublin, 1978; cena £ 2.50).
- SKOLIMOWSKI (Henryk). *Medytacje o nędzach cywilizacji technicznej i o blaskach życia ludzkiego*. Str. 86 i 2 nlb. (Wyd. Odnova Ltd., Londyn, 1979).
- SIENIEWICZ (Konrad). *W Polsce po trzydziestu latach*. Str. 62 i 2

- nlb. (Wyd. Odnova Ltd., Londyn, 1978).
- ZABŁOCKI (Janusz). *Tożsamość i siły narodu*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Odnova Ltd., — seria polemiczna „Polska w świecie współczesnym”, zeszyt 5, Londyn, 1978).
- Syrinx. Zeszyt I. Zawartość: Thomas Stearns Eliot — *Poematy*. Przekład i szkic o teorii i praktyce przekładu poetyckiego — Jerzy Niemojowski. Str. 130 i 2 nlb. (Wyd. nakładem prywatnym w Londynie, sierpień 1978).
- Sprawa paszportów konsularnych PRL*. Ulotka wydana przez Kongres Polonii Kanadyjskiej, Zarząd Główny w Toronto, styczeń 1979.
- PROKOP (Jan). *Piękna Węgierka*. Opowiadania. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1978; cena zł 16).
- PROKOP (Jan). *Moja ziemka podróż*. Poezje. Str. 53 i 3 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1978; cena zł 10).
- PROKOP (Jan). *Żywiół wyzwolony*. Studium o poezji Tadeusza Micińskiego. Str. 300 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1978; cena zł 45).
- Mikołaj Kopernik. Studia i materiały sesji kopernikowskiej w KUL 18-19 lutego 1972 roku. Praca zbiorowa pod redakcją Mariana Kurdziałka, Jerzego Rebetę, Stefana Świeżawskiego. Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1973; cena zł 90).
- Verbum (1934-1939) — Pismo i srodowisko*. Tom I — Materiały do monografii. Str. 484. Tom II — Wybór artykułów. Str. 374 i 2 nlb. Opracowanie obu części: Maria Błońska, Maria Kunowska-Porębna, Stefan Sawicki. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1976; cena zł 210).
- KOWALIK (Jan). *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku*. T. I — A-J — str. 299 i 16 nlb. T. II — K-O — str. 245 i 1
- nlb. T. III — P-S — str. 264 i 12 nlb. T. IV — T-Z — str. 224 i 8 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin, 1976; cena 4-ch tomów zł 600).
- Perspectives postmarxistes*, 1978. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. Groupe de Paris, Luzarches, 1979).
- SÉGUENNY (André). *Sébastien Franck et la Philosophie Spirituelle*. (Nadbitka z *Archiv für Geschichte der Philosophie*, 60. Band 1978, Heft 3, str. 293-313).
- GELLA (Aleksander). *Le conflit entre l'élite dirigeante et l'élite culturelle: l'exemple de l'Europe de l'Est*. (Nadbitka z *Revue d'études comparatives est-ouest*, Septembre 1978, vol. 9, No 3, str. 155-168).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *La crise de la culture ou la crise de la rationalité?* (Nadbitka z *Bulletin de la classe des sciences*, 5^e série — Tome LXIV, 1978, 7-8, str. 478-488; wyd. Académie Royale de Belgique).
- MR. X with HENDERSON (Bruce E.) and CYR (C. C.). *Double Eagle*. The Autobiography of a Polish Spy Who Defected to the West. Str. 227 i 1 nlb. (Wyd. The Bobbs-Merrill Company, Inc., Indianapolis (New York, 1979; cena \$ 10,95).
- Poles in America. Bicentennial Essays*. Przedmowa i opracowanie Frank Mocha. Str. 778 i 6 nlb. (Wyd. Worzalla Publishing Company, Sevens Point, Wisc., 1978; cena \$ 17,50 plus \$ 1,20 na koszty przesyłki. Zamówienia wraz należnością należy przysyłać na adres: Dr Frank Mocha, 411 West, 115th St., Apt. 42, New York, N.Y. 10025 lub 73050 Carpenter, Chicago, Ill. 60607).
- COTTAM (Kazimiera Janina). *Bolesław Limanowski (1835-1935) — A Study in Socialism and Nationalism*. Str. 365 i 1 nlb. (Wyd. East European Quarterly, Boulder; distr. by Columbia University Press, New York, 1978; cena \$ 23,10).

**REWELACYJNA KSIĄŻKA W JĘZYKU
ANGIELSKIM**

JANUSZ RAWICZ-KOCHAŃSKI, były podpułkownik wywiadu PRL, pisze pod kryptonimem „Mr. X” o swojej pracy dla reżymu oraz dla CIA.

„Chcę przekazać mym przyjaciołom w Polsce, że winni być nadal silni i kontynuować walkę. Chcę im powiedzieć, że nie żałuję swej decyzji i że moje pragnienie by Polska była wolna jest mocniejsze niż kiedykolwiek”. (PODWÓJNY ORZEŁ, str. 214).

Double Eagle

**THE AUTOBIOGRAPHY OF A POLISH SPY
WHO DEFECTED TO THE WEST**

Mr. X WITH BRUCE E. HENDERSON
AND C. C. CYR

The Bobbs-Merrill Company, Inc.
Indianapolis/New York

Nabyć można za pośrednictwem:

FREE POLAND (WOLNA POLSKA)

P.O. Box 768

New York, New York 10010

Cena wynosi \$ 10,95 plus \$ 1,05 koszty manipulacyjne i pocztowe. Czek lub przekaz na sumę \$ 12,00 (\$ kanad. 14,00) należy wysłać na powyższy adres.

(Non-Profit Corporation Est, 1976 under the laws of District of Columbia, Washington, DC, USA).

Polemiki

„Epitafium”

We wrześniowym numerze *Kultury* zamieszczona została wiadomość, że w Genewie zmarła Iza Landsberger, która w czasie wojny organizowała ośrodki pomocy dla Polaków we Francji, a po wojnie w USA była czynnym członkiem w polskich komitetach opieki nad więźniami politycznymi i wysiedleńcami. A ponadto zajmowała wybitne stanowiska w IRO (International Relief Organization).

A więc normalne wspomnienie pośmiertne, należne każdemu zasłużonemu działaczowi społecznemu, poświęcającemu się pracy charytatywnej. I nie byłoby może nic w tym dziwnego, gdyby rzeczywiście zawsze tak było. Wymienione powyżej organizacje, jak sama nazwa wskazuje i według powszechnie panującego przekonania, powołane zostały i istnieją aby służyć pomocą ludziom w potrzebie, a już w szczególności ludziom najbardziej w czasie ostatniej wojny poszkodowanym. Ale czy zawsze tak istotnie jest? Czy nie zachodzi czasem przypadek przeobrażenia zdarzeń i beatyfikacji ludzi, którzy nie tylko na to nie zasługują, ale... Ale niech mówią fakty.

Otóż na łamach nowojorskiego *Nowego Dziennika* z dnia 21 maja 1977 roku ukazał się reportaż zatytułowany *Na niewolniczym szlaku*, w którym autor w sposób przekonujący i obiektywny, przedstawia przeżycia i losy wielotysięcznej, pozostałej przy życiu rzeszy Polaków, byłych więźniów hitlerowskich obozów zagłady, emigrującej z Niemiec do USA, zwerbowanych i transportowanych przez organizację IRO, na czele której stała Iza Landsberger. Ale, jak się mieli wkrótce przekonać, wpadli nieopatrnie w zastawioną na nich podstępnie pułapkę. Pod zakamufLOWANYM szyldem organizacji charytatywnej było to *de facto*, zamiast pomocy, przetransportowanie z jednego obozu do drugiego, jeszcze straszliwszego.

A oto wstrząsająca relacja z wydarzeń autora reportażu, a jednocześnie naocznego świadka i uczestnika jednego z rejsów „na

niewolniczym szlaku" Bremen-Nowy Orlean pod „opieką” IRO — ks. Henryka Marii Malaka.

„Mało kto wie, że na opuszczonych przez Murzynów, straszliwych plantacjach Luizjany, w opuszczonych 'chatach wujów Tomów', zostały zaprzędane przez IRO, tysiące Polaków — wychodźców powojennych...”.

Na małym stateczku, zupełnie nieprzystosowanym do transoceanicznych podróży, obliczonym na 700 osób, upchnięto ponad 2 tysiące osób. W tym dzieci, kobiety i mężczyźni o różnych zawodach: profesorowie, księża, b. oficerowie, b. żołnierze. I to w najbardziej burzliwym okresie na tym szlaku. Potworna ciasnota w warunkach higienicznych, urągających najbardziej prymitywnym wymaganiom. A oto relacja, z tej, 16 dni trwającej, podróży:

„Gdy po kilku dniach straszny cyklon rozszalał się na Atlantyku, schorowani polscy emigranci śnili o 'obiecanej amerykańskiej ziemi', nie przeczuwając, że już byli sprzedani magnatom-plantatorom. Nad tą dwutysięczną, schorowaną gromadą przyszłych niewolników, stał z ramienia IRO *team* złożony ze stu policjantów z pałkami... A na czele *team*'u stała starsza 'irówka' w mundurze, dosłownie pani życia i udręczenia. Przyłgnęło do niej przezwisko 'ESMANKA'. Szczególnie nienawidzi Polaków, których zazwyczaj wybiera do brudnej pracy. A na opornych czekało więzienie. Przeżywalimy lata wojny w obozach koncentracyjnych, ale nie pływalimy w takim dosłownie gnoju, jak na statku organizacji IRO, wiozącym nas do kraju osławionej wolności”.

Ano jak wiadomo najbardziej się nienawidzi tych, których się krzywdzi. A jak potoczyły się dalsze losy polskich uchodźców po latach wojennych przeżyć w obozach koncentracyjnych w Niemczech, już po wyładowaniu w upragnionej Ameryce, których już w drodze zaprzęgnięto do niewolniczej pracy, aby nie odwykli od nałożonej im już raz obroży. A oto dalszy ciąg opowieści:

„Właściwy rozdział tragedii zaczął się dopiero z momentem wyładowania w Luizjanie. Po drugiej wojnie światowej utonąła tam masa Polaków. Magnatom-plantatorom nadarzyła się znakomita okazja — wysiedleńcy z obozów z terenu zwyciężonych Niemiec. Minęło już od tamtych chwil ćwierćwiecze. Po plantacjach Luizjany hieleją kości tysięcy i tysięcy powojennych wychodźców. Tylko nielicznym z młodego pokolenia udało się nocami przedrzeć z bagien Luizjany do innych skupisk polonijnych. Owe ucieczki to akty heroiczne, wywołane rozpaczą. Magnaci — plantatorzy, którzy mieli na swe usługi szeryfów, policję i inne... czynniki społeczne, polowali na uciekinierów Polaków jak na zbrodniarzy za to, że samowolnie usiłowali zmienić miejsce pracy. Wielu doprowadzono w kajdanach z powrotem. Ilu z nich zostało zastrzelonych NIGDY się nikt nie dowie, gdyż zadławiła te wypadki wszechwładza magnatów-plantatorów”.

Po wyładowaniu w miejscu, skąd nie było ucieczki, kompletnie odizolowani od reszty świata przez „pracodawców”, mogli jedy-

nie liczyć na pomoc swych rodaków w Ameryce. A jak wyglądała owa pomoc organizacji polonijnych, na brak których w Ameryce narzekać nie można, i ich czynników społecznych. Ano posłuchajmy:

„W latach pięćdziesiątych i następnych usiłowałem zwrócić uwagę na ten tragiczny odcinek polskiej emigracji do Stanów, naszych polonijnych czynników organizacyjnych. Niestety natrafiłem na mur obojętności, lekceważenia i przemilczenia. POLONIJNE ORGANIZACJE nie uczyniły dla owych tysięcy Polaków, rozrzuconych w potwornych warunkach po plantacjach pomurzyńskich Luizjany — dosłownie NIC. Petycje zanoszone do polonijnych organizacji w sprawie naszych współbraci, zamienionych po plantacjach Luizjany w białych niewolników, albo zostały całkowicie bez odpowiedzi, albo przyniosły odpowiedzi negatywne, że organizacje te nie mają żadnych możliwości do wkroczenia w te zagadnienia. Niestety! Owcześnie prasa polonijna, którą usiłowałem włączyć w to zagadnienie, także je przemilczała”.

Są to tylko wyjątki z tej ponurej opowieści. I w tej jej części należy postawić pytanie. W jakim celu powołane są organizacje polonijne z prasą włącznie, która jest podobno potęgą na Zachodzie? Czy po to, aby biernie przyglądać się występkom i zbrodniom i zachować milczenie?

Wymowne to milczenie, żenujące i nieludzkie, ale jednocześnie pouczające. I dlatego obecnie należałoby bardziej szczegółowo przyjrzeć się ludziom, wykazującym ciągotki w kierunku nadmiernego uspołecznienia, a którzy pod usypiającym czujność szyldem różnych organizacji społecznych, podjęli się roli, najobrzydliwszych jakich zna historia, oprawców. Należy i trzeba być wyrozumiałym i wielkodusznym i nie stosować w odwecie broni swoich wrogów i nie robić użytku ze stosowanych przez nich metod. Ale mamy obowiązek wobec naszego społeczeństwa i kraju, wszystkich tych oprawców znaleźć i wszystkich postawić przed sądem. Obojętnie żywych czy umarłych. Sądzić, jeśli ich już nie można, to ich zbrodnie. Biernie przyglądanie się występkom i milczeniu jest jednoznaczne z ich aprobatą, jest zachętą dla złoczyńców do dalszego ich popełniania. Wydaje to w przyszłości, jak uczy historia, obfite plony. Zło winno podlegać karze, a nie być środkiem do zapewnienia sobie dobrobytu, różnych społeczników spod najciemniejszej gwiazdy, których się namnożyło jak grzybów po deszczu po ostatniej wojnie. Nie może być miejsca na usprawiedliwianie ludzi stojących na czele zbrodniczych organizacji i to zazwyczaj biorących czynny udział w kilku naraz. Oznacza to uchwyt nieograniczonej władzy i zależności przez osobników, którzy uwili sobie ciepłe gniazdko przede wszystkim pod egidą organizacji filantropijnych czy religijnych, jak — chociażby ostatnio jeszcze jeden przykład — twórcy „świętyni ludu” w Gujanie. Każdy winien mieć takie „epitafium” na jakie zasłużył.

J. P. WAWRZYŃSKA

KRAJ — BLOK WSCHODNI

20-2-79

Silne wiatry połączone z opadami śnieżnymi sparaliżowały wszelką komunikację w całej Polsce północnej i centralnej. Zablokowana została większość linii kolejowych i dróg; w tym główne szlaki międzynarodowe, przechodzące przez Polskę. W zaspach utknęło tysiąc kilkaset autobusów, na drogach porzucono setki samochodów osobowych, z trudem ewakuowano pasażerów pociągów osobowych i z trudem też dowożono opał do elektrowni i elektrociepłowni. Odwołano większość pociągów dalekobieżnych, wstrzymano powrót młodzieży z obozów zimowych. Dziesiątki tysięcy ludzi przekopywało się przez zasy (Tygodnik Powszechny). ■ Wyniszczanie lasów w PRL. W 1978 roku, mimo ustalenia wyrębu lasów na 17,7 mln. metrów sześciennych drewna, wycięto 20,3 mln. m³. Podobna sytuacja jest i w br. Lasów powyżej 80 lat — tak zwanych drzewostawów rębnych — jest zaledwie 16,6%. Jednocześnie ma miejsce niesłychane marnotrawstwo drewna. W 1977 roku 800 tys. m³ drewna zostało w lesie z powodu braku transportu. Tak samo katastrofalnie wygląda obróbka drewna. Ze 100 m³ pozostaje zaledwie 20 m³ wyrobów. ■ Warszawska Polityka podaje informację o wywiadzie doc. K. Doktora z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, w którym stwierdza on, że w gospodarce narodowej zatrudnionych jest około 800 tys. nominalnych kierowników, samych dyrektorów naczelnych jest ponad 100 tys. Trzeba zaznaczyć, że pęd do obejmowania stanowisk kierowniczych jest spowodowany m.in. awansem „płacowym”.

25-2-79

W ciągu najbliższych czterech lat 500 wykładowców polskich podejmie pracę w wyższych uczelniach Algierii. Pierwsza grupa uda się tam we wrześniu bież. roku. Będą oni głównie prowadzić zajęcia z dziedziny mechaniki, technologii i nauk politycznych.

2-3-79

Prezes Rady Ministrów PRL, P. Jaroszewicz, mianował nowe prezydium Komitetu Nagród Państwowych. Przewodniczącym został nadal prof. Janusz Groszkowski, sekretarzem — prof. Dyonizy Smoleński. ■ Dopiero teraz w prasie angielskiej pojawiła się wiadomość o liście, jaki Jan Paweł II wystosował nazajutrz po intronizacji do węgierskiego kardynała Laszlo Lekai, arcybiskupa Esztergom. Po długim okresie zwłoki list został odczytany we wszystkich kościołach węgierskich i wydrukowany w Tygodniku Katolickim. Papież pisze w nim o związkach kulturalnych i historycznych między Węgrami i Polską, oraz o obowiązkach Kościoła w obronie godności człowieka i „szlachetnego ducha wolności”.

3-3-79

PAP donosi, że „zgodnie z życzeniem Papieża Jana Pawła II w sprawie odwiedzenia jego ojczyzny ustalony został termin Jego podróży. Dostojny Gość odwiedzi w dniach 2-10 czerwca 1979 r. Warszawę, Gniezno, Częstochowę i Kraków”. ■ W Bibliotece „Spotkań” ukazała się w nakładzie 480 egzemplarzy książka Bogdana Madeja pt. „Polska w orbicie Związku Radzieckiego”.

5-3-79

Opozycjoniści w Czechosłowacji stworzyli Fundusz Pomocy dla przesiedlonych działaczy Karty 77 i ich rodzin. Na Fundusz ten będą składane pie-

niądze otrzymywane z Zachodu i z kraju. Zarządzać nim będzie trzech rzeczników ruchu: Jiri Hajek, Ladislav Hejdamek, Vaclav Havel. ■ Zachodni korespondenci w Pradze otrzymali pierwszy numer pisma samizdatowego pod nazwą *Polska i my*. Ma to być miesięcznik, informujący o polskich sprawach politycznych i kulturalnych. „Jeśli — piszą redaktorzy — niezależne inicjatywy obywatelskie we Wschodniej Europie chcą zachować swoją żywotność, muszą rozwinąć szerszą współpracę zarówno w kraju jak za granicą”.

10-3-79

Papież mianował biskupem ordynariuszem diecezji szczecińsko-kamińskiej ks. bpa Kazimierza Majdańskiego, dotychczasowego sufragana i wikariusza generalnego diecezji wrocławskiej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-12-78

Walne zebranie Związku Polaków w Austrii wybrało zarząd na okres 1979/80 rok. Prezesem został nadal K. F. Knap.

5-2-79

Zinaida Szachowskaja, redaktor *Russkoj Mysli* i znana pisarka, została wybrana na honorowego członka Rzymskiej Akademii Nauk (dział literatury).

8-2-79

W Sztokholmie zmarł, w wieku 88 lat, szwedzki przemysłowiec Sven Norrman, przed Drugą Wojną Światową reprezentant koncernu ASEA w Polsce. W latach drugiej wojny Norrman odegrał dużą rolę jako jeden z kurierów zagranicznych Armii Krajowej i Delegata Rządu R.P. Norrman był odznaczony Komandorią Odrodzenia Polski i Krzyżem Armii Krajowej.

25-2-79

Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej w Londynie wybrał jednogłośnie na przewodniczącą partii p. Lidję Ciołkoszową.

28-2-79

W teatrze „Athenaeum 77” w Kopenhadze odbyła się premiera sztuki Aleksandra Forda „Doktor Korczak”. W roli tytułowej wystąpił Władysław Sheybal.

1-3-79

Fundusz Inwalidów A.K. i Pomocy na Kraj im. gen. T. Bora-Komorowskiego podaje w swym sprawozdaniu, że wpływy za rok ubiegły wyniosły £ 1.199.77. Jeśli idzie o wydatki, to pomoc dla Kraju wyniosła £ 1.662.47, £ 1.773.53. Niedobór został pokryty z zasobów Funduszu. Od lat 20-tu Fundusz pracuje w tym samym składzie personalnym. ■ Na wiosnę bież. roku ZASP zamierza wystawić sztukę Jana Pawła II w londyńskim POSK-u. Sztuka ta została już nadana przez radio rzymskie pt. „La bottega del orrefice”. ■ W Szwecji jest wyświetlany film „Keisaren” („Cesarz”). Jest to historia polskich robotników rolnych, przybyłych do Szwecji przed wojną na tzw. saksy. ■ Szwedzki minister Spraw Zagranicznych, Hans Blix, w czasie debaty parlamentarnej wezwał obywateli szwedzkich, którym od-

mówiono wjazdu do Polski, aby zgłosili się do MSZ. Blix stwierdził, że jakkolwiek na razie rząd nie nosi się z zamiarem wypowiedzenia umowy o zniesieniu wiz między Szwecją a PRL, to jednak „złe wykonywanie umowy przez stronę polską obciąża nasze stosunki z Polską”. Minister stwierdził, że władze Polski zobowiązały się do każdorazowego wytłumaczenia odmowy wjazdu, co nie zostało dotrzymane. ■ Na skutek interwencji Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji dyrekcja szwedzkiej telewizji usunęła z serialu „Holocaust” drażliwe i nieprawdziwe sceny filmu, obrażające godność narodu polskiego. ■ Wyborcy francuscy, pochodzący z Europy Wschodniej na zebraniu w Musée Social wysunęli kandydaturę Jerzego Jankowskiego, redaktora *La Pologne en Europe* i przewodniczącego l'Union des Fédéralistes Polonais do Parlamentu europejskiego.

4-3-79

Zmarł w Argentynie, w wieku 81 lat, gen. Wacław Jacyna, ostatni dowódca V-tej wileńskiej brygady piechoty.

10-3-79

Zmarł w Londynie, w wieku 78 lat, Mieczysław Thugutt, znany działacz Stronnictwa Ludowego.

14-3-79

Przystąpiono do nakręcania filmu z jednego z opowiadań „izraelskich” Marka Hłaski. Film będzie się nazywał *Abakarow*. Producentem jest spółdzielnia niemiecko-amerykańska, reżyserem Wolf Wollmar, rolę tytułową ma zagrać znany aktor izraelski Topol, preliminarz budżetowy wynosi trzy i pół miliona dolarów.

1-4-79

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie organizuje „Tydzień Kultury Polskiej” i 15-lecie POSK-u w dniach 16-22 kwietnia br.

15-3-79

Została ogłoszona pierwsza encyklika Jana Pawła II „Redemptor hominis” (Zbawiciel człowieka). Encyklika składa się z 4-ch części. Pierwsza, nosząca tytuł „Spuścizna”, nawiązuje do nauki Kościoła dotyczącej odkupienia człowieka przez Chrystusa; druga część omawia samą treść nauki Kościoła o Zbawieniu; trzecia nosi tytuł „Człowiek odkupiony i jego sytuacja”, a czwarta: „Misja Kościoła i przeznaczenie człowieka”.

23-3-79

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Irena Sławińska wygłosiła odczyt pt.: „40-lecie Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie”.

24-3-79

Prezydent R.P. na Emigracji, Stanisław Ostrowski, ustępuje ze swego stanowiska po 7-mioletniej kadencji wyznaczając na swego następcę amb. Edwarda Racyńskiego. Przekazanie funkcji ma nastąpić 8 kwietnia 1979.

30-3-79

Otwarcie wystawy Józefa Czapskiego w Galerie PLEXUS w Chexbres (Szwajcaria). Wystawa będzie trwała do 3 maja 1979. ■ Stowarzyszenie Polsko-Ukraińskie zorganizowało w Foyer Polonais w Paryżu wieczór na temat „Polacy i Ukraińcy w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych”, w którym wzięli udział red. Benedykt Heydenkorn z Toronto i prof. Mychajło Chomiak.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Grupa amerykańskich kongresmenów wysunęła propozycję, by pokojową Nagrodę Nobla za rok 1979 przyznano pięciu komitetom społecznym powołanym do przestrzegania uchwał w Helsinkach. Mianowicie: rosyjskiemu, ukraińskiemu, litewskiemu, ormiańskiemu i gruzińskiemu. Ciekawe, że Polska została opuszczona. ■ 12. 2. 1979 zmarł w Nowym Jorku, w wieku 90 lat, gen. Pawło Szandruk, bliski współpracownik Głównego Atamana S. Petlury, pod którego rozkazami brał udział w wyprawie na Kijów i w Bitwie Warszawskiej. Po traktacie ryskim służył w armii polskiej jako jeden z kontraktowych oficerów ukraińskich w stopniu podpułkownika. Pawło Szandruk pracował w Wojskowym Biurze Historycznym jako kierownik tajnej komórki sztabowej, przygotowującej ewentualną odbudowę ukraińskich sił zbrojnych w oparciu o Polskę. W kampanii Wrześniowej był szefem sztabu 29-tej brygady piechoty, a w dniach 20-29 września faktycznie dowodził brygadą w walkach pod Zamościem. Po wojnie został za to odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. Na kilka miesięcy przed końcem wojny gen. Szandruk za zgodą Niemców stworzył pod swoim dowództwem ukraińską Armię Narodową. Oddziały tej Armii zostały przeprowadzone przez linię frontu i internowane przez Anglików i Amerykanów. Po zakończeniu wojny szereg komisji alianckich dla badania zbrodni wojennych — w tym i polska — przeprowadzały dochodzenia wśród internowanych. Dochodzenia te — z braku dowodów — zostały umorzone i w ten sposób oddziały ukraińskie uniknęły wydania ich w ręce sowieckie. ■ 11. 3. 1978 powstał w Stanach Zjednoczonych 50-cioosobowy Komitet Kontroli Helsinek. Na jego czele stanął Robert Bernstein, dyrektor wielkiego wydawnictwa *Random House*. Z bardziej znanych osobistości w skład Komitetu wchodzi: Arthur Goldberg, Kenneth Clark, John Hersey, Arthur Miller i Jerome Wiesner. Liczna grupa wydawców amerykańskich złożyła oświadczenie, że nie weźmie udziału we wrześniowych Targach Książki w Moskwie, jeżeli władze sowieckie nie zwolnią pisarza ukraińskiego, Mykoły Rudenko, skazanego na 7 lat więzienia i 5 zesłania. 2.400 uczonych amerykańskich, w tym 13 laureatów Nobla, zapowiedziało przerwanie współpracy naukowej z ZSSR, jeżeli nie zostaną zwolnieni Jurij Orłow i Anatol Szczarański. ■ W związku z zapowiedzianym ukazaniem się przekładów tomu poezji Wacława Iwaniuka w wyd. Hunslow Press w Toronto (Kanada) — Nowojorski Uniwersytet Stanowy w Albany, N.Y. (USA) zorganizował w dn. 7. 3. 1979, w ramach wydziałów Angielskiego i Języków Słowiańskich, Popołudnie Poetyckie recytacji wierszy Wacława Iwaniuka. Popołudnie zagał profesor Wydziału Angielskiego, Jeff Berman. Słowo wstępne wygłosiła prof. Alicja Iwańska.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Australijska Polonia jest najmłodszą, gdyż właściwie powstała dopiero po drugiej wojnie światowej. W okresie istnienia Polski niepodległej liczba polskich imigrantów w Australii wynosiła zaledwie kilkaset osób.

Główny napływ Polaków na tym kontynencie rozpoczął się w pierwszych latach powojennych z obozów wysiedleńców i byłych jeńców wojennych na terenie Zachodnich Niemiec (przybyło w tym okresie około 60 tys.). W tych mniej więcej latach przyjechało również kilka tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Od 1956 roku,

Australia stała się bardzo atrakcyjnym krajem osiedlenia dla osób emigrujących z Polski (oblicza się na kilkanaście tysięcy przyływ tej najnowszej emigracji). Ogółem szacuje się, w pewnym przybliżeniu, obecny stan ilościowy polskiej grupy etnicznej w Australii na około 135 tysięcy. Oficjalne statystyki australijskie wykazują liczbę naszej grupy etnicznej zredukowaną do połowy, ponieważ opierają się jedynie na miejscu urodzenia tj. Polsce (nie uwzględniając m.in. 12 tys. Polaków przybyłych do Australii a urodzonych w obozach wysiedleńców w Niemczech, oraz oczywiście dużej już liczby urodzonych w Australii).

Biorąc pod uwagę, iż rok 1950 stanowił zakończenie największego napływu Polaków do Australii, można przyjąć, że australijska Polonia liczy sobie zaledwie 29 lat, będąc nie tylko najmłodszym ale i najbogatszym skupieniem polskiej diaspory.

Powstała w roku 1950 Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii jest centralną reprezentacją australijskiej Polonii (olbrzymia większość organizacji i klubów należy do Rady). Koordynuje ona działalność życia organizacyjnego i nadaje kierunek ideologiczny polskiej grupie etnicznej, który od samego powstania Rady jest zdecydowanie niepodległościowy. Ostatni, z kolei XVIII, walny zjazd delegatów Rady Naczelnej, jaki odbył się w Melbourne w dniach 27-29 stycznia br., można powiedzieć, iż otworzył nowy rozdział w życiu australijskiej Polonii.

Do prezydium Rady Naczelnej po raz pierwszy zostały wybrane w większej liczbie osoby z młodszego i średniego pokolenia. Na kluczową pozycję prezesa został wybrany Krzysztof Łańcucki (lat 43), dotychczasowy prezes Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, z ukończonymi studiami w Australii i długoletnim doświadczeniem w pracy społecznej. Wybrano go znaczną większością głosów; otrzymał 84 na 115. Dalszy skład nowego prezydium przedstawia się następująco: I-szy wiceprezes i referent statystyki australijskiej Polonii — Franciszek Gumółka; wydział Polonii Wolnego Świata — dotychczasowy prezes Rady Naczelnej — Eugeniusz Hardy; sekretarz generalny i dział prawny — Ludwik Lica; sekretariat wewnętrzny — Maria Drzymulska; skarbnik — Roman Winiarski; wydział młodzieżowy — Piotr Kozieł; referat ideologiczno-informacyjny — Andrzej Szczygielski; referat informacyjno-prasowy — Tomasz Ostrowski.

Godne uznania jest utworzenie tak bardzo potrzebnych działów: młodzieżowego, statystycznego i Polonii Wolnego Świata. Zapowiada się także, iż nowe prezydium Rady przyjmie w szerszym niż dotychczas zakresie działalność niepodległościową i przy współpracy z Ośrodkiem Rządowym (w Londynie), będzie akceptowało istnienie Federacji Ruchów Demokratycznych i Polskiego Zjednoczenia Narodowego. Wyrazem podkreślenia więzi z krajem jest uchwała zjazdu prowadzenia we wszystkich stanach Australii stałej akcji zbiorkowej na rzecz ruchów demokratycznych w Polsce.

Przeniesienie, w wyniku wyborów, siedziby prezydium do Melbourne zwiększy sprawność komunikowania się z większą ilością organizacji, szczególnie w promieniu Sydney, Adelaide, Canberra, Hobart, gdzie koncentruje się największe nasilenie działalności polonijnej. A w Australii położenie geograficzne urasta do wielkiego problemu, gdyż obszar tego państwa równa się około 3/4 powierzchni Europy. Wybór Melbourne ma również symboliczne znaczenie, gdyż miasto to uważane jest za stolicę polskiej młodzieży w Australii; tu bowiem prowadzone są największe akcje młodzieżowe, obejmujące największą liczbę młodzieży.

Jerzy GROT-KWASNIEWSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej wydał i rozesłał ulotkę zatytułowaną „Sprawa paszportów konsularnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, w której stwierdza, że pewna ilość Polaków, obywateli kanadyjskich oraz członków organizacji społecznych należących do Kongresu, posiada również paszporty konsularne PRL. Zarząd Główny KPK stwierdza, że aczkolwiek ustawodawstwo kaandyjskie zezwala na podwójne obywatelstwo, to jednak korzystanie z paszportów konsularnych PRL w podróżach do Polski nie da się pogodzić ani z lojalnością wobec Kanady, ani z podstawowymi zasadami ideologicznymi obowiązującymi organizacje członkowskie; posiadanie paszportu PRL oznacza bowiem uznanie władz tego państwa i przyjęcie wobec nich zobowiązań. „... Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej wzywa wszystkich Polaków, którzy przyjęli obywatelstwo kanadyjskie, aby wystrzegali się przyjmowania paszportu konsularnego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. ■ Komitet Organizacyjny zjazdu „Polonia 78 — Polonia Jutra” ogłosił sprawozdanie finansowe za okres od 1 listopada 1977 do 31 października 1978 roku. Przychody wniosły łącznie \$143.670, a złożyły się na to następujące wpływy: zbiórka sum indywidualnych, parafialnych i organizacyjnych — \$59.622, sprzedaż biletów na przedstawienia, wystawa filatelistyczna, bankiet, dochód z ogłoszeń zamieszczanych w programie — \$43.642; subwencje: rząd prowincji Ontario — \$22.771, rząd federalny — \$15.000. Wydatki wyniosły łącznie \$122.448. Nadwyżkę w wysokości \$21.222 wpłacono na potrzeby Światowej Rady Koordynacyjnej Polonii. ■ Do Komitetu konkursowego w Toronto wpłynęło około 40 projektów Pomnika Katyńskiego. Koszt jego wzniesienia obliczany jest w granicach \$150.000 — jest to bardzo ostrożny szacunek. Zbiórka publiczna rozpoczęła się, a wraz z nowym apelem opublikowano skład Komitetu Honorowego budowy pomnika. Ze strony kanadyjskiej na jego liście znajdują się politycy wszystkich szczebli, wśród których przeważają konserwatyści; liberałów reprezentuje min. Cafik. ■ Rząd federalny przyznał \$300.000 na katedrę Studiów Węgierskich w University of Toronto. Drugie \$300.000 złożyła społeczność węgierska. Rząd gotów jest przyznać podobne subwencje każdej grupie etnicznej, która przeznaczy odpowiednie sumy na powołanie placówek naukowych na wyższych uczelniach. Grupa ukraińska, wbrew zapowiedziom i oczekiwaniom, nie zdołała jeszcze zebrać \$300.000, wymaganych dla uzyskania subwencji rządowej i zorganizowania katedry ukrainoznawstwa w Toronto. Wyłoniły się także pewne nieporozumienia między organizatorami akcji zbiorkowej. ■ W Toronto zostanie uruchomiona pierwsza wielojęzyczna stacja telewizyjna. Państwowa Komisja Radia i Telewizji oraz Telekomunikacji udzieliła licencji na okres do 31. 3. 1983 r. Danowi Ianuzzi, założycielowi jedyne w Kanadzie dziennika włoskiego *Corriere Canadese*. 60% programu musi być w językach innych niż angielski i francuski, a program anglojęzyczny nie może zawierać programów przygotowanych dla celów handlowych dla stacji amerykańskich. Ianuzzi prowadzi rozmowy z przedstawicielami wszystkich grup etnicznych w Toronto celem zapewnienia pomocy i współpracy. Stacja wielojęzyczna ma zostać uruchomiona w styczniu 1980 roku. W pierwszym okresie ma nadawać programy w 24 językach, a później w 32. Jest to oczywiście impreza handlowa i jej byt zależeć będzie od uzyskania odpowiednich „sponsorów”, reklamujących swoją produkcję. ■ Fundacja im. Tarasa Szewczenki w Winnipeg przyznała w bieżącym roku budżetowym 1978/79 52 dotacje na ukraińskie potrzeby kulturalne w Kanadzie, które wynoszą ogółem \$63.732. Dotychczas Fundacja przyznała na ten

cel ogółem \$ 359.056. ■ Fundacja Iwachniukiw przy Uniwersytecie w Ottawie przyznała na rok akademicki 1978/79 trzy stypendia po \$ 4.000 na prace ukraińoznawcze. Fundacja ta finansuje również publikacje prac naukowych z tej dziedziny w językach: ukraińskim, angielskim i francuskim. Ostatnio ukazały się w tej serii w języku angielskim: prof. A. Sidorenko „Kijowska Akademia w XVII wieku” i prof. O. Prokopiw „Ukraińskie przekłady sonetów Szekspira — Analiza stylistyczna”. W najbliższym czasie ukaze się tom prac naukowych *Studia Ukrainica*, który zawierać będzie opracowania 15 autorów w językach: ukraińskim, angielskim i francuskim. ■ Staraniem Uniwersytetu w Toronto oraz Stowarzyszenia Ukraińskich Profesjonalistów odbyły się w dniach 5, 6 i 7 marca br. prelekcje w ramach *William Kurelek Memorial Lectures*, zorganizowane dla uczczenia pamięci zmarłego w ubiegłym roku malarza pochodzenia ukraińskiego. Kurelek jest m.in. autorem serii 25 obrazów przedstawiających walkę i dolę polskich imigrantów okresu pionierskiego. Seria ta była wystawiona w kilku galeriach w Polsce. Prelekcje te poświęcone były nie tylko twórczości Kureluka — ale również innym zagadnieniom. Peter Reddaway, profesor London School of Economics, wygłosił prelekcję na temat „Stosunek nacjonalistycznych dysydentów w ZSSR do dysydentów innych kierunków” oraz „Ewolucja polityki sowieckiej wobec dysydentów”. Prelekcje te były wygłoszone w audytorium wydziału medycznego.

Jest do nabycia u
POETS' AND PAINTERS' PRESS
146 BRIDGE ARCH, SUTTON WALK,
LONDON, S.E.1. ENGLAND
książka

Stanisława Żochowskiego
BRYTYJSKA POLITYKA WOBEC POLSKI,
1916-1948

Jest to teza doktorska, przedstawiona na Queensland University.
Tom ma 420 stron wraz z bibliografią, przypisami i indeksami,
drukowany ładną czcionką, na dobrym papierze.
Cena \$ 20,50 wraz z przesyłką.

Humor krajowy

Oto czym próbowali — i próbują jeszcze — rozgrzać się warszawiaczy:
— Nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery.
— Minus 10 C — temperatura zamarzania socjalizmu.
— Co to jest MPO? — skrót od: Może Przyjdzie Odwilż.
— Co to jest kłęska żywiódowa? — Minus 10 plus socjalizm.
— Jaka jest różnica między nieboszczykiem a socjalizmem? — W temperaturze — 5 nieboszczyk się nie rozkłada.
— Dlaczego stan kłęski żywiódowej ogłoszono dopiero teraz? — Bo doszło do nich wreszcie to, co się stało 35 lat temu.
— A dlaczego w Rosji nie ogłoszono stanu kłęski żywiódowej? — Ależ ogłoszono! W 1917 roku i jeszcze nie odwołano...
Powyższe nadesłał mi z pozdrowieniami — jak podpisuje — „mieszkaniec tej zepsutej lodówki”.

Z Warszawy donoszą, że w związku z przyjazdem do Polski papieża zabrakło w całym kraju białego materiału i koronek. Okazało się, że wszystkie zapasy wykupiło U.B. na komżę dla swoich współpracowników...

W związku z tegoroczną straszną zimą i wielkimi zaspami śnieżnymi w całym kraju, pewien zaniepokojony nadchodzącą wiosną Francuz zatelefonował do swego przyjaciela w Polsce i zapytał:
— Czy u was jest powódź?
Skądże — odpowiedział przyjaciel — u nas się nie przelewa...

Na pytanie jakie zna kierunki w malarstwie i czym się one charakteryzują młody malarz-Polak odpowiedział:
— Impresjonizm — maluje się to, co się widzi; ekspresjonizm — maluje się to, co się czuje; i socrealizm — maluje się to, co się słyszy.

Gierek napisał do papieża z zapytaniem czy mógłby przeprowadzić rozwód z Breżniewem.
— Nie jest to proste — odpisał papież. — Jak wiesz, synu, jestem w ogóle przeciwny rozwodom. No ale w końcu może by udało się to zrobić. W każdym wypadku muszę cię jednak uprzedzić, że alimenty będziesz płacił dalej.

W Polsce są obecnie dwa rodzaje kiełbasy: papieska — Bóg wie ile kosztuje i gierkowska — czort wie co jest w środku!

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Monachium, 14 marca 1979.

Notatka zamieszczona w marcowym numerze *Kultury* na str. 165 o mianowaniu „konsultantem” RWE p. Z. Błazyńskiego z Londynu wymaga pewnych wyjaśnień i uzupełnień.

P. Błazyński (lat 65, były zastępca szefa działu Wschodniej Europy BBC, niegdyś polityczny redaktor RWE), którego kontrakt opiewa na pięć miesięcy z możliwością przedłużenia do roku, przyjeżdża nas wesprzeć wobec odejścia z dniem 3 kwietnia na dobrze zasłużoną i kilkakrotnie odkładaną emeryturę mego głównego współpracownika i faktycznego zastępcy, p. K. Wagnera.

W ciągu tego okresu mam nadzieję przeorganizować pracę rozgłośni polskiej tak, aby móc prowadzić ją dalej wraz z moimi kolegami i ponosić za nią formalną odpowiedzialność, mimo tak poważnego (i nie pierwszego niestety w ciągu ostatnich paru lat) ubytku w zespole kierowniczym.

Nie wiem na jakiej podstawie *Kultura* pisze, że nominację p. Błazyńskiego uważa się za próbę stępienia ideowego charakteru programów RWE. Na zapytanie naszych redaktorów, słusznie wyczulonych na te sprawy, dyrekcja amerykańska kategorycznie zaprzeczyła istnieniu tego rodzaju tendencji i oświadczyła, że nie widzi powodów do takich obaw.

Wdzięczny będę za ogłoszenie tych wyjaśnień na łamach *Kultury*, której czytelnicy na emigracji i w Kraju mogliby dobrać do fałszywych wniosków czytając marcową notatkę.

Łączę wyrazy głębokiego poważania,

Zygmunt MICHAŁOWSKI

Rocky River, Ohio, 26 lutego 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jan Szponder, autor artykułu pt. „Węgiel”, jest niewątpliwie „węglowcem” i chyba dlatego jego opracowanie jest tendencyjne — na korzyść węgla, a szereg wniosków co najmniej mylących.

Na przykład zdanie, że „od roku 1985 będzie bardzo kruczo z surowcami energetycznymi” jest nieszczęsną pochodną opinii, że istnieje kryzys energetyczny. Otóż kryzysu nie ma, i za 6 lat kłopotów energetycznych nie będzie; zasoby ropy na świecie wystarczą jeszcze na 2 lub 3 dekady, lub dłużej. Zasoby węgla są niezmiernie, wystarczą na dwa lub trzy wieki a możliwości energii jądrowej rozwijają się.

Natomiast istnieje jednak poważny kryzys polityczno-ekonomiczny na rynku energetycznym świata. Naruszona jest równowaga handlu ropą i w związku z tym wiele krajów musi „wrócić” do węgla, by się uniezależnić od niepewnych i coraz to bardziej upolitycznionych dostawców ropy.

W rachunku długofalowym rzeczy stoją jeszcze inaczej, i inaczej niż to autor „Węgla” przedstawia czytelnikom. W związku z tym, że zasoby ropy nie są nieograniczone trzeba już dziś pomyśleć nad tym by przestawić się na inne źródła energii, które nie tylko nie będą krokiem wstecz (krokiem wstecz byłoby poleganie na np. drewnie w otrzymywaniu gazu do poruszania silników samochodowych) lecz będą postępowaniem w rozwoju cywilizacyjnym.

Tym źródłem energii będą reaktory syntezy jądrowej. W poszczególnych krajach energia słoneczna będzie częściowym rozwiązaniem problemu, w innych gorące źródła a w jeszcze innych, już dziś nawet, energia hydrauliczna zaspakaja potrzeby narodowe. Ale to są wszystko rozwiązania lokalne, które — w skali długofalowej — nie zaspokoją potrzeb ani Ameryki, ani Europy.

Rola węgla i energii jądrowej (otrzymywanej z rozbitcia ciężkich atomów) będzie zaspokoić jakoś potrzeby energetyczne świata w ciągu około 40 lat, gdy era nieograniczonego użycia ropy będzie się kończyła a reaktory syntezy jądrowej nie wejdą jeszcze w użycie na szerszą skalę. Przede wszystkim węgiel pozwoli naszym dzieciom i wnukom przebrnąć przez ten niewygodny okres. Mówię o przebrnięciu, bo węgiel (z którego można otrzymać nie tylko gaz ale też benzynę przez uwodornienie) jest w zastosowaniu kłopotliwym materiałem. Konsystencja, popiół, często siarka — to nie to co ropa i gaz ziemny. Z drugiej strony elektrownie jądrowe, takie jakie znamy dziś, są też „niewygodne”. Są źródłem odpadków radioaktywnych, z którymi nie wiadomo co robić. Zresztą uranu też nie ma za dużo na świecie a reaktory powielające są źródłem poważnego niebezpieczeństwa publicznego.

Twierdzenie, że „praktyczne zastosowanie energii jądrowej może znaleźć zastosowanie tylko w sektorze prądu elektrycznego” jest grubą niedokładnością. Wysokie temperatury reaktorów pozwolą otrzymać w przyszłości, drogą chemiczną, wodór z wody, który zastąpi benzynę w samochodach, w kolejnictwie i w samolotach. Wodór jest paliwem idealnie czystym, bezpiecznym — wodór nie zanieczyszcza atmosfery dwutlenkiem węgla. Na wodorze, nie z węgla, lecz z wody, oprze się cywilizacja XXI-go wieku.

Zdanie że „nie można wygrywać jednej formy energii przeciw drugiej” jest zupełnie niezrozumiałe. Trzeba jak najbardziej „wygrywać” węgiel względem ropy, energię hydrauliczną względem słonecznej itp., itd., by wybrać tę która jest najtańsza i najwygodniejsza w zamierzonym zastosowaniu.

Wojciech ROSTAFIŃSKI

San Diego, 7 marca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wymiana listów pomiędzy dyr. Rozgłośnią Polskiej Wolna Europa, p. Michałowskim a Redakcją *Kultury* (nr 376/377) jest interesującym przyczynkiem do dyskusji na temat roli i polityki informacyjnej tej rozgłośni.

Jakkolwiek zagadnienie to w szerszym aspekcie ujęte zostało także w jednym z poprzednich numerów *Kultury*, w wywiadzie p. Michałowskiego, to jednak wymaga jakiegoś szerszego ujęcia.

Wracając do sprawy odmowy ogłoszenia odezwy ROPCiO przez RWE można by zgodzić się z decyzją jej kierownictwa. Niestety argumentacja tego kroku zaprezentowana przez p. Michałowskiego jest nie do przyjęcia. Dla zarejestrowania i ogłoszenia jakiegoś faktu — w tym wypadku odezwy — nie jest konieczna znajomość planów czy zamiarów jej autorów, a tym bardziej utożsamiania się czy popierania ich programu.

Trudno uznać podanie informacji, czy odnotowanie jakiegoś faktu za coś w rodzaju wskazówki czy nawoływania. Interpretacja taka znana jest skądinąd czytelnikom krajowym.

Oczywiście, że istotny jest sposób w jaki się daną informację przekazuje, ale w tej dziedzinie chyba doświadczony zespół redakcyjny RWE nie ma problemu. Czy aby ten lęk przed „nawoływaniem”, jak na to zwraca uwagę *Kultura*, nie jest wynikiem przesadzonego mniemania o roli ośrodków działających za granicą na przebieg wydarzeń w Kraju. Z drugiej jednak strony reakcja *Kultury* na powyższy fakt jest jakimś obrazem klimatu dyskusji w sprawach kontrowersyjnych. Określenie RWE „rozgłośnią monachijską” jest zapożyczeniem ze słownictwa używanego w krajach na Wschód od Łaby i wydaje mi się że nie bardzo pasującym do poważnej dyskusji. Sformułowanie takie ma przecież swoistą i negatywną wymowę.

Jest rzeczą oczywistą, że RWE nie powinna być tubą czy bazą polityczną jakiegokolwiek ugrupowania tak w Kraju jak i na emigracji. Przyjęcie zasady ponadpartyjnej w programie RWE jest jedynym słusznym rozwiązaniem. Obiektywna informacja, a nie polityczna działalność leży chyba u podstaw działania tej instytucji. Bo tego chyba oczekują słuchacze w Kraju.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Janusz SZCZEPKOWSKI

W określeniu „Rozgłośnia monachijska” nie ma nic dyskredytującego. O Kulturze np. mówi się potocznie „Kultura paryska”. — Redakcja.

London, 6 marca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Już w kraju doszły mnie wiadomości, iż na łamach Pańskiego pisma *Kultura* ukazało się moje nazwisko, a teraz przebywając w Londynie mogłem się o tym naocznie przekonać. Chodzi o notatkę zatytułowaną „Świadome i nieświadome dywersje” (*Kultura* nr 6, 1978, str. 87).

Pozwalam sobie sprostować dane zawarte w wymienionej notatce, a dotyczące tylko mojej osoby z prośbą o zamieszczenie mego sprostowania na łamach *Kultury*.

P. Zabłocki nie wykorzystuje mnie ani w sposób „cyniczny”, ani w żaden inny. Z ODiSSem związałem się wówczas, gdy stanowił on członk. ruchu „Znak” tylko na platformie wydawniczej i działalności społecznej, ze względu na zainteresowanie ODiSSu ruchem chrześcijańsko-społecznym, z wykluczeniem włączania się do działalności politycznej, zarówno związanej z Kołem poselskim „Znak” pod kierownictwem S. Stommy, jak i obecnym, ponieważ nie wierzyłem i nie wierzę w celowość i skuteczność tej działalności politycznej.

Nie jestem członkiem Rady Naukowej ODiSSu, co łatwo stwierdzić w wykazie tej Rady drukowanym w każdym numerze *Chrześcijanina w Świecie*.

Nigdy się nie chwaliłem, ani nie chwale, czy i o ile cieszę się zaufaniem Ks. Prymasa.

Stwierdzam, iż nie jestem „opętany” myślą reaktywizacji „stronnictwa chadeckiego”. Jako sekretarz generalny Stronnictwa Pracy w 1945/46 r. odegrałem istotną rolę w powzięciu decyzji o zawieszeniu jego działalności, gdy się okazało, że mogło ono działać tylko w ścisłej kolaboracji z partią (PPR). Za to swoje stanowisko otrzymałem wyrok 15 lat więzienia (upozorowany, ale nie udowodniony przynależnością do nielegalnego SP, uprawianiem akcji szpiegowskiej itp. i oczyszczony z tych zarzutów w 1957 roku po prawie 7-mioletnim pobycie w więzieniu). Nie dążę do reaktywowania SP, gdyż nie ma ku temu warunków. Działalność SP mogłaby być podjęta — moim zdaniem — tylko w okolicznościach pełnej suwerenności i niezależności SP od kogokolwiek.

Nie jest prawdą, abym udał się do Rzymu (kwiecień 1978), celem przekonania „członków emigracyjnej grupy Stronnictwa Pracy [...] udzielenia dalszego poparcia Zabłockiemu”.

Łączę wyrazy poważania,

Dr Konstanty TUROWSKI

Morden, Surrey, 20 marca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zaskoczył mnie fakt, że moje przejście do RWE na krótki okres czasu zasłużyło sobie na wzmiankę w Pańskim cenionym miesięczniku. Ponieważ jednak w czasie mojej blisko trzydziestoletniej pracy radiowo-dziennikarskiej starałem się zawsze obracać w sferze rzeczywistości i operować sprawdzonymi faktami byłbym wdzięczny za zamieszczenie następującego sprostowania:

- 1) liczę sobie lat 65 a nie 68 (trudno, tak wynika z mego świadectwa urodzenia);
- 2) Byłem kierownikiem Sekcji Polskiej BBC, ale w okresie ostatnich lat zajmowałem stanowisko wicedyrektora Serwisu Środkowo-Europejskiego, którego podlegają sekcje czeskosłowacka, fińska, polska i węgierska. Z tego stanowiska przeszedłem we właściwym czasie na emeryturę;
- 3) Propozycję współpracy z RWE przyjąłem w ramach ściśle określonego kontraktu, z którego wynika, że nie wyjeżdżam na stanowisko żadnego dyrektora czy wicedyrektora. Stanowisko moje jest niedwuznacznie sprecyzowane jako „konsultant dyrektora Radia Wolna Europa” i kontrakt nie jest jednoroczny.

Łączę wyrazy poważania,

Zbigniew BŁAŻYŃSKI

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-ej)

WPLATY NA ROPCİO

Tadeusz Brzostek, Paryż — zamiast kwiatów na trumnę generała W. Piekarskiego	F. 100,00
Na apel „Konfederacji 76” w USA: pp. T. Dziekanowski i R. Winowski z N.Y. po \$ 25,00, M. Orłowski, N.Y. — \$ 20,00, Polska Szkoła Sobotnia w Newark — \$ 20,35; A Poleski, B. Czapek i J. Łukaszewski — z N.J., M. Ciesielski z Wallington oraz Turysta z Polski — po \$ 10,00; T. Błazejowski z Wallingford — \$ 5,00 — razem: \$ 145,35	F. 610,50
◆	
Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili na Ruch Oporu: pp. z New Yorku i z New Jersey: ks. W. Kłos i SPK w Buffalo — \$ 100,00, R. Winowski — \$ 50,00, T. Dziekanowski — \$ 25,00, B. Pilecki — \$ 10,00, J. Kozmor — \$ 5,00; z Bostonu, Mass.: A. Gołda — \$ 11,00, B. Terejak, A. Żołądkowski, J. Żołądkowski, J. Janowski, S. Niewiadomska, R. Bogusławski, D. Danowska, D. Wołajszo, R. Kapłon, Ostrowski — po \$ 5,00; K. Gotowska — \$ 3,00; A. Trefiłowa, J. Marian, F. Czerwieński, A. Mair — po \$ 2,00; E. Gąsior, F. Jakowicka, Grabowska — po \$ 1,00 — razem: \$ 265,00 z czego na:	
KSS „KOR” — \$ 130,00	F. 546,00
ROPCİO — \$ 135,00	F. 567,00

NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY KATALOG KSIĄŻEK

ANTYKWARYCZNYCH

polskich i rosyjskich

KSIĘGARNIA POLSKA

E. NEUSTEIN, P.O.Box 29443, TEL AVIV, ISRAEL

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1979.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra-suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 2928 North Downer Ave., Milwaukee, wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »
TOM 301 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY SIÓDMY

Zawiera m.in. prace: Polskie Porozumienie Niepodległościowe — 1918-1978; Poradnik Społeczny PPN — *Odzyskanie niepodległości w 1918 roku*; Natalii Naruszewicz — *Zarys historii PRL — Zeszyt 2: Narodziny PRL (Lipiec 1944 - Lipiec 1945)*; polemikę z Natalią Naruszewicz: Tadeusza Żenczykowskiego i Jana Ciechanowskiego; Bronisława Wanke — *Władze legalne R.P. na uchodźstwie (1940-1970)*; Zdzisława Baua — *35 lat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku*; Witolda Babińskiego — *Prezydent Raczkiewicz*; Jerzego Lerskiego — *Lwowska młodzież społeczno-demokratyczna 1937-1939*; ks. inf. Teofila Skalskiego — *Garstka wspomnień z mego życia (3)*; oraz POLEMIKI, OKRUCHY HISTORII i RECENZJE.

Str. 240.

Cena F. 40,00.



TOM 302 — JERZY BARTECKI

GOSPODARKA NA MANOWCACH

Praca zawiera rozdziały: Dorobek 30-lecia; Potencjał i efekty; Erozja systemu planowania i zarządzania; O cenach, płacach, spożyciu, sile kupna i zarobkach; Rolnictwo i gospodarka żywnościowa; Problem mieszkaniowy; Stosunki gospodarcze z zagranicą; Niektóre przyczyny niskiej efektywności; Błędy w sterowaniu gospodarką; Refleksje końcowe.

oraz

Uwagi na Marginesie — Pawła Tenczyńskiego

Str. 80.

Cena F. 20,00.



TOM 303 — STANISŁAW BARAŃCZAK

ETYKA I POETYKA

SZKICE 1970-1978

Str. 272.

Cena F. 65,00.

Cena 17 F